

Józef Ignacy Kraszewski

Rzym za Nerona



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

Rzym za Nerona

Obrazy historyczne

Od autora

— *Specta iuvenis — ceterum in ea tempore natus es, quibus firmare animum expediat constantibus exemplis.*

G.C. Tacit. Annal. LXVI.

Spójrz młodzieńcze — urodziłeś się zresztą na takie czasy, w których wypada umocnić ducha trwałymi przykładami.

G. Korneliusz Tacyt Roczniki 66

We wszystkich niemal miastach włoskich (nie wyjmując nawet Wenecji), spotkać się można na ulicach z ławkami antykwariuszy pełnymi tych, tak ponętnie wyglądających ksiąg oprawnych w pergamin, pod których okładką, udającą starożytną, często najpospolitsza i wcale nieosobliwa rzadkością nawet, rzecz się mieści. Zawód jednakże doznany nie powinien bibliofila zrażać od przewracania tych Sub Jove (pod gołym niebem) rozłożonych piśmiennych zabytków, bo między nimi. często się i nader ciekawe dzieła spotyka, które niezbyt drogo nabyć można. Jest też wielką przyjemnością, komu na to czasu stało, wędrować po tym cmentarzu, wśród którego leży Tacyt obok Doskonałej kucharki. Bacon razem z Dumasem i S. Chryzostom z Matastazjuszem. — Cmentarzowa równość panuje pomiędzy nieboszczykami, którzy więcej często życia mają niż ci, co jeszcze chodzą po świecie.

Jednego dnia jesiennego 1862 roku idąc do kąpieli przez Piazza Sarzana w Genui, obok sklepiku z owocami, napotkałem na bardzo lichą ławeczkę antykwariusza. A że i takimi gardzić się nie godzi nigdy, odłożywszy kąpiel, jałem wertować pergaminowe, wilgotne, bardzo niepozorne książeczki ubożego przekupnia, który tymczasem zjadał skromne śniadanie. Praca zdawała się daremną, gdyż książki były po większej części liche, nowe, odarte i wcale nie zajmujące. Nadarzyła się przecież jakaś Cronaca wenecka i parę broszur z czasów, gdy Genua jeszcze się szczyliła mianem: *La Superba*.

Ale tych cena była niesłychana, potrzeba je było na bok odłożyć, ażeby się przekupień pomiarkował.

Postanowiwszy przejrzeć wszystko, trafiłem wreszcie na cienki, w papier złożony z kwiatami ogromnymi zielonymi, oprawny rękopis. Zdawał się bez początku i końca, ale reszta była dobrze zachowana, a dopiski po bokach i na okładkach świadczyły, że przez wiele rąk przechodził.

Na pierwszy rzut oka, zobaczywszy łacinę i imiona rzymskie, sądziłem, że to był jakiś urywek znanych listów Cicerona lub Seneki. Uważniej się jednak wpatrując, rzecz znalazłem całkiem mi nieznaną.

Z pisma wnosząc nie sięgał manuskrypt dalej nad nasz wiek XVI, nie mogło więc to być nic tak bardzo ciekawego.

Przekupień kilka razy spojrział na mnie z ironicznym uśmiechem, jakby z mojego zajęcia tym szpargałem żartował w duchu.

— No, to nie drogie — rzekł — jeśli się Wam podoba, możecie mieć za dziesięć lirów...

— Dziesięć lirów, stary raptularz studencki — zawołałem, rzucając go — a to mi na co!

— No to za pięć — zawołał kupiec.

Podniosłem rękopis. — Drobnym charakterem, inną niż on był pisany ręką, stało u góry:

— *Litterae primo saeculo post Christum natum scriptae* (Listy napisane w pierwszym wieku po narodzeniu Chrystusa).

Na okładce był podpis Melchiora Freinshemiusa znanego filologa XVII wieku, a dalej dopisek:

Justi Lipsii auctoritate apocrypha (Apokryfy powagą Justusza Lipsjusza).

To zdanie, że listy owe podrobione były i uwaga *Freinshemiusa ineditae* (niewydane), skłoniły mnie do nabycia.

Po długim targu dostałem szpargał za parę franków, i poszedłem z nim już nie do kąpieli, ale wprost do domu, gdzie dni kilka na męczeniu się z rozczytaniem przepędziłem.

Nie śmiem wcale przeciwko powadze Lipsjusza utrzymywać, że listy są autentyczne, chociaż na wklejonej kartce tym samym pismem co rękopis, znalazłem notatkę poświadczającą, że z oryginału Watykańskiej Biblioteki sięgającego IV wieku po Chrystusie spisane zostały. Być może, iż jakiś łacinnik XVI wieku zabawiał się ułożeniem korespondencji tej dla odmalowania obrazu pierwszego wieku po Chrystusie, rzecz w każdym razie zdała mi się dosyć zajmującą. A że w Genui nie ma co robić, gdy raz obejrzało się pałace i obiegło miasto, zasiadłem do tłumaczenia, zapomnianą nieco odświeżając łacinę.

Nie zaręczam, żebym cokolwiek oryginału, który mi wpadł w ręce, nie przerobił; do wierności względem rękopisu, który Lipsjusz za podrobiony uznał, nie czułem się wcale obowiązany.

I otóż jak ta książeczka powstała. Życzę czytelnikom, aby ich tak zajęła jak mnie zajmował przekład, nad którym wiele godzin strawiłem, o rzeczywistości i nieszczęsnej polityce zapominając, której mi nieustannie Movimento przynosiło okrucy.

J.I.K.

1964 w grudniu.

I

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi Zdrowia

Z głębi Galii, dokąd cię losy zapędziły goniącego za sławą i Marsowymi laurami, Gajuszu drogi, wzywam mnie, abym ci opisywał życie moje, co czynię, co z sobą zamierzam na przyszłość.

Długo wahałem się, jak ci odpowiedzieć, czy wieki, a rozciągniętymi słowami, do których układania nie przywykłem, czy krótkim jakim wierszem poety, co by mnie uwolnił od zadośćuczynienia żądaniu twojemu. Wiersz nawet już znalazłem u Horacego, ale obróciwszy *stylos* (pióro) zmazałem i postanowiłem przesyłać listy, właśnie dlatego, że nie mam ci co pisać.

Czynniejsze prowadząc życie, byłbym czasu na opisywanie go nie znalazł; mając do zbytku godzin wolnych, z którymi nie wiedzieć co począć, chętnie się podejmuję pisać o niczym.

Wszakże znasz to nasze rzymskie życie? Nic się w nim nie zmieniło, dni płyną zawsze wśród tej czezej wrzawy, forum, Sacra Via, portyków, teatru, cyrku i term. Jest to nużące próżnowanie, z którego, gdy rozwinięty zwój starego filozofa, wyniść zapragniesz, aby z nim w pogodniejsze i jaśniejsze wniść sfery, nałóg niepokoju już ci myśli własnej opanować i kierować nią nie daje. Skaczą ci na paginach te figury, które widziałeś przed chwilą na Drodze Flamińskiej.

Piszesz mi, że ty tam tęsknisz za Rzymem naszym wśród barbarzyńskiego, dzikiego ludu i dżdżystego zimnego kraju; lecz na Herkulesa, Gajuszu drogi, więcej warte nudy i utrapienia twoje, walki z dzikimi żywiołami i zwierzętami, niż wytworne życie nasze wpośród pełnego wrzawy, zepsutego Rzymu. Bezpieczniej tam jesteś wpośród nieprzyjaciół, niż my tu wśród przyjacielskiego tłumu. Żaden na ciebie dumny wyzwoleniec nie doniesie, iż na uroczystości Augustów nie byłeś przytomny i nowo zapisanemu bóstwu leniwie składasz ofiary.

Stary nie jestem; owych czasów, o których mówią z uwielbieniem ojcowie nasi: Thraseas, Silanus, Kasjusz nie pomnę; powinienem wzrósłszy wpośród tego świata i w obyczajach jego, być piewą naszego wieku; czuję przecież, że tak jak jest dziś, nie jest dobrze. Z wnętrza mej duszy głos mi jakiś powiada, że Rzym doszedłszy wysokiego wielkości i potęgi szczytu, wzrósłszy w bogactwa i sławę, nadużywa wszystkiego, a nic użyć nie umie.

Uczucie to nie moim jest tylko, widzę je na chmurnych czołach starców, w których gronie zasiadają gaszkowie z pyłów cyrku jeszcze nie otarci, na bladych policzkach młodzieży, w zmęczonym wejrzeniu niewiast i lubieżnych żenicach dzieci, wprzód zepsutych niż dorosłych. Życie Rzymu, jeżeli Rzym żyje jeszcze a nie kona, nie tu dziś jest, ale z wami, w legiach, które podbijają Brytów, zajmują Galię i rządzą w puszczech germańskich, w Armenii i Syrii, na krańcach świata, gdzie jest znój, praca i chwała; albo wśród wieśniaków spokojnie uprawiających swą rolę.

Alem odbiegł od założenia — znać niewprawnego pisarza; powracam doń, muszę ci mówić o sobie. Gdyś do Galii odchodził z legią swoją, rzuciłeś mnie jeszcze ubogim chłopakiem,

wyczekującym z klientami Marka Fulwiusza na jego spadek, testament lub zawiedzione nadzieje. Było wielce prawdopodobne, że stary zapisze raczej Pallasowi, Senecjonowi lub pięknej Epicharis majątności swe, niżeli mnie, ku któremu nie okazywał wcale serca. Wiesz, że Marek był dość dziwnym człowiekiem, pozornie zawsze coś upatrył do mnie, łątał często, i próbując zapewne przyszłego spadkobiercę, najbrudniejszym pasożytem dawał miejsce przede mną. Po śmierci ojca i matki sierotą zostawszy, i nie mając nic nad lichy kawał ziemi w Kampanii, zawdzięczałem Markowi, że mnie wziął do siebie, żywił lichy, cierpiał w domu, ale mi kupił starego nauczyciela Greka Chryzypa, któremu winienem wszystko czym jestem i co umiem.

Chryzyp i ja zaledwieśmy za żywota stryja Marka mieli się czym u niego przeżywić. — Wprawdzie stary w jednym rogu swojej *insuli* dał nam dwie ciupki pod niewolnikami swymi na mieszkanie, niedalekie kuchni, abyśmy mogli woń przygotowywanych dlań przysmaków kosztować; lecz tą też wonią prawie żyć było potrzeba, nie zbytkowaliśmy resztkami jego stołu, a często owocami i figami zaspokajaliśmy głód, pragnienie zaś u studni, Diogenesa obyczajem.

Chryzyp bywał czasem wzywany do starego na rozmowę; ale liczba biesiadników, na których nigdy stryjowi nie zbywało, jego i mnie przypuścić do stołu nie dawała. Jego to mniej obchodziło, bo do ubóstwa nawykł tak, że w wykwintach wcale nie smakuje; mnie ciężył i zawstydział niedostatek, zwłaszcza gdy nieraz głodem przymierać było potrzeba. — Często białą togę moją, nie mogąc jej dać do fulloniki, nocą sam przepierać, suszyć i wyciągać musiałem.

Nadto byстрыm było oko starca, by upokorzenia mojego dostrzec nie miało, ale nie dopatrzyło niecierpliwości; Chryzyp nauczył mnie być spokojnym wśród niedostatku, a nawet wystawionemu na pośmiewisko ludzi.

Tymczasem brat mój stryjeczny, Kwintus Fulwiusz, zdawał się być jak najlepiej położonym w łaskach i sercu starego Marka, prawie pewien spadku jego. Spoglądał też na mnie z góry i rzadko dobrym przemówił słowem. Kwintus legiwał na jednym łożu u każdej wieczery ze starym, pijał z nim z jednej czary chalcedonowej, towarzyszył mu do term i do Epicharis... do teatru i na uroczystości, z nim często w lektyce bywał niesiony na uczy smakoszów, bo Marek jeść lubił. Nie zbywało Kwintusowi na niczym, aż do pierścieni i szat drogich. Jam tymczasem filozofował o głodzie z moim Grekiem, który mi *Enchiridion* Epikteta odczytywał i komentował, gdy się zbytnio młoda krew burzyła.

Cóż powiesz, Gajuszu drogi, one to czasy niedostatku, osamotnienia, głodu uśmiechają mi się dzisiaj jak najpiękniejsze dni życia, ale się one nie wrócą!

Zaiste końca nigdy byś nie przewidział, jakeśmy go nie przeczuwali! Chciałem już wejść do legii i wybrać się przeciwko Partom lub do Brytanii, albo połączyć się z tobą w Galii Lugduneńskiej, by w tej nużącej bezczynności dłużej lat młodych nie trawić, ale stryj, nałajawszy, kazał mi w Rzymie pozostać...

Chryzyp też dowodził, iż kto myśli, siebie zwycięża i pracuje nad sobą, nie próżnuje. Braliśmy więc dalej z biblioteki Marka pergaminowe zwoje i napawaliśmy się grecką mądrością i wymową łacińską. Rozmowa też ze starym Grekiem czężą nie była, bo Chryzyp, choć niewolnik, równego sobie w Rzymie nie miał, a Marek w tym miał słuszość gdy mi dowodził, że w nim dał mi

największy skarb, jaki kiedy posiadać mogłem.

Rzadko widując Marka, od którego wszelkimi sposobami Kwintus i przyjaciele jego mnie odsuwali, anim postrzegł jak starzec posunął się i zasnął.

Jednej nocy po długiej biesiadzie, której wesołe odgłosy dochodziły aż do nas na drugi domu koniec, gdyśmy już z Chryzypem kłaść się mieli, przybiegł ulubieniec stryja wyzwoleniec Itichus, dając mi znać, abym się do niego udał, gdyż spieszno mnie do siebie przyzywa. Zarazem i Chryzypowi iść kazano. Spiesznie toę zarzuciłem — nie wiedząc co by to znaczyć miało — i poszliśmy do izby biesiadnej.

W triclinium na trzech łóżach leżeli: stryj mój Marek z chalcedonową swą czaszą w rękę, Kwintus na konsularnym miejscu obok, dalej zwykli jego biesiad towarzysze, pasožyci i klienci. Eliusz, który go bawił dowcipnymi opowiadaniem, żarłok i opilec Karynus i służyący pokornie wszystkim za pośmiewisko Pontyk. — Goście już byli dosyć podochoceni i wieńce swe różane do czasz poobrywali, podłoga zarzucona była kośćmi i chleba kawałkami, złana libacjami dla wszelakich bogów, powietrze przesycone wyziewami napojów i jadła. Mimo, to stryj Marek, który czarę ulubioną trzymał w rękę, wydał mi się nazbyt poważnym, i bladym jak na wesołego biesiadnika po wieczery, uśmiech trochę szyderski marszczył tylko jego usta. Weszliśmy. Marek podniósł się na łokciu, i ręką mnie przyzwał ku sobie bliżej.

— Juliuszu — rzekł głosem donośnym — przyszła tedy dla mnie uroczysta godzina: na ciebie kolej żyć, mnie zstąpić do krain podziemnych. Sztuka odegrana, *plaudite cives* (klaszczyście, obywatele) — dodał uśmiechając się — nie myślę czekać, aż trybun mi przyniesie wyrok śmierci.

— Ty — dodał zwracając się z uśmiechem do Kwintusa — który żyłeś i używałeś ze mną, odebrałeś już w smacznych kaskach to, co ci w testamencie przekazany być mogło, żegnaj mi, zostawiam ci pamięć chwil, któreśmy spędzili z sobą i ubóstwo, które cię zmusi do pracy. Ty kochany Eliuszu masz gotowe miejsce za stołem u starego Stadiusza, nic ci nie potrzeba; tobie Karynuszu po ucztach zbyt obfitych, zdrowie ocalając, należy przepościć; abyś zaś z głodu nie umarł, masz tam na chleb i na garum wyznaczony żołd w testamencie; ty Pontyku odpoczniesz nieco w domu po obelgach jakie tu razem z mięsem łykałeś. Bywajcie zdrowi przyjaciele! Dosyć żyłem i źle żyłem, ale za mnie spadkobierca mój Juliusz potrafi lepiej, bo surowe miał życia pierwiastki i nauczył się, na czym polega szczęście, od poczciwego Chryzypa... nie będzie go, jak ja, szukał w brzuchu tłustej barweny... A! Chryzypie — zawołał — zbliż się, zbliż stary, tobie zostawiam wolność z prawem mieszkania w tym domu, dopóki ci się zda... Jeżeli ucznia twojego wychowałeś dobrze, nie masz się co o resztę troszczyć, jeżeli źle... wina twoja!

Chryzyp spojrział na mnie i wzruszył ramionami szepcząc:

— Mędrzec, wolnym jest zawsze, ale wdzięczny ci jestem Marku, żeś i o mnie pomyślał, jeno się nie spiesz umierać, bo ci godzina nie przyszła.

— Mylisz się — odpowiedział Marek — śmierć trzymam w tym naczyniu — wskazał czaszę — przyprawiła ją mądrze Lokusta, sam w nią wlałem... a chcę umrzeć, bom jest niepotrzebnym ziemi ciężarem. Czekałem tylko, aż ten oto owoc — wskazał na mnie — Juliusz dojrzeje; dziś gdy w sile

jest, czas mi z drogi ustąpić. Sprawicie mi, spodziewam się, piękną *apotheosis*...

Przy Drodze Apjjskiej, Juliuszu, postawisz mi Conditorium. Mam tam dużo przyjaciół, patrz tylko, aby nadto zbyt kownym nie było... posłuży ono później i dla ciebie.

To mówiąc i naśladowując Sokratesa, kazał podać koguta, aby go poświęcić Eskulapowi; uczynił małą libację z czary *Jovi liberatori* (Jowiszowi Wyzwolicielowi) — i gdym ku niemu przypadł, uściskawszy moją głowę, podniósł czaszę do ust uśmiechając się.

— Lepiej czynię niż wy — rzekł — doczekacie czasów, w których mi zazdrościć będziecie śmierci!

To mówiąc, wypił truciznę, owinał się togą, oparł na łokciu, osłonił twarz, abyśmy nie widzieli cierpienia, i w pół godziny, pochyliwszy głowę na piersi, skonał.

W godzinę potem martwe jego zwłoki leżały w rękach pollinctorów na łożu przybranym wspaniale, a dom był pusty.

Opisywać ci nie będę zdziwienia, oburzenia, rozpaczy Kwintusa, i wszystkich co się po trosze do objęcia po nim spadku przygotowywali.

Marek mimo bardzo wystawnego życia, zostawił mi *insulę* wielką, czyniącą przychód niemały, bo ze wszech stron tabernami otoczona, skrzynie pełne, willę niepoślednią w Bajach, dom z gruntami w Tusculum, drugi na Palatynie przy ogrodach Mecenasa, a niewolników i sprzętu zbytecznego więcej niż potrzebuję.

W jednym dniu stałem się najzamożniejszym z rodziny, gdy wczoraj jeszcze sam moją bieliłem togę i o chlebie i wodzie filozofowałem. Ja com prócz Chryzypa nie miał przyjaciela, znalazłem wkrótce mych pochlebców, klientów, stręczycieli krewnych, usłyszałem tysiączne ze wszystkich ust pochwały, ujrzałem oczy wszystkich zwrócone na siebie.

Gdym niedawno przeciskał się ulicą, nikt nie spojrział na mnie; teraz pierwszy raz poznałem i tę rozkosz, i tę przykrość, o której mówi młody nasz Perejusz, gdy kogo palcem wskazują i mówią — *Hic est* (oto jest).

Rumieniłem się, wstydząc się za rodzaj ludzki, a odepchnawszy tych czcicieli złota, Chryzypa jednego jako ojca i dobroczyńcę wyniosłem i w domu osadziłem.

Jemum był winien, że mnie bogactwo i niespodziane szczęście nie upoiło, ani pozbawiło rozumu. Chciałem go mieć stróżem tej cnoty, którą we mnie zaszczepił.

Otóż moich roczników część pierwsza, kochany Gajuszu, ale słuchaj dalej.

Zdawało mi się, gdym nic nie miał oprócz wyszarzałej togi i nędznej izdebki, w której zaledwie łoże stanąć mogło, że mnie to, czego mi brakło, uszczęśliwić zdoła; otrzymałem naraz daleko więcej, niż się kiedykolwiek spodziewałem, ale niestety! Przyszedł zarazem jakiś żal za postradany ubóstwem. W nim było pragnienie wszystkiego, gdy w posiadaniu wszystkiego zdobyłem smutną

prawdę, iż nic człowieka nasycić nie może.

Uśmiechał się Chryzyp ze mnie, i mówiliśmy nieraz o rozdaniu majątności między tych, co by jej lepiej użyć umieli, ale mi nie dopuścił tego wykonać szaleństwa.

— Ucz się dostatku używać, jakoś się nauczył niedostatek cierpieć

— mówił mi — bierz z niego skromnie, aby dusza twoja nie przystała do tego, co wedle Epikteta niewolnikiem uczynić cię może. Człowiek winien wszystko znać i próbować wszystkiego, nie przywiązując się do niczego.

Takem się ja tedy puścił w to życie zwykłe ludzi bogatych a nic nie czyniących; wszakże bardziej jako filozof, który próbuje, niż jako młodzieniec, co używa.

Obraz tego życia znany ci jest Gajuszu, tkane ono z pajęczyn złotych, i jak *Coa vestis* nic nie okrywa, od niczego nie chroni, widać przez nie całą nędzę ludzką. Otoczony tłumem nudzę się, wykarmiony pochlebstwami wolałbym prawie obelgi, w których coś prawdy by być musiało — mając wszystko, nic nie pragnę.

Chciałbym coś czynić, a do niczego nie czuję się zdatnym; czasy też nie po temu, aby o publiczne urzędy i dostojęstwa się starać, rozdają je wyzwoleńcom i gachom. Śliska też i niebezpieczna rzecz wpaść w oko Cezarowi zasługą, talentem, choćby piękną twarzą lub postawą, z miłości jego łatwo się rodzi nienawiść. Żyję więc na ustroniu, a że czymś dni zapełnić trzeba, wałęsam się jak i drudzy, i obyczaj płochy takich jak ja próżniaków przyjąć musiałem.

Śpię długo, tłum natrętnych klientów oblega drzwi dawno; gdy się z łoża, więcej zmęczony niż wypoczęty, podnoszę, czeka mnie lektyka, niosą niewolnicy na Forum, do term. Tu zażywam kąpieli, słucham poetów, którzy deklamują swe wiersze, łapię plotki miejskie o wczorajszej nocy, przygodach na moście Mulwijskim lub w ulicach Suburry, błądzą pod portykami, rozrywam się gwarem ulicznym, i tak czas schodzi do wieczery.

Na Sacra Via, na Flamińskiej nic się nie zmieniło od czasów Horacego, mniej może wstydu niż było, przypomnij sobie Sermones... Oto Trybun ten sam, który niedawno jako niewolnik przybył do Rzymu, w przepysznej todze się przesuwa, z góry na tłum poglądając... Za nim otoczony czeredą służby śpiewak Cezara ulubiony, który zdobył ogromne skarby i już je na pół roztrwonął... Oto pisarzyna, który się mści epigramatami za obiady, na które go nie proszą; dalej stoik z bladą twarzą, co przywdział suknię filozofa straciwszy majątek na fraszki; oddaj mu jutro pieniądze a filozofię złoży do kąta... Oto epikurejczyk, który wie jakim sosem przyprawiać należy barweny, i w ptaku upieczonym poznaje smakiem czy spożył samca czy samicę...

Tym wszystkim Horacego wizerunkom mógłbym dzisiejsze podawać imiona, i więcej ich dołożyć, bo Tygellina nie ma w Satyrach, ani pięknej Poppei, ani Eucerusza flecisty, ani Watyniusza gladiatora, ani Epofrodyta... ani... tych co flecistami i gladiatorami się stali dla miłości lub ze strachu Nerona...

Powracam do domu na wieczerzę, na którą, gdybym chciał, miałbym zawsze więcej towarzyszków

niż liczba muz pozwala, ale motłochowi pasożytów z kuchni dają potrawy do domu, zostają z niewielu lub Chryzypem tylko. Skromnie używamy przysmaków, które dzisiejszych Rzymian o ruinę przywodzą, nie kocham się w wykwintnych potrawach, nie jem zbyt wiele, karmimy się więcej rozmową niż mięsiwem, więcej mądrością upajamy niż winem. Skoczków i kuglarzy przy stole nie potrzebujemy dla rozrywki, a że stary mój nauczyciel jada zawsze ze mną na jednym łożu, przeciąga się długo w noc rozmowa o wszystkim co człowieka obchodzić może.

Ziemia i bogi, przeszłość i teraźniejszość dosyć nam dostarczają wątku, choć o ostatniej zamilczeć lepiej westchnąwszy nad nią. Czasem, gdy noc jest piękną, przenosimy się do zielonego ogrodu i w pobliżu szemrzącej fontanny u posągu Diany łowczyni zasiadamy pod drzewami, a tu nam schodzą godziny do brzasku. Otóż co najlepszego w moim życiu, cicha z moim mędrcom rozmowa...

Masz, Gajuszu kochany, małą próbkę teraźniejszego losu i życia mojego, niepełną wszakże i niecałą; — w przyszłych listach szerzej ci napiszę o tym, co mnie otacza i co we mnie samym mieszka. Niech cię bogowie strzegą i Mars oszczędza. — Życzę ci zdrowia i czekam z powrotem w wieńcu laurowym!

II

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi Zdrowia

Chociaż na pierwszy list mój nie doszła mnie jeszcze żadna odpowiedź od ciebie, korzystam z gońca którego mi nastęrczono, wiozącego waszej legii rozkazy; i przesyłam ci list drugi a razem pozdrowienie serdeczne.

Tyś zawsze dosyć lubił Rzym może dlatego żeś w nim mało i na krótko bywał, sądzę więc, że cię plotki rzymskie świeżo umyślnie pozbierane na cichym obozowisku twym dosyć obchodzić lub przynajmniej rozerwać potrafią. W pierwszym swym liście mówisz mi, że wpośród głębokiej ciszy dzikiego kraju stare ci tylko dęby szemrzą nad głową, a Driad ich języka nie rozumiesz, więc niech ci mój głos zastąpi te dokuczliwe drzew szelesty.

Znasz już życie moje albo raczej tylko jego skorupę, ale nie to życia znużenie *toedium vitae*, które w sobie zamyka. Nie wiem czybym ci je, talentu Lukana i Seneki nie mając, skreślić potrafił. Zbyt proste są słowa moje i nieuctwo mowy, która ulotnej woni tego życia zamknąć w sobie i przenieść ci nie potrafi — czuję to najlepiej, nie pisałem nigdy, przychodzi mi to z trudnością.

Zabawiamy się tu wszyscy gwałtownie, a nudzimy bardzo dlatego może, iż tylko o zabawie i rozrywkach myślimy — przoduje nam Cezar. Dokoła spotykam tylko samych znudzonych a wymyślających sobie na próżno coraz nowe zabawki, począwszy od ludu i niewolników aż do niewiast i dzieci. Znasz Nerona, chociaż od czasu, jak opuściłeś Rzym, wiele się w nim zmieniło i zmienia z każdą chwilą. Wychowaniec posłuszny Burrusa i Seneki, dzieciak prowadzony przez Agrypinę, dawno wszystkie krępujące go więzy potargał. — Wiesz o pierwszych i najstalszych miłostkach Cezara z piękną Akte, którą mu Otto i Klaudiusz Senecjon naraili; a Anneusz Serenus długo sobą zasłaniał.

Słyszałeś i o sporze z matką i o zgodzie, która się Junii Silany wygnaniem skończyła, choć Parysa nie tknięto; wiesz o nocnych Cezara wycieczkach w ulice i śmierci Juliusza Montana, o wszystkich nowych świętach postanowionych z powodu zwycięstw Cezara, wiadomości o zwycięstwach, narodzin i śmierci; wiesz o pięknej Poppei i dziwnym zgonie Agrypiny, którą wyzwoleniec jej zabił — ale nie wiesz może o ustanowieniu Juwenaliów, i o zupełnym przeistoczeniu Cezara w poetę, aktora, muzyka, cytarzystę, wreszcie woźnicę i szermierza. Zwycięstwa wasze i legionów armeńskich nie tyle go obchodzą co cyrkowe i śpiewacze... Jaka stąd sława dla Rzymu! Starzy ojcowie nasi Trazeasz, Rubelliusz Plautus, Memmiusz Regulus, Silanus, Pizon patrzą na to z obrzydzeniem i milczącym smutkiem, rumienią się nawet czoła tych, co dawno rumienić się przestali, gdy augustanów tłum sypie oklaski Neronowi... Za przykładem pana młodzież, starcy, niewiasty zmieniają się w szermierzy i śpiewaków, znajdziesz woźniców między senatorami i gladiatorki wśród matron rzymskich, gdy między tymi, co za filozofów i cnotliwych uchodzą, trudno znaleźć jednego co by prawdę mówił, jak Trazeasz. Seneka wszystko tłumaczy i uniewinnia; mówią, że dla przypodobania się Cezarowi zaczął wiersze pisać i gotów w komicznej roli wystąpić na teatrze. — Na to

ustanowiono Juvenalia, aby uświęcić tę rozpustę wszelaką i rycerstwo, i senatorów do niej pociągnąć.

Dokąd idziemy nie wiem, ale trudno dobre wieszczyć z tego co jest, dużo ludzi sarka i zżyma się, lud i pretorianie nad losem biednej Oktawii przez Nerona opuszczonej dla Poppei użalają się. Ale krnąbrnych miecz a słabych datki pokonają.

Poppea nadzwyczaj jest zręczną.

Akte dawna ulubienica Nerona, raczej jest jego sługą i przyjaciółką, niż kochanką, chociaż Serenus głosi, że od azjatyckiego króla Attalosa pochodzi. Dziewczę to łagodne a istotnie do człowieka przywiązane, który się z nią jak z ostatnią z niewolnic obchodzi. Wcale inną Poppea, której prócz uczciwości na wszelakim nie zbywa uroku; piękna, zręczna, fałszywa, dumna, przewidzieć można, że Oktawie odepchnie, aby zasiąść przy Cezarze. Jest to dar Ottona, który poty ją wychwalał Neronowi, poty mu o niej mówił, póki go do niej nie ściągnął. Dziś ona wszechwładna. Otton, jak wiecie, w Luzytanii; a na Oktawie sposobią się w ciemnościach spiski poczarne.

Wszyscy zgodnie źle wróżą Rzymowi z tej obyczajów rozwiązłości i bezprawia, jakie się w nim rozpowszechniają, są, co bliski przepowiadają mu upadek, choć gród rośnie, złoci swe dachy, ogromnymi budowlami pomnaża i w zbytkach wszelakich się kąpie. Zepsucie wkradło się do ognisk domowych i zmieniło matki bohaterów na zalotnice bezwstydne.

Cnota dawna Trazeasza i Arri tak się dziś śmieszna wydaje, jak prosty strój dawnego Rzymianina przy utrefionych włosach i malowanej twarzy gaszków palatyńskich.

Senat nie śmie myśleć o losie Rzeczypospolitej, zwołują go, by słuchał poematów Cezara, by wyrokował o ilości pieśni, w których on dzieje Rzymu ma zamknąć.

Rzadko bardzo ocknie się duch dawny w mężach, których naówczas sam Neron szanować musi; ale czyści są w mniejszości i zamilczeć w końcu muszą.

Nie ma nic świętego, co by splugawionym nie było, aż do dziewic westalek i kapłanów, cele świątyń zmieniły się w lupanary, a Senat na posłuszny tłum strwożonych klientów.

Co jest w narodzie zacniejszego — milczy — chodząc z czołem spuszczone, boć słowo się dziś nie przyda na nic, choćby je z rostrów pośród forum wyrzekł Domicjusz Afer lub Serwiliusz. Przykłaśnięto by może wymowie, a ominięto treść rzeczy.

Chryzyp mój wszakże nie rozpacza nad ludzkością, utrzymując, że bogowie dopuszczają, aby złe doszło do kresu, póki swą siłą uczuć się nie dadzą światu. Bogowie, rzekłem, aliści u nas i bogów już nie ma, bo któż w nich wierzy i kto się z nich nie naśmiewa? Nie znasz może Codicillów Fabrycjusza Wejenta, możesz co lepiej świadczyć, w jakiej cenie u nas to, co dawniej świętym było? Z Azji, Afryki, Egiptu, Jerozolimy napłynęło do nas wszelakich bogów cudzoziemskich i praktyk dziwnych, tak że w tym mnóstwie rzekłbyś iż naprawdę nic nie ma.

Świątynie też, prócz uroczystości Augustów, na które ludzie idą ze strachu, pustkami stoją, kapłani

wyszli na mimów i kuglarzy.

W tym zepsuciu i zubożeniu powszechnym kobiety nie dały się wyprzedzić; one zawsze najszybciej idą, wstyd by mi było pisać ci co się dzieje, a gdybym pomyślał o przystrojeniu w bluszcze i wieńce bramy domu mojego, nie wiedziałbym kędy szukać małżonki, której by straż larów i penatów i domowego ołtarza powierzyć można. Niewiasta *univira* nie widzianym dziś przykładem, takiej, o której by nie mówiono, co by w ciszy wełnę przędła i wiodła życie jak żona Trazeasza, jak Seneki Paulina, z Diogena latarnią szukać potrzeba. Zepsucie od mężów poszło, z ich przykładu i z tego tłumu próżniaczego klientów i pasożytów, który wcisnąwszy się do domu, zgniliznę swą wniósł ze sobą.

Nie sądz, Gajuszu miły, abym tak czarno widział przez oczy starego Chryzypa lub z jakiegoś usposobienia do satyry — wszyscy niemal, nawet ci, co się temu prądowi unosić dają, widzą jego gwałtowność. Ostoi się zapewne Rzym, mimo zepsucia obyczajów, ale na tę chorobę lekarstwo, jak ona gwałtowne być musi.

O moim życiu jużem ci mówił, czcze ono jest; nic prawie do pierwszego opisu dodać bym nie mógł.

Kładę się tęskny i znudzony, wstaję niepokrzepiony snem; a ledwiem powieki otworzył, już szum słyszę u drzwi naciskających się klientów, już dobijają się żebracy z pochlebstwami, z nowinami, z poselstwami, których natury ci tłumaczyć bym się wstydził. Sześciu niewolników czeka na mnie u progu z lektyką. Co robić z rankiem, jeśli się do term nie pójdzie; co robić z dniem, jeśli się go połowy nie rozsiejie po ulicach? Za lektyką biegną ubłoceni klienci piesi, drudzy wyprzedzają w swoich lektykach, aby jeśli zasłon nie spuszczę, dokuczać mi pytaniami. Idzie im o obiad lub kawałki ze stołu, innym o pieniężny datek. Zgiełk i wrzawa w ulicach; nie za senatorami i trybunami bieży zgraja, ale za Watyniuszem, Epafrodytem lub Sofoniuszem Tygellinem, za woźnicą w barwie zwycięskiej, za skoczkiem, za flecistą lub za powożącym się w purpurowym płaszczu lamowanym złotem wyzwoleniec, w którego uszach widać jeszcze ślady pochodzenia.

W termach, gdybyś chciał, dzień cały albo i rok cały byłoby o czym mówić. Sadowki, kąpiel i łaźnia są w nich najmniejszym dodatkiem; cały maleńki świat, rzecz można, w nich się zamyka. Gdyś Rzym opuszczał przed laty, nie było jeszcze term nad jedne Agryppy, dziś postarano się o więcej, bo znaczna część nie tylko ludu, ale rycerstwa i senatorów, co własne łaźnie mają, tu przecież życie spędza. Nie około Exedrów, kędy zasiadają greccy słów przekupnie i poeci w rodzaju Kodrusa, ale w *hypoaetrach*, na *stadiach* i w *sferysteriach*, w izbach balwierz i około greckich zalotnie z pstrymi mitrami. Tu hałas i śmiechy i kłótnie od rana do nocy, tłum pomnażają wróżbici wszelkiego narodu i pochodzenia, sprzedający przyszłość, jak inni rumieńce i włosy. Nie do delfickiego trójnoga, nie do Kumejskiej Sybilli pieczar, ani do kapłanów udajemy się po wyrocznie: można je kupić u Chaldeczyków i Judejczyków za parę asów na ulicy.

Znajdziesz tu i Żydów z lasku Egerii i wróżbitów z Komageny i czarowników z Chaldei i wędrownych kapłanów różnych bogów wędrownych, które Rzym wszystkie przyjmuje gościnnie, bo się swoimi własnymi znużył.

Dostaniesz w termach co zapagniesz, a często czego byś nie chciał... Ale czas nareszcie do domu,

myślisz, żeś gdzieś po drodze posiał natrętnych klientów; nie, czatują na ciebie pod portykami i ścigają aż do drzwi. Tu, jeśli ich do stołu nie dopuścisz, aby ci nie powalali poduszek na łóżach (bo i zrzuciwszy obuwie, wedle obyczaju, czyściejsi nie są), musisz u drzwi rozdać jałmużnę, aby się ich pozbyć nareszcie, jeżeli pozbyć się ich kiedy można, bo często nocami wartują u progu, aby ich kto z rana nie uprzedził, a że odźwierny na jęki jest głuchy, czekają na wybranych, aby za nimi przez próg się precisnąć. Przykro jest widzieć takie upodlenie człowieka.

Chryzyp na to wszystko uśmiecha się z grecką ironią i odrobiną nienawiści, mówiąc;

— Zwyciężyliście świat, a samych siebie nie możecie!

Wpółśród tego naprzykrzonego tłumu i próżniaczej gawiedzi, gdyby nie ten stary Grek i nie ta młoda Sabina... nie wytrwałbym.

Widzę, jakieś się uśmiechnął, czytając wzmiankę o młodej Sabinie; lecz powstrzymaj szyderstwo, a posłuchaj kto ona jest, abyś jej nie mieszał z tymi, o których mówiłem wprzód. Krzywdę byś jej i mnie wyrządził.

Sabina młoda jest i piękną, ale nie te przymioty stanowią jej najwyższą zaletę, piękną i młodą jest też druga Sabina Poppea, ale w niczym do siebie nie są podobne. Drugiej takiej jak ona nie ma w Rzymie.

Jeszcze się widzę uśmiechasz, sceptyku, na te uwielbienia: dodam więc, że całkiem jej obcy jestem i będę, że nad nazwisko krewnego i przyjaźń nic nas nie łączy.

Sabina jest mi krewną po matce, poznałem ją ubogim jeszcze będąc, gdy często proszony do niej, dla wytartej togi mojej nie śmiałem przestąpić progu, bo wyzwoleńcy jej lepiej ode mnie wyglądali. Od lat kilku już owdowiała, mężem jej był Treboniusz, o którym, jeśli go kto nie znał, słyszał pewnie.

Treboniusz w wielu względach przypomina mi Marka, stryja mego, ale gdy w tym obyczaj był rozwiązły, a myśl surowa, w Treboniuszu jedno i drugie chodziło w parze, obyczaje i rozsądek niewiele będąc warte. Starcem już będąc, poślubił młodziuchną Sabinę, którą matka jej oddała mu więcej dla bogactw jego i znaczenia niż innych przymiotów. Treboniusz słynął ze wspaniałości i rozwiązłości, piętnastoletnie dziewczę wydało mu się godnym kąskiem na jego zęby spróchniałe.

Nieszczęśliwa ofiara, czegóż się w tym domu napatrzeć i nasłuchać musiała, otoczona niewolnicami wszelkiej barwy, które więcej jemu niż jej posługiwały, chłopiętami wszelkiego wieku i poprzebieranymi w niewieście szaty rzezańcami. Własna tylko cnota mogła ją tu od zepsucia uchować, a po części też umiłowanie mądrości i nauki, którego zawczasu w domu nabrała. Nigdy może małżeństwo nieszczęśliwszym nie było, ani gorzej dobranym. Treboniusz z cnoty jej i surowości szydził, bo go zawstydziała; wstydlivość na pośmiewisko obracał; dom jego nieustannie przedstawiał obrazy i przykłady, które by mniej panującą nad sobą niewiastę rzuciły na drogę, jaką inne idą: ona obrzydzenia tylko nabrała do tego bezwstydu. Chociaż ją za surowość i dzikość wyśmiewano, wytrwała na tej drodze szlachetnej, którą iść postanowiła.

Treboniusz umarł wreszcie niewstrzeżliwością zabity, zostawiając jej ogromny jeszcze, chociaż rozpustą i marnotrawstwem nadwerężony, majątek, i małego synka w pieluchach. Odtąd prowadzi ona wdowie życie, i choć najzacniejsza młodzież ubiega się o jej rękę, postanowiła wolną pozostać, aby dziecię wychować na godnego Rzymu obywatela. Mało osób przypuszczonych bywa do jej towarzystwa; chlubię się tym, że rui drzwi jej zawsze stoją otworem.

Tu spędzam często jedne z najmiłszych chwil mojego życia; ale nie sądz, błagam cię i proszę raz jeszcze, abym miłością jaką zapalony był dla Sabiny. Przyjaciółmi jesteśmy tylko i pewien jestem, że gdybym jej okazał, że piękną w niej widzę i pociągającą niewiastę, więcej by mi progę swojego przestąpić nie dała.

Dom Sabiny leży na pochyłości Wzgórza Palatyńskiego tuż obok mojego, gdyż oba z jednego spadku pochodzą. Ponieważ *insula*, którą zamieszkiwał Marek i my, w połowie jest wynajętą na różne taberny, co mi znaczny dochód przynosi ale wrzawę mnoży: chociaż pośrodku mam dla siebie pozostawione mieszkanie, wolałem przenieść *penaty* moje do palatyńskiej willi, którą teraz zamieszkuję, tym ochotniej, że mnie ona do Sabiny zbliża. Na Palatynie więc urządziłem sobie po mojej myśli skromne ale miłe mieszkanie, tu i obrazy przodków i bibliotekę i kosztowniejsze przeniósłszy posągi. Dostyc obszerny ogród przytykający do ogrodów Cezara wiele mi sprawia przyjemności, cień w nim bowiem mam, chłód, wodę i ciszę.

Dom Sabiny mur tylko od mojego *viridarium* dzieli! Z większym on jest od mojego zbytkiem urządzony, częściowo przez Treboniusza, częściowo przez nią samą, gdyż spędzając w nim całe niemal swe życie, więcej też dla uprzyjemnienia go potrzebuje. Stary Treboniusz bardziej przez próżność niż z zamiłowania sztuki skupował greckie posągi, korynckie naczynia malowane i obrazy dawnych mistrzów; ona z przyjemnością też otacza się nimi. Liczniejszą też nad moją ma bibliotekę, której na niczym nie zbywa, bo drogo opłaconych nabyła niewolników, *glutinatorów* i kopistów co dla niej wszelką nowość przepisują, a jej *amanuensis* nie listy do ulubieńców, ale uczone dzieła dniem i nocą kaligrafuje.

Nie mówiłem ci jeszcze jak wygląda Sabina; o kobiecie zaś mówiąc, powierzchowności jej nie opisać — jest, jakby się nic nie powiedziało; wspomniałem tylko że jest piękną. Nie wyobrażaj sobie jednak, by po dzisiejszemu piękną była, jak te, co z odkrytą piersią w siatce złotej, z rozpuszczonym włosom w przezroczystych osłonach podobnie wyglądają do ambubajów syryjskich niż do matron Rzymu. Skromną jest i piękną jak posąg Westalki cały w *peplum* owinięty, aby oko lubieżne nie splamiło go nawet wejrzeniem. Postaci wzniosłej i udatnej Sabina, mimo skromności, dba, jak kobiecie przystało, o piękność swoją, ale ani zanadto ani za mało. Nie trzyma ona czeredy niewolnic dla stroju i wymyślnych starań o ubranie; wszakże, gdy ci się ukaże, promienieje zawsze szlachetnym wdziękiem, jakby zstąpiła z marmurowego podnóża na ziemię. *Incessu patuit dea.* (Bogini stanęła otworem).

Dziwnie też młodą jest przy tej powadze i choć dwudziesty rok sobie liczy, nie powiedziałbyś, że ma szesnaście. Dusza ją tak młodą czyni; choć umysł starszym jest nad wielu osiwiiałych mędrców. Bogowie obdarzyli ją obficie, nie tylko cnotą, ale szczególną rozumu bystrością, której Chryzyp mój wielki niewiast nieprzyjaciel, dostyc nadziwić się nie może.

Otóż dom, w którym od niejakiego czasu spędzam ze starcem moim razem wieczory i poranki.

Dopuszczając mnie do poufałości Sabina nie obawia się obmowy, a zresztą mało się o nią troszczy. Starczy jej świadectwo własnego sumienia. W czasach tak zepsutych jak nasze, nie może być, aby nas nie posądzano o miłości jakiejś, z czego się oboje śmiejemy.

O tym, że serdeczna nasza przyjaźń do miłości zapalczywej wcale nie jest podobną, zaręczyć ci mogę. Mimo to Chryzyp ostrzega, iż mimowolnie między młodymi dalej zapędzić się można, niżeli się zrazu przewiduje, a poufałość zawsze jest niebezpieczną. Śmiejemy się oboje z tych gderań staruszka. Sabina w jednej mądrości tylko pokochać się może, a ja i w tej nawet jasno nie widząc, rozmiłować się namiętnie nie potrafię. Wątpię i wątpię, i to mi gorzkim życie czyni, o czymże dziś wątpić nie mamy powodu?

Alem się ja za długo rozwiódł, kochany Gajuszu! Próźniakowi przebaczysz. Bądź zdrow.

III

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi Zdrowia

Wczoraj odebrałem listy twoje, Gajuszu miły, ale ze smutkiem widzę, że ci źle położenie moje odmalować musiał, gdyż to, co by w tobie litość obudzać powinno, niemal zazdrość zrodziło. Na Jowisza! Gajuszu, zamieniłbym się na życie Twoje!

Piszesz, że barbarzyńcami otoczony jesteś, a wierz mi, iż od nich wiele nauczyć się można, czym gardzić nie należy; więcej może w Galii niż w Rzymie dzisiejszym mądrości.

Sama ciekawość obyczajów, charakteru i żywota obcych ludów, bliżej niż my natury będących, zajmować cię powinna. Ale ci się naprzykrzyła pustynia, jak mnie wrzawa i zgiełk tego tłumu, który i barbarzyńców nie wart, a w połowie też z nich się składa. Rzymianie ani żyć godnie, ani umierać dostojnie dziś nie umieją. Zapytaj też ulicą idąc o przechodniów: pokażą ci w nich Egipcjan, Żydów, Partów, Greków, Germanów, Syrii i Armenii mieszkańców, jednych od Meockiego jeziora, drugich z Brytanii przybyłych, przyswojonych, obywatelstwem obdarzonych, a między nimi garść ledwie wycieńczonych i bladych Latynów. Spytasz czy i obyczaj rzymski jest? Nie, grecki raczej lub inny cudzoziemski, jak greccy i obcy są bogowie, suknie, potrawy, stoły i domy nasze.

Jednak Rzym miał odwagę, męstwo, godność, i te postradał. Obliczywszy się w Rzymie, może Rzymian jest najmniej, tłumu przybyszów najwięcej.

Zachęcasz mnie i wzywasz, nie mogąc legii opuścić i przybyć do nas, ażeby ci nadal donosił, co się tu dzieje z nami i ze mną.

Powolnego aż nadto znajdziesz mnie żądaniu twojemu, gdyż w próżnowaniu mym listy te i dla mnie niemalą są rozrywką.

Smutne to wszakże są dzieje nasze dzisiejsze i co chwila bardziej przerażające. Wiecie zapewne o wygnaniu Rubelliusza Plauta, przez matkę z rodziny Julia pochodzącego, za to tylko, że głos powszechny, czcząc w nim wielką cnotę i starej czystości obyczaje, za następcę domniemanego po Neronie głosił.

Rubelliusz z żoną Antistią żyli zamknięci i cicho, ale lud czczył ich wielce; kazano im wyjechać do Azji... Smutniejsza jest jeszcze sprawa o testament Domicjusza Balbusa sfalszowany przez chciwość pieniędzy, przez takich ludzi, jak wnuk Azynia Pollo, Marcellus...

Maluję ci to do czegośmy przyszli, jak dalece upadliśmy... Sądzeni wedle prawa Korneliusza, ze stanu senatorskiego wyłączeni zostali...

Marcelliusza pamięć dziada od hańby ocaliła. Widzisz w tym rozprężenie tych co drugim przykładem być powinni; cóż dziwnego potem, że Pedariusza Sekundusa w jego domu niewolnik

własny — czy, że się wyzwolenia przyobiecanego doczekać nie mógł, czy że miłości jakiejś nienawiść w nim i pragnienie zemsty obudziły — zabił. Rzecz stała się rozmyślnie, a wedle prawa inni niewolnicy Sekundusa razem z zabójcą, o którego czynie nie mogli nie wiedzieć, powinni byli podlegać tej co on karze...

Lud się zburzył przeciwko okrutnemu prawu; już nawet pofolgować miano, choć przykład ciągnąłby za sobą zbyt złe skutki; Cezar obstał przy karze, ale drogę, którą winowajców prowadzono, żołnierzami obstawić musiano.

Niewolnicy i tłum szemrze, czuje on w sobie siłę jakąś, nad którą pomyśleć się godzi.

Cóż ci więcej powiem? Poeta Neron przez Antystiusza Pretora wierszem wyszydzony został... Stąd zaraz usłużnego donosiciela skarga, Kossucjan go wydaje, sądzą. Cezar prawie łaskawego przybiera postać. Inny, zachęcony przykładem, skarży za *Codicille* Vejeta. Księgi palą, autorowie idą na wygnanie...

O śmierci Burrusa wieści was dojść musiały... Wszyscy żałują go, szepczą niektórzy o truciznie, wieszczą źle i Senece, który czując niebezpieczeństwo rad by się ucznia czułościom wywinać.

Oczekujemy bliskiego ożenienia z Poppeą, która wszelkich używa środków przeciw Oktawii, aby do rozwodu jej z Neronem powód wyszukać pozorny. Głoszą bliżsi dworu, że rachując na powszechną kobiet słabość do muzyków, nasadzono aleksandryjczyka Eucaezruia, flecistę, aby o miłości z nim nieszczęśliwą pomówić. Poppea, jak łatwo przewidzieć, zwycięży. Ale lud rzymski, płochy wprawdzie i zepsuty, tej pysznej lubieżnicy nie cierpi; a Oktawie czci jako czystą gałązkę rodu Augustowego. Ilekroć pokaże się Oktawia oklaski, kwiaty, okrzyki jej towarzyszą, gdy niejeden posąg pięknej Poppei wyróciła ręka niewidzialna. Zwiększa to zajadłość jej przeciwko żonie Cezara, której łożę zająć pragnie.

Przywiązanie Nerona do niej zdaje się coraz powiększać. Akte usunięta na stronę, ulubieńcy inni zapomniani; jeden cyrk na Watykanie z nią w sercu Cezara o pierwszeństwo walczyć może. Tłum przypuszczony do przypatrywania się wyścigom, widząc go tak zajadle pędzącego do mety, jak gdyby u niej nie delfiny i nie jaja miał znaleźć, ale szczęście państwa... to się uśmiecha, to poklaskuje. — augustanie pod niebiosą zręczność i talenta wynoszą...

Na domiar szaleństwa, Gajuszu miły, zjawiała się i nowa potajemnie szerzona religia, o której ci napisać co nie wiem, tak różne o niej chodzą wieści. Przynieśli ją tu Żydzi; ale mówią, że i między Rzymianami powoli się szerzy, znajdując skłonnych do jej przyjęcia. Dziwy prawią o nowych jej obrzędach po jaskiniach odprawianych, o czci przez jej wyznawców oddawanej wbitemu na krzyż osłowi, o ucztach ich, biesiadach i ofiarach. Wszystko to są uliczne wieści, kryją one w sobie sektę jakąś zaraźliwą, która pewnie nie na zużytych praktykach, ani na rozpuszcie się opiera, ale na nieznanym nam prawdach, jeżeli istotnie adeptów tak licznych, jak powiadają, zyskuje. Dla niedowiarków takich, dla których bogowie dawno nietykalni być przestali, trzeba by coś innego a nowego, nie tego co już raz i w różny sposób odrzucone zostało i wyśmiane. Nie Izydy i Mitry tajemnie przyobleczonej w formę inną, ale nowego światła...

Zdziwisz się może zdaniu mojemu, i dlaczego ani ohydnam nowej wiary, ani się jej lękam jak

drudzy; ale Chryzyp mnie nauczył nie sądzić o tym, czego nie znam, a łatwiej dobre niż złe przypuszczać.

Mam, wyznaję ci, to silne przekonanie, iż coś nowego świata potrzeba, ażeby się oczyścił i lepsze, młode rozpoczął życie. Czczność tego, co jest, nadto widoczna i dotkliwa.

Czyli owa wiara tajemna, co się ukrywa kędyś w arenariach, jak powiadają, pod ziemią, w nocnych pomrokach, przyniesie nam upragnione dobro, nie wiem, ale trzymam z Chryzypem, że bogowie, złe do kresu dopuściwszy, muszą od zguby uratować ludzkość.

Jest tego przekonania i Sabina, która powiada często, iż nowe źródło prawdy wytrysnąć powinno dla spragnionych, gdy usta wyschną a napoju wołać będzie człowiek. Jeżeli z innymi z obrzydzeniem o nowej sekcie się nie odzywam, Chryzypowi i jej to winienem; w Rzymie, zresztą, jest ona pośmiewiskiem i ohydą powszechną. Przypisują nawet wpływowi chrześcijan to burzenie się niewolników i ludu w czasie sądu na zabójców Pedariusza Sekundusa.

Zresztą czego Rzym zepsuty się obawia, co nienawidzi, już tym samym przeciwnym mu jest, zatem złym być nie może.

Masz tedy i spraw publicznych niejakię pojęcie i zaprzątnień naszych; zresztą nam życie cicho i dość jednostajnie upływa. W domu Sabiny spotykam poważnych ludzi, z którymi na rozmowie wieczory upływają. Otacza się ona chętnie takimi, co z nią jednej są myśli; u niej poznałem Feniusza Rufusa, Torkwata Silana, u niej poznałem znakomitego, a może w dzisiejszych czasach najczcigodniejszego, niezłomnej odwagi, Trazeasa; u niej widuję coraz mniej ukazującego się w mieście Senekę, u niej Pizona. Wszyscy owi tak się na dzisiejsze zapatrują sprawy jak ja i ona. W spokojnym tym zakątku, gdy Rzym szaleje, gdy okrzyki i wrzawa uczt Cezara od Palatynu tysiącem ogni płonącego nas dochodzą wśród nocy, my w murach jej domostwa, pod kryptoportykiem lub w ogrodzie poważnie rozprawiamy o losach państw, ludzi i niestałości rzeczy ludzkich. Trzeba byś wiedział, że przy dawnym Mecenasa domu na Palatynie wysoka wznosi się wieża do pałacu Nerona należąca, widzimy ją z *xystu* Sabiny. Jednej z tych nocy, o których wspomniałem, siedzieliśmy na rozmowie, gdy jej wierzchołek oświecono... Wszedł Neron przybrany w wieniec, przebrany za Apollina z lutnią w rękę... i otoczony augustanami śpiewał... Głos jego nie dochodził uszów naszych, ale postać widzieliśmy wszyscy i oniemieliśmy przejęci smutkiem i grozą... Czyż są to zabawy godne Cezara?... Na dole wrzawa i zamęt, w górze komedia sprośna...

Pomimo pozornej wesołości Rzymu i ciągłego ucztowania, którego marnotrawstwa i przepychu wyobrażenia dać bym ci nie potrafił, głęboki smutek pożera tę społeczność. Samo pragnienie nadzwyczajnych rozrywek, na które świat cały składać się musi trybutem krwi i złota, już zwiastuje próżnię w sercach i umysłach, niczym nie dającą się zapełnić. Dziś w cyrku pada tysiące zwierząt i setki ludzi, jeszcze krew nie wsiąkła w arenę, oto już nowych zabaw, szaleństw i widowisk woła, domaga się lud rzymski.

Potrzeba mu tej posoki, tych trupów, trzeba mu darmo rozdawanego chleba, bezpłatnej łaźni i balwierz, podarków od możliwych rozdawanych u drzwi bogaczy choćby wczoraj dopiero wyzwolonych, upokarzającej jałmużny, aby był syt i siedział spokojnie, bo inaczej burzyć się będzie.

Pracować nie umie i nie chce *populus Romanus*; z wojny ceni tylko łupy i widowisko tryumfów, wkrótce najemnikami legie obsadzić przyjdzie, bo do nich w Rzymie ochotników nie stanie, rycerstwu ciąży nawet pierścień na palcu, cóż zbroja? Gdzie się podziało dawne męstwo Rzymian i do boju ochota? Oto w plugawej roztopiło się rozpuście i w beczynności strupieszalo.

Takie jest, nie powiem moje, ale nasze zdanie o tym na co patrzeć jesteście zmuszeni. Ilekroć, zbliżam się do tego świata, niesmak i gorycz z niego wynoszę. Sabina siedzi zamknięta w domu, gdyż uczciwej niewieście dziś się na ulicy pokazać trudno, już nie tylko dlatego, aby na szaly bezwstyde, które się po nich rozlegają, nie patrzeć, lecz by samej nie popaść w niebezpieczeństwo. Dość być piękną i wpaść w oko jednemu z ulubieńców Nerona, aby we własnym domu nie być bezpieczną. Cnota jest dla nich więcej niż nieprzyjacielem, jest wyrzutem przeciw ich bezwstydnosci i bezprawiu.

Nigdy też Sabiny nie namawiał, aby się publicznie ukazywała, aleśmy nie uniknęli tego, co widać w jej i moim było przeznaczeniu.

Jest w tym nieco winy Sabiny, która jakkolwiek doskonałą jest, przecież jako niewiasta, ciekawą. Do tej pory strzegła się ona widowisk tłumnych, na które żadnej nie okazywała ochoty, brzydząc się krwawymi zapasy; tyle wszakże ostatnimi czasy mówiono o wspaniałości igrzysk nowych, które z powodu zwycięstw w Armenii odniesionych wyprawić miano, tyle o samym Cezarze, i o ogromnym zbiegowisku ludzi a najprzedziwniejszych zapaśników zebraniu, iż Sabina nawet ujrzyć te szaly zapragnęła. Opierałem się temu, usiłując ją odwieść od zamierzonej wycieczki; Chryzyp mnie wszakże nie poparł, i to jej dało zwycięstwo. Wedle niego ciekawość ta była naturalną i potrzebowała być zaspokojoną. Sabina też uśmiechała się z niebezpieczeństwa, jakie ja w tym upatrywałem, na przykład stawiając najpoważniejsze Rzymu matrony i westalki, które niekiedy igrzyskom przytomne bywały. Rozkazała mi sobie towarzyszyć. Sądzę, że wiadomość, iż sam Cezar miał się tam znajdować, niemało się do zaostrenia ciekawości przyczyniać musiała, gdyż potwora tego każdy ujrzyć pragnie. Sabina przybrała się nie obyczajem kobiet, które więcej widzianymi być pragną niż widzieć pożądata, osłoniła się tak, że rysów jej nikt dojrzyć nie mógł, ani na strój skromny zwrócić uwagi, zwłaszcza obok innych kobiet co byle się przybrać, za ostatniego asa odzież i klejnoty najmują. Dwie towarzyszki, kilku niewolników i wyzwoleńców, ja na ostatku i ludzie niosący lektyki, towarzyszyliśmy jej do amfiteatru. Osobne miejsce na galerii krytej dla kobiet przeznaczonej, wcześniej sobie zapewniliśmy. Ale wszedłszy tu, sądzą że Sabina wolałaby była, gdyby zwyczaj dozwalał, przenieść się między mężczyzn, tak przykrym znalazła się otoczona sąsiedztwem. Siedziały wprawdzie senatorskie żony i córki obok, lecz któż by się tego z ich twarzy i ruchów domyślił? Nigdy bezwstyd niewiast naszych tak mnie nie raził, jak gdym od niego postrzegł rumieniącą się twarz jej. Na pół nagie, umalowane, utrefione, obwieszane klejnotami, śmiejące się, przywołujące i dające znaki mężczyznom, głośno chlubiące się sromotą swą otoczyły ją kobiety. Rzekłbyś niewolnice lub wyzwolone niedawno śpiewaczki i tancerki... Krążyły z ust do ust na widok gladiatorów okrzyki i imiona ich kochanek... Patrzyłem i bolałem z Sabina. Milcząca, na przemian czerwonością i bledością mieniąca się, z osłoniętą głową, obrócona ku arenie, nie wiedziała gdzie się skryć od otaczającej sromoty. Widziałem na jej twarzy bolesne wrażenie, gdy krew płynąc zaczęła a trupy na gorączkowe domaganie się tłumu dobijano i za nogi wyciągano przez *vomitoria*. Smutna oparła się na rękę i płakać zdawała się nad widokiem, który drugich roznamiętnił do szału. Cezar z orszakiem swym, z Tygellinem, Epafrodytem, Senecjuszem, Poppeą, tłumem gachów prawie

za niewiasty poprzebieranych a między nimi celujący krasą Pitagoras z długim włosom spadającym na ramiona, posypanym prochem złotym — ciekawym był także dla nas widowiskiem. Poniżej na ławach, świeżo przez Nerona rozdzielonych na rycerskie i senatorskie, orszak przyjaciół Gajusza Pizona, chmurne twarze poważnych ludzi...

Oznajmione było, iż oprócz igrzysk gladiatorów i bestiariów, miano kilku ludzi z tej nowej sekty chrześcijan, o której wspomniałem, dać na walkę z dzikimi zwierzętami. Schwytano ich na jakichś nocnych zabobonnych obrzędach... Lud roznamiętniony wołał nieustannie: Chrześcijan zwierzętom! Chrześcijan! Cezar nareszcie dał znak; wszystkich oczy chciwie się zwróciły ku kratom.

Wówczas ujrzeliśmy widok, którego póki żyw nie zapomnę. Powoli podniosły się zapory i lew naprzód, potem pantera i tygrys, biczem wygnane z łożysk, na arenę wybiegły.

Zwierzęta zdawały się wylękłe i wcale do walki nie okazywały ochoty, tuliły się one do murów spoglądając tchórzliwie, jakby szukały kędy się wymknąć. Każdy wrzask widzów nowym je nabawiał strachem. Lew wreszcie położył się, pantera wachając obchodziła dokoła, tygrys dał kilka wielkich skoków i jakby na zasadzce utkwiał bacznie się rozglądając... Wtem kraty drugiego *vomitorium* zaskrzypiały, oczy wszystkich zwróciły się ku nim, szmer na ławach, wyciągnięte szyje i głowy... Chrześcijanie! Chrześcijanie! — wołano... Czekaliśmy, nic się nie ukazywało. Śpiew jakiś smętny, dziwny, poważny uprzedził ukazanie się trojga ludzi... był to starzec wychudły, młode dziewczę wielkiej piękności i mężczyzna w sile wieku czarno zarosły.

Nie dano im widocznie żadnej broni lub też jej przyjąć nie chcieli, nawet opasek na nogi i włóczni. Przodem szedł najstarszy, a w rękach niósł tylko mały jakiś drzewa kawałek związanego na krzyż, którego użytku i znaczenia zrozumieć nie mogliśmy, za nim postępowało dziewczę, osłaniając się rękami ze wstydu, potem szedł z chmurnym ale spokojnym wejrzeniem młodzieniec. Idąc, śpiewali ciągle, co śmiech dziki obudziło w tłumach. Doszli tak aż do środka areny, a żadne ze zwierząt ich nie zaczepiło, tu wszystko troje uklękli.

Cezar i tłum sądzili, że o litość proszą, i wrzeć wszystko zaczęło w teatrze, domagając się walki i śmierci. Kobiety wrzeszczały najgłośniejsz, niecierpliwiły się zwłoką, plwały i łajały. Oni wcale na to nie zważając, klęczeli, zdawali się modlić. Uważałem, że przelękli, jak się nam zrazu zdawało, nie byli.

Trwało oczekiwanie chwilę, a dzikie bestie spoglądały tylko na owych ludzi bezbronnych, jakby się na nich rzucić nie śmiały.

Nareszcie wygłodzony tygrys przypełznął z tyłu do młodzieńca, skoczył nań, obejmując go łapami, gniołąc i szarpiąc brzuch i piersi, a paszczką gruchocząc czaszkę.

Stało się to w mgnieniu oka, padł chrześcijanin ze złożonymi rękami, krew trysnęła obficie, ale męczarnia była krótka. Tłum szemrać i niecierpliwić się począł znowu, nie tego mu było potrzeba: walki, dramatu i dłuższego pastwienia się.

Gdy młodzieniec upadł, kobieta o krok stojąca od niego i starzec podniósłszy głos, śpiewali ciągle, dziwnie, straszno i nadludzko spokojnie. Oczy mieli podniesione w niebo jakby z obłoku bogów,

jakich zstąpić ku nim mających spodziewali się. Wprawdzie czułem, jak głos niewiasty, a raczej dziecięcia tego zadrżał, widziałem jak łzy potoczyły się z jej oczu, ale starzec klęczał obok niej niewzruszony i wejrzeniem zdawał się jej sił dodawać.

Tygrys swą pastwą się karmił, a raczej rozszarpywał ją okrutnie, niekiedy tylko spoglądając na lwa i panterę, gdyż zapach krwi i widok trupa obudziły i tamte zwierzęta. Lew rzucił się nie na ludzi, ale na tygrysa, który od zwłok krwawych odbiegł, pokazując zęby.

Wówczas ujrzeliśmy obraz, który by z oczu najdzikszego człowieka łzy wycisnął, a z ludu rzymskiego dobył tylko naigrawanie okrutne. Młode dziewczę pochyliło się nad zwłokami brata i stopy jego, płacząc, całować zaczęło. Tak nad nimi pochyloną z boku schwyciła pantera, drasnęła ją ledwie, i piękna jej główka jak zwiędły kwiat pochyliła się blada, prawie bez śmiertelnego wysiłku... Ostatnie tchnienie z ust wyszło z lekkim okrzykiem, który śpiew przerwał i płacz zarazem.

Starzec, zapewne ojciec rodziny, pozostał sam, głosu mu zabrakło, ale ustami poruszał jakby coś jeszcze odmawiał. Tłum wyzywał, zmuszał, pędził do walki, nakazywał, łajał na próżno, smętnie patrzył na zwłoki dzieci, czekając śmierci z okiem nie zmrużonym.

Nie wiem już jakim uczuciem oddychał tłum, alem uczuł w sobie taką litość dla tych nieszczęśliwych, taką wzdargę dla tych okrutników co się jego śmierci domagali, że mi się chciało niemal skoczyć i stanąć w obronie chrześcijanina... Przekonałem się później, iż szlachetne serce Sabiny podzielało moje uczucie.

Chrześcijanie, sekciarze plugawi, przecież to ludzie byli!

Gdym oczy podniósł ku arenie, ujrzałem lwa rozszarpanego przez tygrysa i wyziewającego ducha z rykiem i chrapaniem okrutnym, dobijali go oszczepami pachołkowie, tygrys krwawe na uboczu lizał rany, a pantera darła białe ciało niewiasty... Kałuże krwi wsiąkały powoli w piasek. Starzec się modlił, rzucono mu oszczep, aby z nim szedł na tygrysa lub panterę, lecz go nie podjął.

— Na śmierć! Na śmierć! — poczęto krzyżeć ze wszystkich ław, amfiteatr cały, *cavea*, galeria, podium, trząść się zdawały od rozpasanego wrzasku, kobiety suknie szarpały na sobie. Na ławach senatorskich najbliższych areny powaga dostojności nie wzbraniała równej wrzawy jak na najwyższych...

Starzec się modlił, ale widocznym było, że strach go nie złamał; nie prosił o życie, nie patrzył nawet na widzów, na Cezara i westalki. Trwało by to może długo, bo tygrys ranami, a pantera trupem była zajęta, gdyby na znak dany przez Nerona nie przybyli oprawcy; jeden z nich przyszedł i krótki miecz w piersi chrześcijanina utopił.

Widział on jak śmierć szła ku niemu, nie drgnął wszakże, tylko oczy ciągle podnosił ku niebu, goręcej zdawał się coraz modlić, czy do niewidzialnych jakichś demonów odzywać, aż gdy kat przypadł, rozwarł ramiona, nastawił pierś... i krwią zbroczony upadł nie wypuściwszy z ręki owego kawałka drzewa.

Nie wiem czy większym byłoby męstwem walczyć z rozpaczą, czy z tak stoickim spokojem czekać

śmierci nie okazując najmniejszej obawy.

Gdy trupy wywlekano, lud nie był rad i domagał się zapewne czegoś więcej nad to, aleśmy już dłużej wytrwać nie mogli. Sabina dała mi znak, że do domu powrócić pragnęła: pospieszyłem by jej towarzyszyć, gdyż powrót z amfiteatru o mroku groził większym niż przybycie niebezpieczeństwem; ulice pełne były młodzieży winem i igrzyskami upojonej.

Zastałem też lektykę jej otoczoną ciekawymi, a pomiędzy nimi Leliusza.

Znałeś go pewnie, bo był naszym naczelnikiem i razem z nami chadzał do szkoły, gdyśmy jeszcze wszyscy gałki na piersiach nosili (*Bulla aurea*) zanim je z *pretextą* i włosami złożyliśmy bogom w ofierze — szczęśliwi, że wychodzimy z dzieciństwa i spod plag mistrza!

Leliusz moim i Sabiny dalekim krewnym, ale z owego pięknego chłopięcia, co dziś wyrosło trudno byś odgadł nie widząc.

Nie mąż, nie *eques romanus*, nie togą okryty młodzian, ale prawie — niewiasta.

W długiej fałdzistej sukni pstrej a tak lekkiej, jakby nagość odkrywać nie zasłaniać miała, z głową utrefioną, zlany wonnościami, których połowa starczyłaby na zabalsamowanie umarłego, z rękami w mnóstwo pierścieni przystrojonymi, Leliusz wygląda raczej na histriona grającego rolę kobiety niżeli na młodego człowieka. Łacno też odgadnąć obyczaje z jego powierzchowności... i że należy do najpoufalszych dworzan Nerona, który jego pochwały równie ceni jak Senecjona i ma go za wyrocznie wytworności i dobrego smaku.

Przez uchyloną zasłonę lektyki ujrzał on Sabinę i poskoczył wdzięcząc się do niej, nim *plagule* zaciągnąć za sobą pospieszyła i ukryć się przed jego oczyma. Szczęściem niewolnicy ujęli ją na ramiona i ruszyli z miejsca żywo. Zostałem ja na łup Leliuszowi, który mnie poznał, po imieniu zawołał i począł się uskarżać, że Sabina nawet doń słowa nie powiedziała. Tłumaczyłem ją, że to nie było miejsce do odnawiania lub zawierania znajomości, zresztą właściwą skromnością niewieścią. Tak się rozstaliśmy. Ale nie rad jestem spotkaniu z człowiekiem, który mi się wydaje niebezpiecznym, bo chciwy jest nowych twarzy, nowych miłostek i intryg.

Gdy nazajutrz Sabinę odwiedziłem, zastałem ją zmieszaną i zadumaną, długo myśli jej odgadnąć nie mogąc. Przyznała mi się w końcu, jakie w niej obrzydzenie sprawiło to widowisko i jak była przejęta męstwem, z którym szli na śmierć owi chrześcijanie.

— Wierzcie mi Juliuszu — rzekła — nie może to być prawdą co rozpowiadają o ich rozpuszcie, o szkaradnych praktykach i zabobonach. Rozpusta odbiera siły, czyni bojaźliwym wobec śmierci. Ludzie ci umierali jak stoicy, jak Rzymianie by nie potrafili — nawet bez oburzenia i gniewu, gardząc obroną daremną, ufni w jakąś siłę, w coś nam nieznanego, tajemnego, ale potężnego. Uderzona zostałam spokojem tego starca i niewiasty...

Wyznałem jej, że oni i na mnie podobne uczynili wrażenie.

Nigdy smutniejszej i poważniejszej nie widziałem Sabiny, jak teraz, od chwili tego dziwnego

widowiska, które dotąd oczom jest moim przytomne. Ale list zbyt długi, Gajuszu drogi, kończę go. Wina nie moja, sam żądałeś abym był rozwlekłym. Bądź mi zdrow i napisz też o sobie.

IV

Sabina Marcja Zenonowi Ateńczykowi pozdrowienie

Boleśnie mi, że ciebie, do którego rady przywykłam, wówczas gdy pragnęłabym cię mieć jak najbliżej, tak daleko szukać muszę, mistrzu mój drogi. Tyś był ojcem mej duszy, przewodnikiem młodości, starsza i dojrzała dziś w niepewności wszelkiej cię szukani. Gdybyś mnie był nie nauczył, że najpiękniejszą cnotą jest ludziom czynić dobrze, a największą rozkoszą o ich szczęście się starać, może bym cię była nie puściła do twych smutnych i pustych Aten, po których dziś tylko błędzą cienie wielkiej przeszłości. Aleś zapragnął popioły swe złożyć na tej ukochanej ziemi, która ci była matką i musiałam zerwać węzły niewoli, co cię do naszego domu przykutym trzymały. A jednak braknie mi ciebie, stary przyjacielu, niemal codziennie na wiele niebezpieczeństw narażona, nie czuję w sobie dosyć siły, aby się im oprzeć. Nie porzuciłeś mnie jeszcze dosyć zbrojną, choć ci się czasem zdawało, że już sama życiu podołać mogę.

Przebaczysz mi więc, że spokojną twą starość, którą byś rad spędzić, zapominając może o Rzymie, zakłócam zapytaniami trudzącymi i niepokoję listami. Pamiętam dobrze dzieciństwo mojego lata, gdy wszelkie światło z ust twoich czerpałam, gdy ty poniewierany przez ludzi, często wyśmiewany przez nich, wydawałeś mi się stokroć większym nad tych, co ani cię szanować, ani w tobie mądrości cenić nie umieli. Jak spragniony zwierz idzie do znanego mu źródła, tak ja, mistrzu mój stary, spieszę do ciebie.

Znacie dobrze życie rzymskie, boście na nie patrzyli z tego niskiego stanowiska niewoli waszej i upokorzenia na jakie wszyscy Grecy są tu narażeni, jeśli się dworactwem i pochlebstwami nie okupią. Lepiej je, choć surowiej osądzić może za granicami jego postawiony mędrzec, niż obracający się w nim i pochwycony wirem jego Rzymianin.

Ale od czasu jakście opuścili nasze miasto, nawet od tych lat kilku, wiele się tu jeszcze zmieniło. Wyrosło to, co zdawało się, że się już powiększyć nie może, schorowany świat nasz, jakęś ty go nazywał, słabszym jest dziś niż kiedykolwiek. Wystawcie sobie, jeśli możecie, zwiększony jeszcze szal, dziesięciokroć bezwstydniejsze rozpasanie i zapomnienie wszelkich prawideł, które mądrość ludziom jako wskazówki życia podaje. Przykład idzie z góry, a nie wolno mu nie być posłusznym; kto cnoty się dziś trzyma, Cezara obraża i bogi. Jak cały świat stworzony jest dla Rzymu, tak cały Rzym dla Cezara.

Na cóż bym ci opisywać miała to, czegoś ty widział początki, co odgadnąć potrafisz po ziarnie, z którego wyszło. Pomnisz zresztą niedawną przeszłość, Tyberiusza, Kaligulę, Klaudiusza, myśmy ich obyczaje daleko przeszli i wyprzedzili dziwactwa. Dochodzą was zapewne wieści z Rzymu. Zwykle w ustach pospółstwa zmieniają się one — wiercie, że cokolwiek one wam przyniosą, za małym będzie przy rzeczywistości. Z pierwotnych cnót pozostały tylko wspomnienia i pośmiewisko

wszystkiego, co świat nauczył się szanować.

Pojmujesz przyjacielu i mistrzu, że w takim świecie odosobnienie jest obowiązkiem, nie zdziwisz się, gdy ci powiem, że żyję prawie zupełnie samotna. Zamknięta w *gyneceum* z dziecięciem moim, ledwie mam przemówić do kogo; obcuję z duchem twym i dawnych filozofów twej ojczyzny.

Czasem nawiedza mnie Chryzyp, nauczyciel Juliusza, dobrze ci znany i sam Juliusz, któremu wszczepił miłość mądrości i szlachetnego życia prawidła. Juliusz jest młodzieńcem jakich mało, a pamięć Marka, który go tak wychować potrafił, jest mi przezeń drogą. Nie był on sam, jakim być pragnął, ale cnotę cenić w drugim umiał.

Ponieważ mam ci ważne zadać pytania, bądź cierpliwy nim opowiem, jakem do uczynienia ci ich przyszła, inaczej dziwnie by ci one brzmiały.

Przyznaję się naprzód, że tego Cezara o którym świat mówi tyle, histriona, poety i muzyka, który pod karą śmierci wielbić się każe, ciekawą widzieć była. Udałam się na igrzyska. — Dziwny obraz uderzył moje oczy.

Powstała niedawno w Judei sekta żydowska, gęsto już w Rzymie rozsiana; zwolennicy jej chrześcijanami się zowią. Rozpowiadają o nich poczarne rzeczy, lud ich nie cierpi, Cezar prześladować każe i tępić.

Dnia tego właśnie kilku schwyconych na jakichś zabobonnych obrzędach miano dać na walkę z dzikimi zwierzętami.

Wyprowadzono starca, dziewicę młodą i mężczyznę. Gdybyś był widział, jak szli na śmierć, gardząc śmiercią, jak umierać umieli! Był to widok poruszający, choć tłum gniewał się i zrywał, iż nie chcąc się bronić odejmowali mu w widowisku przyjemność. Byłam w uwielbieniu dla nich, ale zgraja nielitościwa domagała się okrutnie śmierci i padli wszyscy.

Nie, nie zapomnę nigdy, z jaką godnością konali bez jęku prawie wobec tych tysięcy, które boleści ich urągały szkaradnym wrzaskiem. Widząc ich tak spokojnie idących na śmierć, tak znoszących męczarnie ze stoicyzmem filozofów — pomyślałam sobie, że w nauce tej sekty, być coś musi co im daje tę siłę.

Wyznaję ci, że jak byłam zawsze może do zbytku ciekawą prawdy i mądrości wszelkiej, tak i teraz uspokoić się nie mogłam, pragnąc poznać tajemnice tej nowej wiary, o której tak dziwne chodziły i chodzą wieści.

Lecz to, co zakrytym jest dla mężczyzn, jakże przystępnym być miało dla zamkniętej pośród czterech ścian niewiasty? Na próżno szukałam środków zbadania tajemnicy; byłaby ona pozostała dla mnie zakrytą, gdyby nie dziwne zrządzenie. Pomiedzy niewolnicami domu naszego od dawna najulubieńszą była mi Ruta* zajmująca teraz miejsce dozorczyń szat (*vestispica*). Małym dziecięciem kupiła ją matka moja, ulitowawszy się nad jej wynędznieniem i bladeścią, ujęta też pięknnością dziewczęcia jasnowłosego, łagodnego wejrzenia i żywego umysłu. Ruta niewiadomego jest całkiem pochodzenia, kupiec mówił, że nabył ją od tych, którzy za bursztynem wędrowali w krainy północne,

często stamtąd niewiasty przyprowadzając i dzieci, gdy na wojnę jaką między plemionami, kraje te zamieszkującymi, trafili. Matka moja polubiwszy ją, uczyć kazała, ale zważając na spokojny charakter, łagodność dziecka i niewielkie jego siły a niepospolitą zręczność, użyła ją do robót lekkich, potem do składania, nareszcie do dozorowania szat.

Wzrosła ona razem ze mną, acz może o jaki rok starszą jest ode mnie. Przywykłam do cichych jej posług, miłego uśmiechu i milczącego obyczaju.

Ze wszech miar też Ruta zasługiwała na miłość moją, gdyż i obejściu się jej i życiu nic zarzucić nie było można. — Acz niewolnica zdawała się mieć poczucie godności człowieczej, powagą swą odstręczała od siebie najzuchwalszych. Większą część dnia spędzała w izdebce swej przy *vestiarium*, w którym teraz przynajmniej, wiele do czynienia nie miała. Ty wiesz, jak ja się zbytkiem w szatach brzydzę i skromność w nich lubię, boć piękność niewiasty nie na stroju zawisła, a szaty wytworność nie doda wdzięku, jeżeli z duszy on nie płynie.

W ostatnich czasach postrzegłam, że Ruta często oddalała się z domu, pobłażałam, ale w końcu przykro mi było, bom ją o płochość posądzić musiała.

Straciła w oczach moich, wszakże nie chciałam się jej okazać surową... Hyppia współzawodniczka jej i nieprzyjaciółka donosiła mi o częstych nocnych nawet wycieczkach — kazałam milczeć Hyppii.

Juzem do niej serce traciła i z litością spoglądałam na nieszczęśliwą, gdy to widowisko chrześcijan tak mnie całą poruszyło, że powróciwszy do domu, o nim i o nim tylko mówiłam prawie ze łzami. Nie dostrzegłam nawet, że Ruta mnie podsłuchiwała.

Nazajutrz, gdym siedziała zamyślona, Ruta wsunęła się po cichu i uklękła przede mną.

Miała jakieś łzawe oczy i twarz niezwykłym zarumienioną blaskiem. Nikogo nie było z nami. Odłoniła szaty i w rękach ukazała mi taki sam kawałek drzewa związanego na krzyż, jaki widziałam u chrześcijan idących na męczeństwo. Poruszyłam się i wstrząsnęłam całą.

— Ruto — rzekłam — co to ma znaczyć?

— O dobra pani moja — odpowiedziała mi — widzisz, i ja — jestem... chrześcijanką!

Jakkolwiek ciekawą byłam tajemnicy; na te słowa przysły mi na pamięć skarady, które powszechnie o nich opowiadają i cofnęłam się od niej prawie przerażona.

Ruta zbladła i zamilkła, zdawało się, że ją wielki przestрах ogarnął; schyliła głowę i szepnęła:

Jeżelim winna, ukarż mnie; ale daruj mi tyle życia, bym ciebie o nauce żywota wiecznego oświecić mogła. Pani, ty jesteś godną być chrześcijanką. Umrę chętnie, bylebym mogła ziarno to zasiać w twej duszy, wzrośnie ono kiedyś krwią polaną, choćby moją...

Otóż, kochany mistrzu, jak doszłam do upragnionej mi wiadomości, czym jest nauka nowa. Wyznam ci, zdumiała mnie ona, znałam prawie wszystko co rozum ludzki zdobył mądrości wiekami, ale tego

co mnie uboga nauczyła niewolnica, sam umysł mój nawet z pomocą mistrzów, z wiedzą wszystkiego do czego ludzie doszli, sam by wynaleźć i z łupin wątpliwości dobyć nie mógł. Zgadujesz już, że cię o tę naukę pytać będę.

Mówiono mi, że się ona i w Grecji rozszerza, że po całym rozchodzi się świecie z zadziwiającą szybkością, która cudem się być zdaje; nie potrzebuję więc wykladać ci jej, mój mistrzu, znasz ją zapewne. Ty coś dla nabycia nauki życie całe poświęcił, nie możesz być jej obcym. Powiedzże mi, powiedz proszę, co o niej sądzisz? Czy tylko mnie wydaje się ona tak wielką i piękną w swej prostocie i pozornym barbarzyństwie? Czy mojemu sercu tylko wydaje się ona tak boską, dlatego że jego uczuciom pochlebia? Jestli to jedyna prawda, jak oni mówią, czy jedna z prawd wielu rozsianych po świecie, których szczątki zbierają ludzie?

Naucz mnie, oświeć, czuję w sobie niepewność wielką, a mamli rzec prawdę? Pragnienie wielkie przyjęcia i poświęcenia się religii nowej. Ale jestem słabą niewiastą i lękam się uroku, jaki ma dla mnie nowość, nie dałam się wprowadzić jeszcze i związać żadnego stopnia wtajemniczeniem. Pragnę i lękam się, czuję, że tu się potrzeba oddać całą. Bóg ich jest zazdrosnym Bogiem i nie dzieli się z nikim. Mistrzu kochany, z upragnieniem czekać będę, aby mi wiatry szczęśliwe wieść jaką od ciebie przyniosły... Pozdrawiam cię z uczuciem córki.

V

Zenon Ateńczyk Sabinie Marcji zdrowia i szczęścia

Więc o starym waszym niewolniku nie zapomnieliście jeszcze? Zdumiałem się widząc, że jest ktoś na świecie co o mnie pamięta, któremu na coś przydatnym być mogę. Stary, znużony życiem dogorywałem, gdy mnie pisanie wasze obudziło. Więc niech ci bogowie ten dobry uczynek nagrodzą.

Nie znacie jeszcze, i bogdajbyście nigdy nie poznali jak gorzki jest chleb w starości człowiekowi, który jak ja za ubogim był, aby mógł mieć rodzinę, dom, aby w jednym mieszkając miejscu stał się potrzebnym, miłym, chociażby przez nawyknięcie, ludziom znośnym. Część znaczną życia mojego spędziłem w niewoli, w obcym mi Rzymie, gdzie tylko upokorzenia, upadku narodu mojego był świadkiem.

Oprócz ciebie jednej, nic mnie do tego grodu nie przywiązywało, z rąk do rąk przechodząc jak bydlę którym orzą, służyłem za kopistę, za lektora, za *glutinatora*, był czas, że z osłem chodziłem na przemian we młynie, potem dano mi dzieci do nauki i znowu nosić kazano wodę ze studni, i znowu filozofować... Nigdzie wszakże człowiekiem mi być nie było wolno, ale niewolnikiem. Cudem bogów uniknąłem, że mnie na czole lub policzkach nie napiętnowano. Wyście dopiero, na stare lata, oddali mi swobodę i dozwolili powrócić na tę ziemię, z której sierotą, dziecięciem kupiec mnie wyprowadził... na ten długi *Odojporikōn* niewoli...

Obywatel świata, wracając do ojczyzny, poczułem wszakże, iż ją kochałem; stare serce uderzyło we mnie gdyśmy do pirejskiego portu przyплыwali. Wsiadłem na ląd, ofiary czyniąc Neptunowi i Minerwie Ateńskiej, ale jakże przykry był ten powrót! Nikt mnie tu nie znał, nikt nie czekał i nie witał.

Wlokłem się sam jeden z sakwami podróżnymi wzdłuż murów długich *Makri Tejche* co port z miastem łączą; ludzie do których się odzywałem, z głosu mej mowy zepsutej długim w Rzymie pobylem, wzięli mnie za cudzoziemca, jedni odwracali się ze wstrętem, drudzy omijali z obojętnością. Nie miałem ani dokąd zająć ani o kogo zapytać, imiona którym wymawiał, śmiech budziły, były to stare grobowych urn napisy... Przyjął mnie *ksenodochos* za pieniądze, gospoda otwarta dla takich jak ja biedaków, pełno nie takiego jak ja ludu, przekupniów, handlarzy, majtków. Nie kupiec, nie podróżny, nie obcy i nie swój, byłem dla wszystkich zagadką, zagadką byłem sam dla siebie. W Atenach, ojczyźnie mej, na pierwszym kroku uczułem się nie jak w domu, ale prawie tak samo obcym jak w Rzymie.

Wystawiałem sobie Ateny nie takimi, jakimi je porzuciłem w dzieciństwie, bom ich z tamtego czasu nie pamiętał nawet, ale jakimi z ksiąg i podań odmalowały mi się w umyśle... Zapomniałem, że przeszła po nich mściwa ręka waszego Sylli, po której z gruzów się już miasto podźwignąć nie

mogło, ani Murychia, ani Pireus...

Znalazłem szczątki na pustyni obcymi zalanej i bez życia. Próżno tu szukałem nauki, wywieziono ją do waszego Rzymu, i arcydzieł sztuki, po których zostały opustoszone podstawy; cieniów nawet co były chwałą naszą, pamięć się zacierała. Znalazłem w miejscu igrzysk olimpijskich cyrk Cezara Nerona, w ogrodach Akademosa waszych Greków z Suburry... W Atenach Aten nie było... Wielkie duchy mędrców i bohaterów uciekły z tej pustki; Minerwa Pallas opuściła swe świątynie.

O boleści wielka i niewysłowiona...

Odmalować wam jej nie potrafię... O kiju chodziłem od kamienia do kamienia, bo ludzie się od starca odwracali, a kamienie mówiły mi głosem jednym — Zniszczenie. — Co zawiniła bogom Grecja moja i ludy Hellady, któż to pojmie? Ze szczątków przeszłego życia widzę, żeśmy więcej się zasłużyli światu niż Rzymianie — wszakże co macie lepszego od nas wzięliście i przerobiliście na swoje... myśmy stworzyli filozofię, sztukę, obyczaj, poezję...

Zabraliście nam te dzieci nasze, a Grecja opustoszona, jest rzymskiego państwa służebnicą i niewolnicą.

Mściwi bogowie, za cóż nas to spotkało?

Ślepym! Nie widzę!

Gdzieniegdzie imiona zostały bez rzeczy; gdzieniegdzie obyczaje, którym imienia zabrakło; — na marmurach dłutowanych przez Praksytelesa, przez bogów posiane chwasty...

Otóż jakimi znalazłem Ateny, których mieszkańcy wszyscy na helotów wyglądali, a nikt się nie rumienił przechodząc koło posągów Harmodiusa i Aristogitona...

Pierwsze dni spędziłem niemy z żalu i zdumienia — błądziłem po agorach, przysłuchiwałem się rozmowom, przypatrywałem obyczajom, szukałem powagi ateńskiej — znalazłem jednych przelękłych i milczących, drugich obojętnych i płochych, a na starych cnót miejscu zepsucie rzymskie i postrach wszechwładnego Rzymu. Potomkowie Kekropsa ustępowali z drogi przed rzymskim żołnierzem, archontowie skłaniali głowy przed wyzwoleńcami waszymi, areopag nie śmiał sądzić za zbrodnie tych, co Rzymowi służyli... O, hańbo i wstydzie, oczy zakrywać było potrzeba, a pragnąć co rychlej umrzeć, aby z cieniami Hellady nie z nią żywą obcować.

I mądrość też jak wszelki żywot znalazłem zmienioną, mówić jeszcze umiano, ale nie myśleć, filozofia logomachią się stała.

W ogrodach Akademosa kędy boski Platon chodził, jak mówił, umyślnie dla niezdrowego ich powietrza, aby chorobą łamiąc ciało, duszy nowe dać siły... zostało niezdrowe powietrze, nie było ani cienia Platonowego.

Wszystko tak wymarło w Atenach co Grecji wielkość stanowiło i sławę — nie umiałem już potem boleć nad sobą i swym sieroctwem: łez wszystkich inne, większe, potrzebowało nieszczęście. Żałowałem żem powrócił, w Rzymie mogłem choć marzyć o Atenach, w Atenach płakać tylko nad

nimi musiałem.

Przebacz mi, że obyczajem starych, zbyt długo i wielomównie bóle moje objawiam, ale zbliżam się właśnie do przedmiotu listu twojego, do nowej wiary, która i tu już jest znaną.

Rozeszły się tu o niej wieści zaraz po przyjeździe mym przyniesione z Koryntu, który w rzeczach mądrości tyczących się nie używa dobrej sławy, głośniejszy jest z miedzi, malowanych naczyń i pstro a kwiecisto postrojonych kobiet, których i w Rzymie dość macie.

Mówiono już o nowej wierze wprzód niżeli głoszący ją do Aten przybyli, a że z dawnego charakteru tylko chciwość nowinek zachowali Ateńczycy, gorąco się nowym zajmowano Bogiem. Ja mało rokowałem, tyleśmy już mieli cudzych bogów jak towar tu przewiezionych, a nie byli lepsi od naszych własnych. Cóż to zresztą miało wspólnego z filozofią, z nauką Sokratesa i Platona?... Tajemnice świątyń u nas się wcale tajemnic mądrości nie tyczą, tamte do fantazji i serca, te mówią do rozumu; a kto by przykłady brał z bogów, tego by archontowie ukamienować kazali. Nim byłem ciekaw nauki i praktyk nowej wiary, całe Ateny poruszyły się nadzwyczajną ciekawością na wieść o przybyciu Rzymianina imieniem Paweł, który tę naukę publicznie głosił.

Bieżały tłumy na jego spotkanie, starzec z rodziny i ja poszedłem za nimi, gdy go przed areopag powołano na starą agorę. Ujrzałem nie wieszczka jak sobie na podobieństwo egipskich wróżbitów i kapłanów Kybele wędrownych, wyobrażałem, ale męża powagi wielkiej, w sile wieku, podobniejszego do filozofa spod Portyku mającego młodzież cnoty i prawdy nauczać. Kilku młodszych uczniów mu towarzyszyło, lud cisnął się, uśmiechał, przyglądał, ścisk był wielki, słyszałem pytających dokoła.

— Czego chce ten siewacz słów? Po co nam jakichś nowych demonów z Rzymu przynosi?

Na koniec uciszyło się, spojrzałem na areopag nasz i zarumieniło mi się czoło, już znałem Ateny i *archontów* co doń wchodzili — westchnąłem mówiąc w duchu. — Oto ci, co sądzić będą o nowych bogach i nowej nauce? Gdy Paweł na podwyższeniu stanął przed zgromadzeniem, cisza była wielka, wśród niej przybysz powoli mówić zaczął. Nie powtórzę wyrazów jego ale myśli ci opowiem. Począł od tego, że nam nowego Boga zwiastował. Boga nieznanego, którego ołtarze (*Ignoto Deo*), przechodząc właśnie na rynku napotkał. Ale jakże go odmalował? Oto tak, jak go pojmowali i pojmują mędrzy, a nie kapłani. Ludowi odkrył tajemnicę dla niego dotąd nieprzystępną, chociaż nam dawno znaną. Mówił o Bogu jedynym, którego dziełem był świat, o *Demiurgu* przedwiekuistym i wiecznym. Cóż innego głosił Sokrates, gdy go jako świętokradcę za bezbożność śmiercią ukarano, coś innego opowiadał boski Platon?

Sądziłem, że pochwyć błuźniercę i skażę go na ukamienowanie, że lud porwie się nań i usta mu zamknie; ale inne dziś Ateny i czasy! Któż dziś w tych starych zszarzałych bogów wierzy, lub kogo obchodzi przyszłość? Neron potrzebujący pieniędzy, po świątyniach greckich każe z ołtarzy chwycić i topić posągi... ludzie patrzą i milczą...

Słuchano i uśmiechano się.

Mówił długo, w końcu o zepsuciu świata, o potrzebie poprawy i pokuty, na ostatek o wiecznym

życiu i zmartwychwstaniu. Śmiechy w tłumie odzywać się zaczęły, lud powoli nie trwając dłużej rozplątywał się obojętny, bo już był swą ciekawość nasycił; wszakże mała kupka znęconych poszła za głosicielem wiary nowej.

Słyszałem go potem razy kilka pod portykiem, ale o nowej nauce jego nic zawyrokować nie potrafię. Nie mogę jeszcze powiedzieć bym ją znał, ani przyznać się, bym się jej domyślał.

Widzę tylko, że łączy w jedno co dotąd rozdzielone było: filozofię i moralność z teologią. Między bogami Grecji i Rzymu a mądrością rozdział był wiekuisty i nieprzejednany, nie uczyła teogonia życia, ani mity moralności — i owszem. Kto by śmiał Jowisza naśladować, tego by sąd na truciznę skazał lub śmierć haniebną. W nowej nauce Bóg chrześcijan jest przykładem nowego życia, któremu panuje nie ciało, ale psyche nieśmiertelna.

Cóż więcej rzeknę? — Nie wiem, wolę nieświadomość mą wyznać, niżeli na ślepo wyrokować. Nie sędzę, aby pod słońcem całkiem coś nowego a niesłychanego powstać mogło, lecz widzę, że ludzkość choruje i potrzebuje lekarstwa, wierzę, iż bogowie, lub jeśli chcesz Demiurgos jedyny, musi się swym dziecięciem zajmować.

Najwyższą podobno mądrością jest dojść do tego, by swej mądrości nie wierzyć, owe stare prawidło: Znaj siebie samego, nie co innego rzecz chciało, jeśli je do poznania prawdy odniesiemy. Rozum ludzki wiele może, ale poza pewne granice nie przechodzi i wielu prawd sam odkryć nie potrafi. To ubóstwo uznaje on do różnych odwołując się wyroczeni i w nich światła szukając, w Dodony, w delfickich, w Trofoniosa jaskiniach i gajach, przysłuchując się głosowi bożemu.

Nic nie ma w świecie przypadkowego, jeśli jest Bóg, musi być prawo. Na nim skończę pisanie moje do was. Cokolwiek się dzieje, staje się wedle prawa, które Demiurgos światu przy narodzinach jego napisał. Wierz mi, jeżeli światło jest w nauce nowej prawdziwe, przebije się ono przez najgrubsze ciemności, jeśli czcza w niej słów igraszka, pobawią się nią próżniacy i wyrzucą na rynek dla ludu. Tłum ciemny przerobiwszy to po swojemu, spożyje i zapomni.

Szukać wszakże prawdy potrzeba. Jeśli ci się ona nastrecza, czemu ją odpychać, a rozumem nie wypróbować czy istotnie tą jest, jaką się być oznajmia. Jam już za stary bym nowego świata doczekał porządku, wy może. Ale nie ustanowi się on bez boleści i trudu. Gdy Jowisz zstępuje na ziemię, to piorunem, który druzgocze i pali. Nie czują go ludzie w słońcu, co ich codziennie ogrzewa i oświeca, bo się z nim zbyt oswoili, musi więc oznajmić się im zniszczeniem. Niech Demiurgos trzyma cię na drodze mądrości i panowania nad sobą. Długie jeszcze zostają ci lata walki, moje już się kończą, ale czy będzie kto by mój stos zapalił i popioły zebrał do urny?

VI

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi Zdrowia

Nalegasz bym pisał, czynię więc po woli twojej, choć nowego mam niewiele. A naprzód dzięki ci składam za dar lacernuli galilejskiej, która w istocie coraz bardziej jest w Rzymie używaną. Twoja wprost mi stamtąd przybywa skąd pochodzi, tym cenniejsza, będą mi jej zazdrościć, choć ja mały podobno użytek z niej mieć mogę. — Biada narodowi, który suknie nawet dobiera tak, jakby się sobą być wstydził i ukrywać musiał. Za Rzeczypospolitej mało kto, chyba w drodze wdział na togę *lacernę*, bo nikt się z życiem nie taił, dziś i senatorowie i rycerstwo i lud zakapturzeni wszyscy, jakby twarzy i oczu pokazać nie śmieli. Z pewnego względu przyda się lacerna, straszno jest coraz bardziej widzianym być, aby prześladowanym nie zostać.

Czym ci wspomniał w liście moim, że Leliusza spotkałem wychodząc z amfiteatru, i jak dziś wygląda Leliusz, który więcej myśli o nogach swych i skórze wygładzonej a bez włosa, o piękności i zalecankach, niżeli o mądrości i nauce, której tak niegdyś zdawał się chciwym? Leliusz należy do ulubieńców Nerona, szczyli się jego szczególnymi względami, więc i straszonym być może, gdy zapragnie. Leliusz przyklaskuje wierszom Cezara, przenosząc je nad Lukana, śpiewowi Cezara — słodszy go mieniąc nad Batylla, sam także powozi w cyrku, ale dlatego, aby Apollinowi dać się wyprzedzić; Leliusz, jak widzisz, jest zręcznym dworakiem i świetną ma przed sobą przyszłość. Dziś wszystko dostępne dla tych, co w talentach Automedona smakują i głoszą go, jako największego w świecie artystę...

Neron maluje i rzeźbi, Leliusz posążek jego roboty nosi na piersiach, nigdy się z nim nie rozstając. Jest to miernota przypominająca stare etruskie posążki, ale dworak widzi w nim dzieło Fidiasza.

Niedawno, gdyśmy w Chryzypem do pożywania wieczerzy zasiąść mieli, słyszę u drzwi wrzawę... Leliusz przybywa. Jedno tylko łoże było przygotowane dla nas i skromny posiłek, Leliusz się wprasza, aby go z nami spożywać. Po Cezara ucztach zapragnął wieczerzy filozofów, nie znalazł tu ani ostryg i muszli, ani zwierzyny, ani słodczy, ani pawich języków, ani olbrzymich ryb niewolnikami tuczonych, ani muzyki i tancerzy.

Łatwo mi było sprowadzić flecistów i nająć skoczków, ale nie chciałem. Gdy półmiski przynosić zaczęto, zdziwił się ich skromności, *tertia coena* nie zadowoliła go wcale, oglądał się jakby jeszcze czegoś czekał, w winie też nie smakował, choć je sobie grzać i przyprawiać kazał. Nie dobytek starej amfory, abym go zbyt nie ugościł. Poczęła się rozmowa, aleśmy więcej go słuchali niż ją utrzymywali.

Leliusz sam prawie mówił, z równą też chciwością słowom się własnym przysłuchując i widocznie rozmiłowując w ich dźwięku.

Przykro mi było, gdy naśmiawszy się z prostoty mojego życia, spytawszy o piękną czarę chalcedonową stryja Marka, o której mu znać Kwintus mówić musiał, przeszedł zaraz do Sabiny i o

jej piękności z zapalem mówić zaczął.

— Dwie — rzekł — Sabiny są w Rzymie, Poppea i Marcja, a nie wiem nawet, której pierwszeństwo przyznać by należało!

Zdało mi się, że jej imię w ustach jego, obok tego imienia, postać nie było powinno, cóż gdy natychmiast mieszać począł wzmianki o innych niewiastach, z niesławy i rozwiązości głośnych. Wynosił piękność nadzwyczajną Sabiny, a uśmiechał się zarazem mówiąc o moim z nią sąsiedztwie i naszej przyjaźni... Potem sądził i opisywał Hippię, i Ogulnię, i Tukcję, i Hispulle, porównywał je, poniżał i wynosił... wracając zawsze do tego, jak mi mojego sąsiedztwa i stosunków zazdrościł. Ubodło mnie, że tak źle o niej mówił.

— Czekaj — rzekłem w ostatku niżeli posuniesz się dalej. Jesteś w moim domu, nic ci przykrego powiedzieć nie chcę, ale proszę cię, gdy o Sabinie mówić będziesz, mów jak o matce własnej, jakbyś mówił o siostrze; szanuj ją, gdyż poszanowania jest godna.

Na to roześmiał się Leliusz.

— Szanuję — rzekł ale to nie przeszkadza bym miał oczy i uszy. Jak to? Kobieta młoda, bogata, piękna nad inne, wdowa i wolna, miałyby pozostać zamknięta i świata nie pożądać? Myślicie, iż w Rzymie nie rozumieją, co znaczy jej zamieszkanie tutaj, a twoje z *insuli* przeniesienie się na Palatyn, aby przez furtkę tajemną i *xystus* o każdej widywać się godzinie! Sądzisz, że dwudziestoletniej kobiety z młodym, jak ty, mężczyzną schadzki ranną i nocną porą, nic do myślenia nie dadzą?

Nie pozwalając mu kończyć, przysiągłem na stojący posąg Jowisza, iż w niej tylko siostrę widziałem.

— Siostrę — rzekł — rozumiem, miłości takiej braterskiej różne widzieliśmy przykłady.

Bezecnych słów jego wytrzymać nie mogąc, zamilkłem wreszcie smutny. Leliusz zmiarkował, że mnie obraził i o czym innym mówić zaczął.

Nieustannie wszakże do Sabiny powracał, a skończył na tym, że zażądał ode mnie, abym go do niej prowadził. Musiałem ulec, nie chcąc się pokazać zazdrosnym, alem go uprzedził, iż nie lubi obcych i nowych ludzi przyjmować. Posłałem naprzód Afra, aby ją zapytał, czy widzieć się z sobą pozwoli.

Po wieczery Leliusz kazał sobie podać lirę kosztownie wysadzoną, którą za nim nosił niewolnik, i sam się zaprosił do śpiewania jakichś lesbijskich piosenek.

Stary Chryzyp uciekł z pogardy i obrzydzenia dla tego niewieściucha, jam musiał pozostać, ale mi się czoło schmurzyło. Nie cierpię rozpusty, a miłość zwykłem uważać, jako jedną z najpoważniejszych tajemnic natury, która by żyła, wieczną nocą i skrytością otoczona być powinna. Leliusz, krewny mój, wydał mi się podłym histrionem, i serce się ścisnęło. Cienie przodków patrzyły na ten upadek.

— Czyż już śpiewaków nie stało — rzekłem — by się rycerstwo rzymskie na nich miało przerabiać?

— Nie! — odparł śmiejąc się — jest ich niestety do zbytku, ale cóż począć, gdy niewiasty rzymskie za grajkami, śpiewakami, za gladiatorami i szermierzami szaleją. Musimy iść dokąd one nas wiedą, boć bez nich żyć nie można. Cóżemy warci przy Batyllu, Urbikusie, Chryzogonie, przy Echionie, przy innych znamienitych flecistach i mimach? Wiesz wszakże obiegającą Rzym historię Hippii, żony senatora, która z gladiatorem jednookim, do Kanopy uciekła?

— Wierzaj mi, odparłem, że dla takich niewiast nie warto z męża i rycerza na lutnistę się przerabiać. Nic dziwnego, że świeży wyzwoleńcy patrycjuszów miejsca zajmują, gdy dzieci rycerzy wychodzą na dworaków i gachów rywalizując o lepsze z najwzgardzeńszym motłochem?

— Wszyscy tak czynią — rzekł — chcesz od innych być lepszym i nad wiek swój wyższym? Próżna by to była zarozumiałość. — Patrz na grubego Damazypa, którego szybki wóz unosi wzdłuż Drogi Apijskiej, przy której spoczywają popioły i kości jego pradziadów. Choć konsulem jest, sam powozi, sam zaprzęga. Nocą wprowadzie to czyni, aby wprowadziwszy się, mógł to uczynić za dnia. Spotykając przyjaciół, wita ich machając biczykiem... Sam siano daje koniom, sam im zasypuje jęczmień, przysięga na Eponę opiekunkę woźniców, lub na inne bóstwa nad drzwiami stajennymi stojące. Noc nieraz w gospodzie Syrofeniksa przepędza u Bramy Idumejskiej, a uśmiechnięta Cyane, w kusej odzieży, sama mu dzbanek z winem przynosi. Cóż ja gorszego czynię, że śpiewam?

— Może nic gorszego, ale równie źle czynisz jak stary Damazyp — rzekłem — i ty, i on jeśli wam życie ciche nie smakuje, lepiej byście uczynili idąc szaleć za granicę, do Armenii, na Partów, na Brytów...

— A czemuż ty tam nie idziesz? — zapytał Leliusz.

— Zaczekaj — rzekłem — być może, iż pójdę wkrótce, bo mi Rzym i obyczaje wasze obmierzły.

Gdyśmy tak rozmawiali, nadszedł Afer i ku mojemu zaskoczeniu oznajmił, że Sabina obu nas czeka i przyjmie chętnie. Przyznam ci się, że mnie to już tknęło boleśnie, bom ujrzał uszczęśliwionego Leliusza.

Ale posłuchaj do końca.

U drzwi od ulicy czekał na nas uniżony ostiariusz. W prothyrum i atrium nie było nikogo; Leliusz ciekawie rozpatrywał wszystko, obrazy przodków, ołtarz stojący przy sadzawce i pomniejszych bogi. Zgorszył się nigdzie nie widząc posągu Cezara. Przeszliśmy tablinum. Zdało mi się, że Sabina tu na nas czekać powinna i przyjmując Leliusza, a nie wprowadzać go do wnętrza domu, do perystylu, który tylko dla zaufanych jest dostępnym. Jednak tam ją, dopiero, zastaliśmy, co mnie znowu ubodło. Siedziała nad *pugilaresem*, w którym coś *stylosem* zapisywała na tabliczkach, przy niej porozrzucane zwoje, a u drzwi gotowa na rozkazy pani ulubienica, jasnowłosa Ruta.

Powitała nas zimno, ale jeszcze nie dosyć chłodno dla Leliusza, któremu jej powaga była raczej zachętą i wyzwaniem niż zaporą, co by go od niej z dala trzymać mogła. Wolałbym był ją widzieć wesołą, wzgardliwą, obojętną. Wszystko mi się nie podobało. Na chwilę wprowadzi Leliusz zdawał się jej powagą onieśmielony, ale piękność zachwycająca dodała mu odwagi i zuchwalstwa. A

kobiety, Gajuszu miły, tak zuchwalców lubią!

Wszczęła się rozmowa. O czymże taki jak on człowiek mógł mówić? O cyrku, amfiteatrze, sławnych śpiewakach, ulicznych pogłoskach i pustym życiu swoim. Ona go słuchała, obojętnie wprawdzie, ale ze zbytnią uwagą.

Mimowolnie spoglądałem na nią, na niego, na siebie i była chwila gdym mu tej postaci wymuskanego rzezańca pozazdrościł, jego namaszczonych włosów, wyszlifowanych nóg i upierścienionych rąk. Dała mu nadto długo mówić, zbyt go słuchała cierpliwie, a choć w końcu odpowiedziała zimno i szydersko, ale mnie wszystkiego było za mało. Leliusz nie milkł, owszem, ożywiał się coraz więcej, nigdym go przy takiej lekkości umysłu o tyle nie posądział dowcipu. Stał się zabawny i kilka razy nawet uśmiech na jej usta wywołał. Jam nigdy tak nie był szczęśliwym, aby do mnie się uśmiechnęła. — O kobiety, kobiety, któż zbada serca wasze!

Z natężoną uwagą przysłuchiwała mu się, gdy zaczął mówić o Neronie i wielkich jego a mnogich talentach. Zdaniem Leliusza Rzym jeszcze nie miał nigdy równego mu poety, śpiewaka, malarza, rzeźbiarza, aktora i woźnicy, ani równego mu pana. Po chwili nawet jął rozpowiadać o Poppei i dowodzić, że zręczna i piękna niewiasta łatwo nim rządzić by mogła, a przez Nerona Rzymem, przez Rzym światem całym! Widziałem jak twarz Sabiny pokraśniała i jak on to postrzegłszy, zwycięsko, zagryzł usta: *Habet!* (Ma!)

Gajuszu miły, com wycierpiał przez tę rozmowę, albo raczej w ciągu tego długiego monologu, opisać nie potrafię.

Łatwo mi było domyśleć się, czego ten człowiek pragnął, co zamierzał; chciał może, zrażony do Poppei, dać nową Cezarowi kochankę, jak mu pierwszą dał Otto i drugą — aby sam przez nią podnieść się i na wpółopanować Nerona. Nikczemny!

Przecież niepodobna by i ona tego nie zrozumiała, a na twarzy jej nie wyczytałem tego oburzenia jakiegom się spodziewałem. Nie kazała go niewolnikom swoim wyrzucić na ulicę jak zasługiwał, nie zapłonęło się czoło jej ze wstydu na samo to przypuszczenie. Podparła się na łokciu, zadumała, Leliusz zdawał się tryumfować... A ja byłbym go rozszarpał! Znieść wszakże musiałem cierpliwie. Mówiłem sobie, cóż mnie ta kobieta obchodzi? Nie kochałem jej nigdy, nie obiecywałem sobie nic po niej. — Ale była mi świętą jak siostra, jak matka poszanowania wydawała mi się godną. W jednej chwili zachwiałem się nie tylko w uczuciach mych dla niej, ale w pojęciu o godności niewiasty.

Krucze to są i słabe istoty, Gajuszu drogi. Nie darmo przodkowie nasi zamykali je i strzegli dla własnego ich szczęścia; jeden płochoy człowiek, jedno lekkie słowo zmienić je może. Z ubóstwianej stała się dla mnie godną politowania istotą.

Skończyła się nareszcie nieznośna rozmowa. Leliusz wychodził, jam się z nim oddalił, aby pozostając sam, nie zwiększać posądzeń i ochłonać z przykrego losu, jakiego doznałem. Ale powróciwszy do domu, nie upłynęła godzina, gdym na powrót u drzwi jej ogrodu i w jej się znalazł kryptoportyku. Mogła poznać z mej twarzy, jak byłem poruszonym.

Gdym niespodzianie wszedł, znalazłem ją znowu na jakichś tajemniczych szeptach z niewolnicą

Rutą. Zarumieniła się, schowała za suknię zwitek pergaminowy i odprawiła ją skinieniem.

— Przebacz mi — rzekłem — żem tak natrętny, ale sprawa, z którą przychodzę, zwłoki nie cierpi. — Słyszałaś, co mówił Leliusz. Nadto bystrym jest umysł twój, byś się nie domyślała, co zamierza, z czym przyszedł. Czy nie lepiej byłoby, żebyś, zuchwałych unikając pokuszeń, uszła z Rzymu i skryła się od oczów natrętnych w okolicach Partenopy, w Tusculum, albo w którymkolwiek z wiejskich twych domów?

Sabina spojrzała na mnie, rumieniąc się mocno.

— Juliuszu — rzekła szybko i stanowczo — ja za nic nie opuszczę Rzymu. Sądź o mnie jako chcesz — nie mogę.

Zamilkłem przybity.

— Więc choć ja stąd — odpowiedziałem — wynieść się muszę.

— Ty? A to dlaczego — zapytała — czyżbyś obawiał się?

— Nie, ale sąsiedztwo nasze i stosunki dla ciebie szkodliwymi być mogą. Ludzie są źli i posadzający. Dał mi to odczuć Leliusz, że naszą niewinną przyjaźń braterską niegodziwie sobie tłumaczą.

Sabina zadrzała, ale uśmiechem pokryła jakieś uczucie niezrozumiałe dla mnie.

Wyniosę się z domu na Palatynie — rzekłem — do mojej *insuli*. A choć mi tam wśród tego gwaru mniej dobrze będzie, któż wie, może do niego przywyknę, może nawet, jak drudzy, w nim zasmakuję?

Smutnie spojrzała na mnie.

— Uczynisz jak ci się zda lepiej! — odezwała się po cichu.

O kobiety, kobiety! — Gajuszu miły — a jam ją tak wielką i czystą wyobrażał sobie! Dziś mi się potrzeba wyrzec tego posągu bóstwa, który z gliny ulepiłem sobie, nie mając tchu Pigmaliona, aby go ożywić. Wszystko mi mówi, żem się omylił, że ona jest niewiastą jak inne, ułomnościom swojej płci dostępną.

Dlaczegoż nie chce się wynieść z domu na Palatynie? Dlaczego tak łatwo, tak obojętnie zgodziła się na wyniesienie moje, aby tu nie mieć natrętnego świadka? Na co przyjęła wreszcie tego Leliusza, słuchała go i nie powiedziała mu nic co by go od dalszych odwiedzin powstrzymać mogło?

Ale niczym jeszcze jest to wszystko!

Afer, który jako niewolnik zgaduje myśli moje i czyta je na czole wprzód może, niżeli ja sam sobie z nich zdam sprawę, rad będąc wkraść się w łaski i zostać nareszcie wyzwolencem, gdy dziś tacy jak on, dodawszy sylabę do zbyt krótkiego nazwiska, do wszystkiego dochodzą. — Afer przyszedł i padł mi do nóg.

Myślałem, że stłukł myrińskie naczynie, za które stryj mój kilka tysięcy sestercji zapłacił i podniosłem go z uśmiechem. Wtedy po cichu rzekł do mnie, iż choć niewolnik odkrył w mym sercu... miłość dla Sabiny, i że z dobrą przychodził radą, abym dla własnego spokoju namiętności nad sobą panować nie dawał.

Jakkolwiek nie popędliwym, chciałem go za tę poufałość kazać wychłostać. Gdy mi się przyznał, że ma potajemny stosunek w domu Sabiny z niewolnicą jej syryjską, a przez nią wie wszystko co się u nich dzieje — dozwoliłem mu się nagadać... Mówił więc, że od pewnego czasu zaszły dziwne zmiany w życiu i w obyczajach Sabiny, że ulubienica jej Ruta jest z nią w nadzwyczajnej poufałości, że obie zamykają się odczytując pisma jakiegoś, że nocami przebrane wychodzą obie Drogą Apijską, często późno bardzo wracając uznojone i przelękłe. Sztyłem by ostrzej serca mi nie zranił. Nie rzekłem nic, ale z politowaniem nad Sabiną i niewolnika powiernikiem czynić nie chcąc, zakazałem mu surowo, aby nie śmiał nadal śledzić jej kroków, pod groźbą strasznej kary. Doszedłem do tego, że mu wydarciem oczu zagroziłem. Upadł mi do nóg przepraszając, całował je i darowałem mu winę, ałem oznajmił zarazem, aby się razem ze mną z domu na Platynie wynosił.

Przewieźliśmy się natychmiast do *insuli* mojej, którą zamieszkuję znowu. Błądzą po niej tęskny, gniewny, zniecierpliwiony nie poznając siebie. Co powiesz Gajuszu? Kochałem ją sam o tym nie wiedząc, potrzeba było aż tego nieszczęścia, aby mi oczy otwarły? — Cierpię, ale głupcem nie będę i nie dam się dla jednej płóchej niewiasty udusić tęsknocie! Jest ich przecież tyle! Bądź zdrow.

VII

Gajusz Macer Juliuszowi Flawiuszowi zdrowia

Ostatni list twój, Juliuszu drogi, mocno mnie zatrwożył, a koniec jego niewymownie zasmucił. Posłuchaj mnie, jednej miłości nie leczy się drugą, będzie to zawsze ta sama choroba, a gorsza może jeszcze, gdy trafi na jaką Labullę lub Mewie, o którą z szermierzami wspólnie przyjdzie się ubiegać i z niewolnikami egipskimi miłość jej podzielać.

Wierzaj mi, na nieszczęśliwą miłość jedno lekarstwo tylko: legiony nasze, zapomnienie Rzymu, którym ty mnie gardzić nauczyłeś. Przez twoje oczy ja przejrzałem i nienawidzę go teraz; tobem to winien własnym twym darem dzielić się z tobą. Przybywaj więc do nas na niewczasy, na straże, na nocne wycieczki i walki, do szumiących lasów dębowych, nad szerokie rzeki Galii. Razem będziemy się uganiać za dzikimi zwierzętami, a jeśli chcesz, i za dzikim długowłosym Gallem i za dziką córką jego, jak Diana łowczyni ogorzała, ale serca prostego i brzydząca się obłudą. Rzym cię nie uzdrowi, ani forum, ani portyki, ani Suburra, ani amfiteatry, ani zgiełk klientów poklaskujących czkawce poobiedniej i nieznośnymi karmiących pochlebstwami. Przybywaj do nas, przyjacielu, zapomnij o tej niewieście, w której krwi płynie trzech pokoleń zepsucie. Zostaw ją na pastwę Neronom, Leliuszom i jemu podobnym gachom — mężem bądź! Twój list ostatni nie jest mi wcale do smaku, pragnę ciebie albo lepszych wiadomości.

VIII

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi zdrowia

Dawno stylu ani pióra nie brałem do ręki, musisz się po mym milczeniu na obozowisku mnie spodziewać, gdy ja tu siedzę przykuty i ruszać się nie mogę. Dobrą była twa rada, ale za późną — ktoś słucha rad zdrowych? Pewnie nie chory człowiek.

Zdawało mi się, gdym dom na Palatynie opuszczał, że w nim tę miłość moją świeżo odkrytą a tak dręczącą, zostawię. Spodziewałem się tego i zawiodłem; wyniosłem ją z sobą i pozbyć się nie mogę — tkwi we mnie, jak strzała Parta...

Chryzyp radził mi leczyć się szukając innej niewiasty, nie śmiał mi jednak życzyć ożenienia, bo dziś to jest rzecz nazbyt niebezpieczna. Chciał bym gorączkę młodzieńczą po młodzieńczemu uspokoił, i wyrzekł się mych wyobrażeń o dostojenstwie niewiasty. Radził mi jak Katon Horacego owemu młodemu, którego w dość niesławnym miejscu zobaczył.

Lecz nie dla mnie to była rada, bo nie żądza jakaś, ale miłość uczciwa ciągnęła mnie ku Sabinie.

Jednak w części mu byłem posłuszny, gdyż do zbytku trapiła mnie tęsknota i aby nie popaść w szaleństwo, musiałem choć lada jakiej szukać rozrywki.

Cóż powiesz, Gajuszu miły, obrzydzenie wyniosłem z tego towarzystwa kobiecego, które mnie rozerwać miało i z wyjątkiem jednej o której zaraz ci opowiem, wszystkie one wstręt wzbudziły we mnie. Wielem z tego słyszał i widział, alem dalekim jeszcze był od domyślenia się całej szkarady zepsucia, jakie panuje w Rzymie. Zwierzęta to są nie kobiety, harpie o pięknych twarzach, a nie duchy łagodne, samie i lemury.

W amfiteatrze ujrzałem piękną niewiastę; przyjaciele usłudni zaraz ułatwili znajomość, zaproszono mnie do domu. O zgrozo! Znalazłem tu nie kobietę, ale gladiatora! W syryjskim grubym płaszczu, wymaszczona oliwą, jak atleta, przed zdumionymi gośćmi popisowała się z siłą i zręcznością, z mieczem i puklerzem, wdziawszy szyszak na głowę. Poklaskiwali wszyscy i pięknie jej było — alem się za nią rumienił.

Zawstydzony omyłką moją, wymknąłem się, choć mnie uprzejmie zapraszano.

Poszliśmy do sławionej z rozumu i talentu Lucylli, której drzwi otwierają się tylko dla uczonych i filozofów. Chryzyp sam mnie tu wprowadził, aby zatrzeć przykre pierwszej wspomnienie, sądził że mnie przy wdziękach oczaruje mądrością.

Ale, niestety, jak tam atletę, tu zastałem gramatyka w przybrukanetj tunice, który zajęty był prostowaniem omyłek w mowie, a nie myśleniem i mądrością. Znaleźliśmy Lucyllę wykładającą uczenie różnicę Wergiliusza i Homera, nie dała nam rzecz słowa, poprawiła starego i mnie

natychmiast, aby pokazać jak wieje umie i śmiało umiejętności swe używa... Potem ujęła podręcznik Palemona stojący przy niej w kuble, aby w nim znaleźć poparcie i prawiwszy wiele, kazała słuchać wierszy, o któreśmy ją posadzili, bo nikt z nas pochodzenia ich nie znał.

Zdumiewali się inni erudycją młodzieńczą; ja wyznam, ziewałem, i choć do mnie się uśmiechała wdzięcznie jakby dając do myślenia, że nie w jednej gramatyce jest biegłą a młodych uczniów chętnie do szkoły przyjmuje — wyszedłem prędko, czując odrazę do tego zwoju pergaminowego.

Cóż powiem o innych, które i tej nie były warte? Znudziły mnie one i odstręczyły.

Chryzyp widząc, że tęsknoty mej nie rozerwie, zapytał w końcu: A Epicharis?

Sławną tę niewiastę widywałem dawniej. Dla nadzwyczajnej piękności stryj Marek wielbił ją może równie jak dla wielkich przymiotów, które jej wszyscy przyznawali; lubił jej towarzystwo i miał zwyczaj powiadać, że wyzwolenica ta więcej nad wiele matron patrycjuszy była warta. Lecz za życia stryja z dala ją tylko widywałem, nie śmiejąc bliżej przystąpić. Zostało mi tylko wspomnienie kobiety pięknej, śmiałej, otwartej i dowcipem niezwykłym odznaczającej się. Jeśli nie słyszałeś o niej, powiem więcej, godna jest wzmianki, gdym już o Lucylli i gladiatorze wspomniał.

Epicharis urodzona w Rzymie z matki Greczynki, możnego senatora niewolnicy, jest jego córką jak wszystkim wiadomo.

Ukochana przez ojca i matkę wychowana była z miłością wielką i staraniem, ale na sposób grecki raczej niż rzymski; kształcono w niej rozum, talenty, piękność, nie do cichego gynecium, raczej do dworu i na większą sposobność ją scenę. Wyrosła też cudownie piękna i zdumiewająca rozumem, w dzieciństwie jeszcze do wielkich zdając się przeznaczoną losów. Zawiodły wszakże nadzieje; zmarł nagle ojciec nie uwolniwszy matki, nie uznawszy dziecięcia, nie zapieczętowawszy testamentu, a chciwi krewni objęli spadek po nim.

Młodziuchna Epicharis dostała się w dziale staremu Statyliuszowi, słynnemu z okrucieństwa dla niewolników i nielitościwego serca.

Wszak potrafiła go tak ułagodzić i zmiękczyć, że po kilku latach, umierając, nie tylko wolność jej przyznał, ale znaczny bardzo zapis uczynił. Wzbożona Epicharis życie rozpoczęła nowe, którego dziejów opisać ci nie mogę, to tylko wiem, że ilekroć o niej mówią, z Aspazją i najszlachetniejszymi pięknosćmi i rozumem niewiastami ją porównują. Mało jednak tego; Epicharis słynie z energii charakteru w niewiastach rzadkiej i nadzwyczajnego męstwa. Słowa jej śmiałego obawiają się wszyscy, żart jak strzała przebija. Niechciwa pieniędzy ani zbytku, nierozważna i prawie rozrzutna, prowadzi życie z wytworności i ubóstwa na przemian złożone, ani się do pierwszej nadto przywiązuje, ani drugą trapiąc bardzo. Widziano ją nieraz śmiejącą się w największym niedostatku, a smutną wśród przepychów. Samowolna, gwałtowna, idzie za głosem natury i serca popędem, a wrodzony instynkt i rozsądek uchował ją przeciw od upodlających namiętności. Nie dbając o jutro, nieraz na świetną wieczerzę wyrzuciła grosz ostatni, a nazajutrz śmiała się z siebie u cudzego stołu.

Szczęście jej dotąd towarzyszyło nadzwyczajne, tak, że kilkakroć tracąc wszystko co miała, niespodzianie potem stawała się bogata jakimś nieoczekiwanym wcale darem.

Bogowie obdarzyli ją nadzwyczajną pięknnością, której życie nierozważne zniszczyć, ani nawet nadwerężyć nie mogło. Dziś jeszcze, gdy się ukaże w amfiteatrze, oczy wszystkich zwraca na siebie i zazdrość niewiast obudza. Z rozkazu Poppei zabroniono jej nawet bywać tam, gdzie by Cezara spotkać mogła, grożąc śmiercią. Śmiała się z tego jak się z wszelkiego śmieje niebezpieczeństwa, ale nienawidząc Nerona, wcale też drogi zabiegać mu nie myśli. Dom jej zawsze otwarty gromadzi w sobie po większej części tych, co Neronowi, jak ona, nie są przychylni. Uczęszczają tam Pizon, Subriusz Flawiusz jednej ze mną rodziny i bliski mi krewny, trybun kohorty pretorianów, Asper, Lukan, Flawiusz Scewinus, Afranus Kwinecjanus i wielu innych.

Szliśmy do Epicharis, której drzwi wieczorami stoją otworem mnogim gościom, zastaliśmy też ich wielu, Lukan czytał swego poematu ustępy. Epicharis w lekkiej tunice stała pośrodku wyglądając na Muzę. Gdy ustał poeta oklaskami okryty, przywitała mnie uprzejmie i powiodła za sobą powoli aż na *kryptoportyk*, który ku ogrodowi prowadził.

— Przyznam się — rzekła — że od dawna spodziewałam się was u siebie; stryj wasz Marek pocziwy stary żołądek, był moim dobrym przyjacielem; sądziłam, że biorąc po nim dziedzictwo i przyjaźń do mnie weźmiecie w spadku... Miałabym się omylić? Dopytywałam o was, mówiono mi, że zamknęci siedzicie przy krewnej waszej Sabinie niegdyś Treboniuszowej, jak Herkules u nóg Omfalii...

Uśmiechnąłem się, odpowiadając jej krótko. Popatrzyła mi w oczy i zdawała się odgadywać, że smutny i znudzony.

— Dobrze zrobiliście przychodząc do mnie — dodała — poznacie tu ludzi, którzy wam przypadną do serca; miłości nie trzeba trzymać w zamknięciu, aby starość potem nie pragnęła swobody, gdy jej używać nie może.

Jeśli przywykliście — dodała — do towarzystwa, które wielbi Nerona, jak krewny wasz Leliusz i jeżeli się do augustanów liczycie, u mnie wam nie będzie miło.

Przerwałem jej z największym oburzeniem i twarz Epicharis się rozjaśniła.

— To dobrze — rzekła — należysz do moich przyjaciół, a do wrogów tej potwory...

Potem zaczęła mnie oprowadzać po domu, dziecinnie dosyć ukazując jego piękności, posągi greckie, brązy, naczynia, fontanny, obrazy, mozaiki i cały przepych, który ją otaczał.

Z najpoważniejszej mowy przechodziła do płochych żartów, ze śmiechu do filipiki wymownej, od łez do zjadliwej ironii.

Z tym wszystkim było jej dziwnie do twarzy, bo wielką energię ducha łączyła z sercem nad podziw niewieścim, litościwym i dobroczyнным. Przyznaję ci się, że chwilę spędziłem tu w towarzystwie Pizona i Flawiusza, bardzo miłą; a czarne oczy Epicharis świeciły się ogniem ożywczym, ale gdy wyszedł z tego domu, znowu mnie ogarnęła, tęsknota. I ta kobieta nie zaspokajała mnie, zajmowała, ale przerażała zarazem. Nie była ona tą cichą niewiastą, kapłanką domowego ogniska jaką, myśląc o Sabinie, w sercu mym wypielegnowałem. Mogła być przyjaciółką w młodości, ulubienicą kilku

godzin, ale nie życia towarzyszką; roznamiętnić potrafiła, lecz nie umiała ani się do człowieka stale sama przywiązać, ani człowieka do siebie trwale. Oddaje wszakże sprawiedliwość Epicharis, że pewna uczuć jej szlachetność wzbudziła we mnie poszanowanie.

Wiedzą wszyscy, że gdy pokochała niegodnego takiego przywiązania Gajusza Stellę, który mienie swoje i cudze na grę i biesiady marnował, poświęciła mu wszystko, aż do najmilszych kobiecie klejnotów i popadła w ubóstwo, z którego się nierychło po śmierci jego dźwignęła. Kosztowny stos i przepyszne mauzoleum nawet jej winien.

Jest to dom, do którego pójść się godzi dla rozrywki, ale niebezpieczniej tu serce przywiązać niż gdzie indziej; Epicharis do poważnej miłości nie jest zdolna, poświęci wszystko chwili, ale jutro i o tym co poświęciła, i człowieku dla którego uczyniła ofiarę — zapomni. Cóż winna, że taką ją czasy i obyczaj, a może krew, co w jej żyłach płynie, uczyniły?

Wróciłem jeszcze do domu Epicharis, wynosząc z niego zawsze te same przyjazne uczucia dla niej i tą samą obawę przywiązania się do istoty dobrej, ale sercem swym nie władającej. Jedno mnie w niej ujmuje najmocniej, to nienawiść jej dla Nerona i męstwo z jakim je głosi. Tęsknoty wszakże po Sabinie ani ta nawet rozrywka zatrzeć nie potrafiła. Po tych bezskutecznych błakaniach pobiegłem skrycie na Palatyn. Sabiny nie było w domu; choć godzina już późna, dochodziła bowiem dwunasta (szósta lub siódma po południu) — oddalenie to trudnym do wytłumaczenia czyniła. Błądziłem długo pod jej drzwiami, wyczekując powrotu, czatując którądy wróci, ale wśliznęła się przez tylne drzwiczki i niewolnica syryjska, która mnie widziała wprzódy, oznajmiła, że zapukać mogę. Wpuszczono, prawie zawstydzony wszedłem do tego domu, który mi tak był miły, a tak niedostępny.

O! Gajuszu drogi — potrzeba być niewiastą, aby tak odegrać czułość, smutek, przyjaźń, z jaką ona zdawała się mnie witać. Patrzyła na mnie bacznie, jakby mi chciała coś powiedzieć, tłumaczyć się z czegoś i nie śmiała. Spytałem ją mimo woli, kędy była, kładąc palec na ustach, zarumieniła się i po chwili odrzekła:

— Juliuszu — wierz mi — posądzasz niewinną, ale ci się wytłumaczyć nie mogę. Jest tajemnica między nami, wyznaję, choć wstydzić się jej nie mam powodu. Spójrz mi w oczy, powiedz, czytaszże w nich świadectwo występku i upodlenia lub masz mnie za tak zepsutą, że i niewinność udawać umiem?

W istocie piękniejszą, czystszej wydała mi się niż kiedykolwiek, oczy jej jaśniały jakimś ogniem nieziemskim. Zdała mi się znowu jedną z tych bogiń, które przyoblekają na chwilę ludzkie ciało, aby śmiertelników uwodzić. Byłem przed nią upokorzony prawie, żem ją śmiał podejrzewać.

— Czekaj — dodała — ufaj mi, bądź spokojny, a wszystko się wyjaśni.

Po krótkiej chwili pożegnała mnie z widocznym jakimś niepokojem. Ruta bowiem przybiegła jej coś oznajmić na ucho. Poruszyły się obie, wyprawiono mnie co rychlej, a syryjskie dziewczę wybiegłszy do *prothyrum* za mną, szepnęła, że jakichś dwóch nieznajomych mężczyzn wpuszczano właśnie tylnymi drzwiami do ogrodu.

Wyszedłszy dopiero tak bezwstydnie odprawiony, poczułem jak byłem słaby i oszukany, oburzyłem

się i poprzysiągłem nie przestąpić jej progę... Niestety! Gajuszu drogi, wymawiając przysięgę gniewnymi ustami, byłem już pewny, że ją złamię.

Tak jest! Ta kobieta zdradza mnie ohydnie, domyślam się, czuję; Leliusz tam musi bywać potajemnie, może nawet, jak Otto do Poppei, już tu wprowadził Cezara. On gotów na wszystko, a któż zmierzy dumę kobiety, która się czuje godną połączyć z rodziną Augustów i najwyższych dostąpić zaszczytów. Któż wie, jakie szkarady dzieją się w tym domu, który ja, jak świątynię, szanować nawykłem. Gdyby czysta była i niewinna, dlaczego się przede mną taić miała i wstydzić swojego postępowania?

Nie wytrzymałem, poniżyłem się aż do użycia niewolnika, wysłałem Afra na zwiady. Poszedł do niewolnicy syryjskiej i przyniósł mi tyle wieści, tak dziwnych, że się w nich gubię i rozplatać ich nie potrafię.

Jakaś nieodgadnięta sprawa tajemna zajmuje Sabinę, Ruta jest jej powiernicą jedyną. Ruta wchodzi i wychodzi nieustannie, przynosi pisma jakieś; wprowadza ludzi obcych na narady do ogrodu, do *perystylu*, do *triclinium*, pilnując u drzwi, aby się z nikim nie spotkali, aby ich nikt nie dostrzegł.

Wchodzą i wychodzą zakapturzeni. Obie one z Rutą na długie godziny często oddalają się z domu, wracając czasem pieszo z zabłoconym obuwiem, w zmokłych, gliną powalanych szatach!

Słuchając tych wieści, wrzałem gniewem i oburzeniem. Cóż mam sądzić?

Sabina kocha swe dziecię, a często zdaje się o nim zapominać. Może to być co innego niż miłosna sprawa, której wstydzić się musi?

Ona jedna kobietę do takiego zapomnienia przywodzi, ona jedna takim upaja szalem. Lecz miałyby wszelkiego pozbyć się wstydu?

Powiesz mi zapewne: słusność masz, lecz czemuż powziąwszy to przekonanie, nie oderwiesz się od niej. Gajuszu, rad bym, ... nie mogę.

Kochałeś ty kiedy kobietę? Wiesz ty, co to jest miłość szalona, która w błoto grząść gotowa za przedmiotem swej namiętności, która nim gardzi, brzydzi się i zarazem go pożąda, wstydzi się swej hańby i pragnie, czuje upadek i leci weń? Miłość, w której jest nienawiść. Taką moja jest właśnie, brzydzę się nią i szaleję za nią. Dowiedziałbym się dziś, że jest dzieciobójczynią, że z Lokustą smaży truciznę — wzдрыgnąłbym się, a kochać nie poprzestał. Rozumiesz ty to Gajuszu? Dlatego miłość ślepa malują, a głuchą i bezrozumną dodać by można.

Szydził wczoraj ze mnie Chryzyp, zawstydzając, że zostałem niewolnikiem namiętności; czuję sam, iż ma słusność, ale siły do poskromienia jej nie mam.

Odpycham od myśli, od pióra tę kobietę, tę zagadkę, tego Sfinksa na próżno, ciśnie się natrętna. Nie tyle jej samej pragnę, jak widzieć ją oczyszczoną, taką jaką sobie wyobrażałem, dawną matronę rzymską pilnującą kolebki dziecięcia przy domowym ognisku, a nie szaloną niewiastę naszego wieku.

Ale zaprawdę dosyć tego przedmiotu, wolę ci już pisać o czym innym, o Rzymie, aby o moim cierpieniu i głupocie zapomnieć.

Malowałem ci miasto nasze ze wszystkich szpetnych stron jego, masz więc dostateczne wyobrażenie o naszym upadku, choćby z tego jednego przykładu kobiety tak wzniosłego umysłu, która się przecież wirowi tej brudnej fali porwać i unieść dała.

Nieprzebrany to jest przedmiotem rozmów naszych wieczornych z moim starym Grekiem, który w duszy pielęgnuje nienawiść do Rzymu, ale mimo niej co szlachetne i piękne w nim czuje i uwielbia. Na przekorę moim diatrybom Chryzyp dowodził, że miłość cnoty i uczucie prawdy nigdy nie wygasa zupełnie, nawet często w tych samych co pełnić cnoty nie są zdolni, ani prawdy czynem popierać. Czytał na dowód tego twierdzenia ustępy z traktatów Seneki, którym życie jego nie jest podobne, a potem niepublikowane jeszcze ale chodzące w małym kółku z rąk do rąk urywki z wierszy nieznanego, młodego poety, o którym ci już mówiłem, Aulusa Persjusza Flakka.

Acz wiersze to nie były poprawne, zagmatwane i ciemne, to myśli w nich zawarte uderzyły mnie mocno, tym silniej, gdym się pewnych szczegółów o życiu autora dowiedział. Zapragnąłem poznać tego człowieka, który miał odwagę tak śmiało wystąpić przeciwko społeczeństwu naszemu.

Chryzyp, który go zna lepiej, przyrzekł mi wynaleźć sposobność widzenia go i zbliżenia się do niego.

Z wdzięcznością przyjąłem tę obietnicę i nagliłem dni następnych o jej spełnienie, ale rzecz trudniejszą się okazała, aniżeli on i ja sądziliśmy. Persjusz żyje zupełnie samotnie z matką i siostrą, nie bywa nigdzie tylko u Trazeasza, nie widuje nikogo prócz Bassusa poety i znanego z surowości zasad i prawości charakteru opiekuna swojego Anneusza Kornuta.

Ostatni jeśli nie z pism swych wielu, to choć z rozgłosu imienia znany ci być powinien. Zjednało mu sławę męstwo z jakim występuje zawsze wobec Nerona. On to dał ową sławną odpowiedź Cesarowi w czasie narady nad liczbą pieśni, w której zawrzeć się miał wielki poemat historii Rzymu. Jeden z pochlebców odezwał się, że czterysta pieśni nie byłoby za wiele. — Czterysta! — zawołał Kornutus — a któż je czytać będzie?

— Przecież stoik Chryzyp, którego tak wielbicie, więcej ich napisał — zarzucił pierwszy.

— Tak — odparł Kornutus — ale księgi Chryzypa ludziom na coś się przydały.

Te słowa w oczy Cesarowi rzucone dają ci miarę człowieka, co je wyrzekł, a zarazem ludzi co z nim jedno, ściślejszą przyjaźnią związane składają grono. Nie liczę do nich Seneki, który im w surowości nie dorównuje, ani Lukana, który płochy się dosyć wydaje. Persjusz Kornutus, Trazeasz, Agatemos, wreszcie Bassus poeta żyją z sobą tylko i wśród tego morza zepsucia jakim jest Rzym — wyspę stanowią spokojną. Biją o nią jego fale ale jej wzruszyć nie mogą. Z nich wszystkich Trazeasz i Kornutus uchodzą za ludzi o najsurowszej moralności, za filozofów stoików, w ślad za nimi idzie Persjusz, a dalej nareszcie Agatemos i Bassus poeta.

O Trazeaszu któż nie słyszał w Rzymie? Żywą tu zowią go cnotą. Aby ci zaś odmalował jak

niezmiernej surowości dla siebie, mąż ten jest dla drugich wyrozumiały i łagodny, powiem ci, że gdy rozprawiano nad potrzebą brzydzenia się występkami ludzkimi, odezwał się Trazeasz:

— Pomnijcie tylko, że kto wady i występki zbyt surowo nienawidzi, kończy na nienawiści ludzi.

Wprowadził mnie Agatemeros z Chryzypem do domu Trazeasza. Ludzie tu wydali mi się takimi właśnie jakich szukałem, cieszę się że ich znalazłem; mimo szorstkości Persjusza, pociągnionym się uczułem ku niemu.

U Epicharis grono mężów otaczających Pizona, choć na zepsucie czasów i na Nerona siewcę występku oburzało się, nie obudziło we mnie tego poszanowania, co otoczenie Trazeaszowe. Pizon wydał mi się więcej ambitnym, raczej Katyliną jakimś niż Arystydem; Trazeasz nienawidzi występku, Pizon Nerona.

W najbardziej zepsutym więc wieku, za jaki nasz niechybnie poczytanym być może, bogowie zawsze prawdę do piastowania i przechowania powierzają choć szczupłemu gronu tych, co ją do chwili zwycięstwa pielęgnować mają i powoli rozsiewać.

W domu Trazeasza, tym gnieździe bohaterów, bo żona jego Aria jest córką tej która wyrzekła — *Non dolet!* (Nie boli!) — poznałem poetę.

Jest to pięknej postaci młodzian, milczący i mało przystępny zrazu, zdaje się badać człowieka, nim się do niego przybliży, ale gdy otworzy usta, z niezmierną siłą, ze zbytkiem jej wylewa z siebie potok wyrazów pełnych błyskawic i piorunów. Satyra jego — jak on — jest, mimo gorzkiej ironii, poważna.

Znać po nim, że do lat dwunastu wychował się na wsi, że nie zmiękł rozpuszczony zawczasu, choć ojca wcześniej utraciwszy, przy matce pozostał sierotą. Wszystkie uczucia ludzkie zdrowe, naturalne, wypielęgnowały się w nim nie nadwerężone i czyste... Pobożna matka i siostra, do której ma przywiązanie wielkie, wreszcie Trazeasz krewny, jego żona Aria byli, przed Kornutusem, nauczycielami jego młodości.

Persjusz stroni od świata, patrzy nań z dala okiem filozofa z politowaniem i wzgardą, nie smakuje mu nawet dworak Seneka, który inaczej pisze, inaczej mówi a robi inaczej; ani wesoły, lekkomyślny, pełen talentu, ale płochy nieco Lukan.

Rozmowa w domu Trazeasza była tak poważna, jak ludzie co ją prowadzili; wdzięczny im byłem, że na zalecenie Agatemerosa i Chryzypa byli ze mną otwarci i szczerzy od pierwszej chwili — znali przez nich usposobienie moje.

Wiesz jak dobrą mam pamięć, wszak dawniej po dwieście i trzysta wierszy Wergiliusza w kilka nauczyłem się godzin; posłużyła mi ona tutaj. Pod koniec bowiem posiedzenia Bassus odczytał nam kilka ustępów z Satyr Persjusza. Schwyciłem z nich jeden i ten ci przepisuję, abym nie talentu poety, który jeszcze je wygładzić zamyśla i do dziewiątego pielęgnować roku, ale jego przekonań i sądu dał próbkę.

Oto co mnie najbardziej uderzyło:

„Złoto wyгнаło ze świątyń naszych naczynia Numy, miedź Saturna, zastąpiło urny Westy i gliniane wyroby starych Toskańów.

O serca ku ziemi skłonione, jak w was brak myśli wzniosłych! Przesady wasze do świątyń niesiecie z sobą, sędzicie o bogach z pragnień własnych spodłonego ciała waszego.

Ciało! Tak, dla niego to, dla ciała rozpuszczać każą cynamony w zepsutej oliwy soku i runa kalabryjskie gotować we wrzątkach splugawionej purpury. Dla niego perły dobywają z morza, z dziewiczego łona ziemi wrywają kruszce topiąc na sztaby rozżarzone. Tak! Ciało jest wielkim winowajcą, ale się ono przynajmniej zepsuciem nasycza, ono używa. Powiedzcież kapłani, co bogom po waszym złocie? Co Wenerze po tej lalce, którą jej dziewczynka przynosi w ofierze?

Nie powinniśmy raczej nieść na ofiarę bogom tego, czego im nigdy kaprawy potomek wielkiego Messali nie poda na misie złotej — chcę rzec — duszy zahartowanej w uczuciu sprawiedliwości i prawa, serca w którego głębiach żadna się myśl zła nie kryje, charakteru któremu uczucie godności nadało siłę szlachetną!

— O! Gdybym do świątyni mógł przynieść podobną ofiarę, najprostszy placek przy niej bóstwu by wystarczył”.

Powiedz mi, Gajuszu miły, czy wiersz ten nie jest wzniosłym i śmiałym? Na dzisiejsze czasy niewiary i przesady, gdy dla jednych nie ma nic świętego, gdy drudzy lada zabobonami się durzą, gdy Cezarzy gwałcą świątynie, a tłum z uwielbieniem patrzy na smagających się biczami o kościanych węzłach kapłanów Kybele. Nie są to wyrazy zwiastujące czystsze o bogach pojęcie i jakby wiosnę odrodzenia wiary i obyczaju?

Lecz już może rozwlokłem się zbyt znacznie, sam to czuję; alem ci Rzym chciał pokazać ze strony nowej, abym ci moją dla niego słabość wytłumaczył i wyjednał od ciebie przebaczenie, iż do twych Galii gajów nie spieszę, a trudów nie dzielam.

Cóż powiesz o Trazeaszu, Kornutusie i Persjusz? Nieprawdaż, iż tym uwielbienia godniejsi, że na tym gnojowisku zrodzeni, które zgniłe tylko grzyby wydawać by powinno, jadem jego i wonią nie przeszli?

Tym tłumaczę wielomówstwo moje i Marsowi cię polecam, aby zachował cię cało, gdy do walki przyjdzie. Choć zaprawdę dla rzymskiego rycerza ani Gall długowłosey, ani niebieskooki Germańczyk nie straszny. Sądzę, że chorągwie i orły nasze samym widokiem swym gnać muszą tę dzicz w niedostępne lasy i błota, jak trąba myśliwca płoszy przelękłego zwierza... *Vale*.

IX

Sabina Marcja Zenonowi Ateńczykowi pozdrowienie

Długo milczałam, mistrzu mój i przyjacielu, ale się temu dziwić nie będziecie, domyślając się z ostatniego pisma, jak ważną sprawą jestem zajęta. Nieraz bym bardzo twojej potrzebowała rady, ale pisanie się lękam, aby listy w cudze nie wpadły ręce, na mnie lub na przyjaciół moich nie ściągając prześladowania.

Z każdym dniem rośnie nienawiść przeciwko nauce nowej, zwłaszcza kapłanów i ciemnego motłochu, który oni podburzają; mnożą się co dzień ofiary, a choć z nimi rośnie liczba uczniów, przeraża myśl, że męczarnie i śmierć tryumf prawdy powstrzymać i odroczyć mogą.

Obawa zdradzenia tajemnicy przez pismo, powściągała mnie długo, wreszcie znalazłam sposobność pewną dla przesłania listu, przemogło przyzwyczajenie odzywania się do ciebie i pragnienie udzielenia ci promieni tego światła, które mnie oblewają.

Coraz głębiej staram się wniknąć w naukę przez chrześcijan głoszoną; uderzyło mnie zrazu wielkie niektórych jej prawd podobieństwo z tymi, które dali światu poznać Sokrates i Platon, a dziś przywłaszczyli sobie stoicy. W rzeczy jednak są to analogie powierzchowne, bo wiara ta z gruntu jest nową, chociaż ludzie od dawna ją przeczuwali.

Nie widzieli jednak prawdy jasno, domyślali się tylko, nie objęli nigdy całości tego, co nam z Judei ubodzy ludzie, nieuczeni przynoszą pełne i skończone.

Donosiłam ci już, iż mnie do niektórych przypuszczono tajemnic, są bowiem pewne stopnie i próby, przez które się przechodzi, chociaż skrytości nie ma. Nowa nauka rozszerzyła się już i rozpościera po Rzymie, nie pomiędzy filozofami i patrycjuszami — raczej wśród wyzwolenców, niewolników, barbarzyńców i najbiedniejszego tłumu. Tędy strumień jej płynie; chociaż często i innych pociąga za sobą. A jest w niej to dziwne, że równie zrozumiałą i dostępną jest najprostszym, jak zdumiewającą głębokością swą dla filozofów.

Każdy z niej czerpać może wedle sił umysłu i serca, dla nikogo zamkniętą nie jest. Nie kryje się ona i nie osłania, tylko o tyle, by swoje trwanie zabezpieczyła. Padają ofiary niemal codziennie, gdyż nadto groźną jest temu co istnieje, aby Rzym cierpliwie mógł patrzeć na jej rozprzestrzenianie. Nie jest to obrządek tajemnicami osłonięty, który by jak mity lub Izydy zabobonne praktyki w głębi celi świątynnej mógł się zamknąć godząc z innymi. Nauka ta wychodzi od ołtarza, ale na całą ludzkość spływa, odradza człowieka i rządzić musi najdrobniejszymi jego sprawami. Wnika wszędzie, nawet w najtajemniejszą myśl jego.

Dlatego ona trwogą napęłnia wszystkich, bo nic się przed nią nie ostoja z tego świata, który dziś

jest: czują niebezpieczeństwo ci, co korzystają ze złego, które runie, wiedzą co zyszczą ci, co je obalą. Przede wszystkim jest to religia słabych, uciśnionych, odepchniętych, dająca siłę temu, co jej nie miało, odbierająca moc potędze ziemskiej, której dotąd nic się opierać nie śmiało.

Pierwsze zasady nowej wiary zaczerpnęłam od niewolnicy mojej Ruty, która od dawna potajemnie ją wyznawała. Nigdy mnie to wprzód nie uderzało, że nawet na Junonę moją, jak inne sługi, przysięgać nie chciała.

Ruta, która zaledwie czytać umie, a filozofii wcale się nie uczyła, która nieuctwo swe w porównaniu ze mną wyznaje w pokorze, zdumiewa mnie objawiając prawdy nadzwyczajnej głębokości, czerpane nie z własnego rozumu, ale z tego źródła mądrości otwartego dla wszystkich. Często to co ona mi przynosi, ja sama szerzej i jaśniej pojmem niż ona... ale ziarno biorę od niej. Upokorzona nieraz jestem jej mądrością, która łatwo i bez mozołu rozwiązuje największe trudności, tym kluczem jaki jej nauka dostarcza.

Z początku badałam ją pilnie i zastanawiałam się, aby nie być podobną do tych niewiast płochych, które lada chaldejski wróżbita lub Petosiris astrolog bałamuci nedorzecznymi baśniami. Nie rozrywki szukałam, lecz światła.

Ale z każdym dniem, z każdym słowem przekonuje się mocniej, że nie zabobonną praktykę, ale filozofię nową, plód innego kraju i wyobrażeń mam przed sobą. Cóż powiecie na to, że się ona narodziła tam, gdzie nauka ludzka nadzwyczajnym nie jaśniała światłem, że prostaczek przynoszą ją zdumionym mędrcom starego świata?

Dlaczego ani Grecja, ani Rzym tej nauki nie wydały, choć obie siedziały na krawędzi studni, w której się prawda ukrywała? Ty mi chyba odpowiesz. Naród żydowski, pogardzony, pobity miał w sobie jedno zdrowe nasienie, na którego łodydze ona się wszczepić mogła — pojęcie jednego Boga, Demiurga, którego u nas znali zaledwie filozofowie, nie pokazując go przed ludem. Nie śmiano poruszyć politeizmu, aby z nim nie obaliła się społeczność.

Pamiętam, jak się nieraz uśmiechałeś z moich posążków odziedziczonych po matce, z nieforemnych bożków etruskich, ze starych penatów niezgrabnych ponad domowym ołtarzem, przecież wszyscyśmy je szanowali i dzień się żaden nie obszedł bez libacji i ofiary.

Nikt w te nasze niezliczone bogi nie wierzył prócz niewolników, co w dodatku mieli jeszcze swych własnych, a stały i stoją one na ołtarzach, pobożni złocą im brody, purpurą malują płaszcze, oliwą smarują ołtarze, kosztowne biją ofiary, które na kapłańskie uczyty dostarczają mięsiwa. Uśmiechają się do siebie *augurowie*, pozostawszy sam na sam, a wnętrzności bydła rozpatrują codziennie i śmiało z nich, co chcą wyrokują ludowi.

Wypytywałam pilnie Rutę, która nie była w stanie nic własnym rozumem z tego co ją nauczono, ani swoimi wymysłami okraszyć; zdumiewałam się codziennie wielkiej prostocie prawdy, która w mym sercu zdawała się mieszkać od dawna, a teraz tylko wydobywać z niego; witałam ją jak starą znajomą, długo nie widzianą przyjaciółkę.

Wreszcie czując się coraz goręcej pociągniętą ku tej nauce, gdy już Rucie brakło słów, aby mojemu

pragnieniu zadośćuczynić, za zezwoleniem tych, którzy przewodniczą zgromadzeniu, obiecała mnie zaprowadzić na tajemną schadzke chrześcijan i tych co, jak ja, zostać nimi pragnęli.

Przystąpiłam na to chętnie, choć miejsce było mi obce, a godzina do wyjścia zdawała się niewłaściwa i budziła obawę niebezpiecznego jakiego spotkania. Spodziewałam się też zastać tłum niewolników, zbiorowisko najuboższej gawiedzi, owych Żydów z wiązkami siana pod pachą, co zalegają gaj Egerii, a we dnie snują się około term i w gwarnych uliczkach. Musiałam przeto wdziąć szaty niewolnicy, ciemne suknie, które by mego nie zdradziły stanu. Ruta pożyczyła mi swoich, twarze okryłyśmy kapturami, i kto by mnie spotkał, z przebrania mógłby nie wiem o jakie szaleństwo posądzić. Wyznam, że gdym tak odziana przestępowała próg mego domu, serce biło mi silnie, jak gdybym popełniła występki, zdradzała kraj swój i wiarę, stawiała się niewierną opiekuńczym duchom, co strzegły mojej, matczynej i dziadów moich kolebki.

W tym kapturze i osłonach podobniejszą byłam do rozpustnicy co niemądrej szuka miłości, niż do niewiasty, którą umiłowanie mądrości prowadzi. Niewiasty nasze, niestety, dały prawo posądzać nas wszystkie o najwięksi bezceństwa.

Późnym już zmrokiem, o pierwszej dnia godzinie, wyszłyśmy ku Drodze Apijskiej. Szczęściem zawsze tu dosyć jest zgiełku i przechodzących, by niepostrzeżonemu przejść można. Ruta oprócz tego zamówiła dwu swych współwyznawców, którzy z dala za nami idąc, strzec mieli, aby się nam co nie stało.

Pierwszy raz nocą, pieszo, prawie sama, znalazłam się na ulicy wmieszana w ten lud, na który dotąd tylko z wozu lub lektyki mojej patrzeć przywykłam.

Uczułam w sercu przerażenie wielkie. Mijały się zaprzęgi, krzyczeli woźnice, tłumy pijanych niewolników wychodzących z *tabern* zawodziły dzikie, niezrozumiałe pieśni we wszystkich świata językach; mijaliśmy *popiny* pełne wrzawy i motłochu, w ulicy ocierając się o kobiety bezwstydne z odkrytymi twarzami, w mitrach pstrych i sukniach kwiecistych; przeciskać się było potrzeba wśród koni, osłów, mułów, stad bydła i stad ludzi piętnowanych, prowadzonych na sprzedaż.

W bramie Kapena ledwieśmy się zdołały przemknąć przez zgiełk ten, dalej już, gdzie się zaczyna Droga Apijska, trochę mniej było ludno, puściejszym stał się gościniec, ale tu milczenie nadchodzącej nocy równie było, jak tamta wrzawa, przerażające. Mijaliśmy grobowce cyprysami czarnymi otoczone, wśród których duchy starych Rzymian błędzić się zdawały; na ostatek nie opodal od drogi wskazała mi Ruta dom dosyć obszerny, do którego portyku zwróciłyśmy kroki. Zapukała trzy razy i drzwi rozsunęły się powoli, weszłyśmy, wymieniwszy jakieś wyrazy z odźwiernym i zatrzymały się pod kolumnami obszernego, wspaniałego atrium.

Dom był widocznie możnego rzymskiego obywatela, ale z niego znikły już były wszelkie godła i oznaki naszej wiary, bożki, hermesy, posągi i ołtarze. Stał tylko jeden nad sadzawką środkową, na którym dojrzałam godła Bachusa, które zdziwiły mnie, płaskorzeźby wystawiały winobranie. Nie wyrzucono też woskowych obrazów przodków, które ściany przyozdabiały. Pod kolumnami dokoła ścisk był tak wielki, żeśmy niepostrzeżone przez tłum się prześliznęły i skryłyśmy się po lewej stronie dla niewiast przeznaczonej. Po prawej stali mężczyźni, a między nimi wielu, po togach i odzieży poznałam obywateli i rycerstwa rzymskiego, zmieszanego z niewolnikami. Przez *compluvium*

wpadały promienie księżycy, który się z chmur wylał, a w głębi przy wnijsciu do *tablinum*, para kandelabrow z zapalonym światłem bliższe oświecała twarze. Cichość była wielka i uroczysta wśród zgromadzenia, które się składało z najrozmaitszego ludu, wyzwolencow, cudzoziemcow, niewolnikow ubogich i Żydow. Zrazu, pierwszy raz w zyciu wmieszana będac w tę cizbę, poczułam się jakby upokorzona tym zrównaniem z nią; ocierałam się o niewolnice różnej barwy, o zbrukane szaty ludu, alem przypomniała sobie słowa tej nauki słyszane od Ruty, zowiące wszystkich bez wyjątku różnicy stanu i narodow, dziećmi Bożymi.

Przytuliłam się do ściany, i zasłonięta cieniem kolumny, czekałam, rozglądając się ciekawie.

Po chwili od *perystylu*, z głębi domostwa, wyszedł z dwoma towarzyszami młodszymi mężczyzna słusznego wzrostu, twarzy wielce poważnej, z jasnym i pogodnym wejrzeniem, stanął nie opodal ołtarza Bachusowego i powiódłszy oczyma po zgromadzeniu, mówić począł.

Pierwsze jego słowa były wymowną, piękną do Boga Ojca ludzi modlitwą, w której niemal cała zamykała się nauka, niewielu wyrazami ujęta. Nie potrafię ci słow dalszych powtórzyć, nie zapamiętałam ich tak dobrze, abym ci je wiernie napisać potrafiła, myśl wszakże zatrzymałam w pamięci.

Mówił ten mąż o jednym i jedynym Bogu, niecielesnym, przedwiecznym, wszechmogącym, potem o rodzaju ludzkim, o dzieciach Bożych równych sobie, dla których głosił jedno, na cały świat, prawo mające rządzić nimi — prawo miłości i braterstwa. Potem o Synu Bożym, przepowiedzianym przez Sybillę, przez proroków, o którym śpiewał Orfeusz, którego przeczuwał Wergiliusz; o zesłańcu Bożym — Chrystusie, który przyszedł prawdę objawić i cierpieć za nią.

Uderzyło mnie to, że wysławiał i wynosił wielką potęgę i zasługę cierpienia, które dotąd filozofowie za złe uważali, a stoicy uczyli je tylko zwyciężać i odpychać, nieprzystępnym się czyniąc dla niego.

Większa część słuchaczy, jak ja, nie byli jeszcze chrześcijanami, więc nie tyle o tajemnicach religii jak o moralnych jej przykazaniach nauczał. Z tego co mówiła mi Ruta, com się tu nasłuchiwała, widzę i ja tę potężną różnicę religii nowej od innych, o której ty mi pisałeś.

Nasze mity, bogi, obrzędy, tajemnice, nie mają żadnego koniecznego z prawami moralnymi związku, często się im nawet przeciwia. Są to podania, wymysły czy alegorie uświęcone wiekami, które nie dotyczą życia i postępowania człowieka, raczej historii świata i wieków ubiegłych. Najcnotliwszy z ludzi Sokrates wydał się bezbożnym Ateńczykom, choć cnoty im zalecał, bo się moralność jego z wiarą ich pogodzić nie mogła.

U nas etyki u kapłanów, w świątyniach próżno by szukać było, jest ona w filozofii i prawie. Ale prawo jednych narodów to zaleca i doz wala co innych prawo potępia. Ogólnego prawa moralnego, jednego dla wszystkich, ledwie się domyślali nasi filozofowie, nie przypuszczali prawodawcy. Tak jednozeństwo w Grecji, po wyludnieniu i wojnie zniesione za czasów Eurypidesa z potrzeby chwilowej, ustąpiło poligamii prawem zaleconej. Nowa religia inaczej jest zbudowaną niż dawne, w niej na czele stoi prawo moralne wiążące się ściśle z tajemnicami wiary i z nich wypływające.

Nie dosyć być wtajemniczonym, nie dość wierzyć, składać ofiary, spełniać obrzędy; potrzeba być czystym i podobnym Temu, w imię Którego się one czynią. Religia ta nie dla jednego narodu przeznaczoną jest, ale dla świata całego; — przynosi prawdy głośne i przed nikim ich nie tai.

To, główną natury jej jest cechą.

Obejmuje ona sobą całe życie człowieka i zamyka reguły jego w kilku wielkich, głównych przepisach, a raczej w jednym, który w sobie zawiera wszystko — nakazuje miłość — z miłości wypływa braterstwo, przebaczenie win, pokora... Nikt z prawa miłości wyjęty nie jest, nawet nieprzyjaciel. Bóg, który kocha wszystkie zarówno swe dzieci, wzorem tu jest dla człowieka; ludzie wszyscy winni być Jego naśladowcami i Jego ducha pełnymi.

Spytasz mnie, jakże słaby i ułomny człowiek Boga wszechmogącego naśladować może? Na to odpowiedzą: jest Syn Boży, który był człowiekiem, i wskazał swym życiem, jak Bogu podobnymi być mamy.

Religia ta tworzy też społeczeństwo zupełnie nowe, jedną wielką rodzinę, w której Bóg jest Ojcem, a wszyscy ludzie i narody — braćmi.

Nie ma tu panów, wyzwoleńców, niewolników, podlejszych i zacniejszych — wszyscy są równi. Cnota tylko wywyższa i podnosi jednych nad drugich, dając prawo przodowania braciom; występki tylko poniża i kała, a nie stan, niewola i pochodzenie. W nauce tej wszystko jest miłością — nieziemską i niecielesną. Łączy ona ludzi, a im kto biedniejszy i nędzniejszy jest, tym żywszą miłość obudzać powinien. Zważcie, jak to szczególnie dla nas, jest nowym.

Nie zna ich Bóg nienawiści, nie dopuszcza zemsty, rozkazuje kochać i przebaczać nawet tym, co nam złe czynią, a dobrym za złe płacić. Oburza się na to duma człowieka, ale serce raduje się prawu temu.

Oto, drogi mistrzu mój, com zdumiona wyniosła z tego słuchania, którego każdy wyraz w duszy mojej utkwiał głęboko.

Sądzę z samej natury tej nauki, że dla wtajemniczonych w nią głębiej, dla adeptów i kapłanów nie ma innych prawd tylko te, które służą wszystkim. Nic się tam nie kryje innego nad to, co pospolitemu ludowi głoszą, a zbliżenie się do apostołów rozjaśnia tylko zasady, nie nadwerężając ich.

Nowi wyznawcy godzą się z tym ze stoikami, że uczą cierpieć mężnie, nie przywiązywać się do rzeczy marnych i znikomych, ciało i namiętność zwyciężać, ziemskimi rozkoszami pogardzać. Zalecają jak oni: wstrzemięźliwość, panowanie nad sobą, odwagę niepokonaną, wzdarcę boleści. Nauka ich z wielu względów zgadza się zupełnie ze stoikami i tym, co naszego wieku szlachetniejsze umysły przeczuwać się zdawały. Seneka też często przypomina chrześcijan i zdało by się na pozór, że o ich prawdach wiedzieć musi. Ale nie on jeden, wiele umysłów wyższych trafiało i trafia ze wstrętu do tego co jest, na nowy przyszłych rzeczy porządek.

Czuje mistrzu mój, że skosztowawszy prawdy, i ja urokowi jej oprzeć się nie potrafię, a choćby wtajemniczenie miało być z jakąś ciężką połączone próbą, nie wstrzymam się na drodze. Mówią, że

wymagają wyrzeczenia się majątności, rozdania jej między ubogich i dobrowolnego poślubienia ubóstwa. Nie wiem, jeśli tymi ofiarami okupię spokój ducha i podniesienie się umysłem i sercem nad gmin zepsuty i zezwierzęcony — nie będą mi się one wydawały za drogie.

Któż wie zresztą, jaki mnie los czeka, jeśli przyjmę naukę chrześcijan? Chodzą wieści o wzburzeniu umysłów przeciwko nim i bliskim a srogim ogólnym prześladowaniu. Wielu już padło ofiarą. Dotychczas można było uniknąć okrucieństwa Nerona, ale na przyszłość? Któż wie? Mam się cofnąć ze strachu? Czy by mi to doradził uczeń Epikteta? Nie! Pójdę dalej mężnie, cokolwiek mnie czeka.

X

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi zdrowia

Pragniesz nowin, nienasycony żarłoku! Szczęście twoje, iż ja również chciwy jestem zatrudnienia, nie będę ci też skąpił pisania, a tym razem i przedmiotu mi do niego nie zabraknie.

Nie Armenia i Partowie, ale Palatyn i Forum nowin dostarczy.

Zapytujesz o Sabinę, o moją dla niej miłość; ze wstydem wyznać ci muszę, że w niej nie ostygłem, chociaż z porady Greka lekarza, szukam na nią antidotum nawet w lada jakich rozrywkach, byle myśl od trawiącej mnie namiętności oderwać.

Więc nowych coraz pragnę znajomości. Wspominałem już o Kornutusie, Trazeaszu, Persjuszu, Bassusie, o Pizonach, ale tych wszystkich widując rzadko, niewiele z nich korzystam.

Znudzony, jednego z tych dni w wieczór pogodny, kazałem wieść się za miasto do Tiburu, byle tylko nie widzieć Rzymu, który co dzień nieznośniejszym mi się staje. Gościniec Tyburtyński dosyć jest, jeśli sobie przypominasz, pusty; droga nie tak uczęszczana. Ci nią tylko jadą, co domy w Tibur mają, kąpać się chcą w Aquae Albulae, dopóki ich Neron nie sprowadzi do sadzawki na Palatynie, lub dalszą w góry przedsięwiorą podróż. Kilka grobowców przy gościńcu, potem tylko pył drogi, przykra woń siarczystych źródeł leczących rozpustników do nowej rozpusty, wreszcie wzgórze okryte gajami oliwnymi i dębami, i oto już Hermes nad drogą, wzniesiony przez Mecenasa, jesteśmy w unieśmiertelnionej przez Horacego ustroni.

Na wzgórzu widać świątynię Westy–Druzylli, którą zbudował Kaligula, dalej ogrody i gmachy Mecenasza, dziś nieco opuszczone, zdają się wisieć w powietrzu, i jak pod Partenopą podziemiem ciemnym przejeżdżać potrzeba pod gmachami, które ulubieniec Augusta kunsztownie napiętrzył na góry grzbiecie... Pięknie tu, wspaniale, a ciszej niż w Rzymie. Niestety! I tu jeszcze Rzymian pełno, nie dają lasom spokoju i źródłom czysto płynąć nie dopuszczają, oplugawiając je sobą, jak Neron Aqua Marcja płynąć akweduktem zeszkaradził. Pili potem kapłani, ołtarze i Rzymianie wody z kąpieli Ahenobarbusa.

Jechałem dalej, gdy na drodze wóz mój spotkał się z bardzo wykwintnym zaprzęgiem nieznanego mi młodego człowieka. Ponieważ koła naszych big prawie się o siebie otarły, pozdrowiliśmy się wzajemnie. Zdał mi się twarzy przyjemnej, choć zmęczonej i osmutniałej. Wpatrując się weń baczniej, coś jakby dawno mi znanego w rysach jego postrzegłem.

Ten również patrząc na mnie, odezwał się wreszcie.

— Juliusz Flawiusz! Na Jowisza, miłe spotkanie, ale cóż? Flawiusz mnie nie poznał!

Zeskoczył z wozu, ja także, podał mi rękę, woźnice wstrzymali konie, ale badając twarz tę, nie

mogłem sobie imienia jej przypomnieć.

— Przebaczcie mi — rzekłem — wina to niedołącznej pamięci mej, dawno też nie spotkaliśmy się, bądźcie pobłażający, dopomóżcie mi nieco, inaczej nazwiska waszego nie przypomnę.

— Nic dziwnego — odpowiedział — nie wyglądam dziś jak przedtem, a minęło lat z dziesiątek, jak się nie widzieliśmy bliżej. Nie pamiętacież owego ubożuchnego Celsusa, który z Etrurii przybył do Rzymu z matką staruszką, a chadzał z wami razem do szkoły, do onego Makroba, co nam wiersze starego Liwiusza, Andronika i Hezjoda wykladał. Grywaliśmy nieraz w kątku w sfery, lub *duodecim scriptorum*.

Jedno jego imię już mi zaraz całą historię na pamięć przywiodło, straciłem go z oczów, gdy *pretextę* miał zrzucić, nie wiedziałem potem co się z nim stało. Pamiętałem go tylko jako ładne, miłe, nazbyt łagodne chłopię, które wszyscy do zbytku lubili dla pięknej jego twarzyczki.

— Witaj mi — rzekłem — pomnę dobrze małego Celsusa, ale dorosły mi znikł z oczów.

— Otóż widzicie — dodał — przez ten czas z obdartego chłopaka wyszedłem na wcale majątnego człowieka... mam willę w Tiburze, mam dwa domy w Rzymie, skrzynie niepróżne, naczynia rzezane, posągi marmurowe.

Uśmiechnął się jednak gorzko.

— Mimo to — zawołał — żał mi naszych lat młodych, gdyśmy za przysmak na rogu ulicy kupowali *salgama*, popijając je wodą, zakąszając plackiem oblepionym popiołem.

Jakże się to spożywało chciwie, gdy dziś smażone wymiona macior, przyprawione wykwinicie, do ust nie idą. Historia krótka: stary Wenditus pokochał mnie; potem przyjął za syna, chociaż się o to nie starałem, a zmarłszy zostawił mi majątek... — Westchnął znów Celsus. — Odziedziczyłem po nim — rzekł — nie tylko domy, skrzynie, niewolników, niewolnice, ale nawet łaski Cezara. Należę do dworu ucznia Terpnusa. Co do was Juliuszu — mówił dalej — znam wasze dzieje; o nich i o zawodzie, który z waszej przyczyny spotkał Kwintusa po śmierci stryja waszego, mówił Rzym cały długo... Marek postąpił sobie nader dowcipnie... przyklaskiwano mu. Was widywałem nieraz z dala w termach i na ulicy... alem się nie zbliżał. Obu nam fortuna sprzyjała..

Spojrzeliśmy sobie w oczy, mnie i jemu mimo łask jej, niewesoło z nich patrzało.

— Ale dokądże to jedziecie, bez ładownych wozów, mułów i orszaku — zapytał.

— Tylko do Tiburu, aby świeższym niż rzymskie odetchnąć powietrzem.

— Dobrze więc — rzekł — odetchniecie nim u mnie a nie w lada jakiej gospodzie u Dawusa, który by was lichym winem napoił. Mam tu moje *tugurium* na górze, winnicę, cień, źródło szemrzące wody czystej i znajdę wina amfore nie z dzisiejszego konsulatu. Maszli co lepszego do roboty?

Otóż tak się stało, żeśmy razem pieszo poszli za końmi do domu Celsusa i przesiedzieliśmy tu do mroku i księżycy. Ale w towarzyszcu innego znalazłem, niż się spodziewałem człowieka, umysł

poważniejszy nad wiek, surowy, namiętności ukojone, smutek wreszcie tych, co dalej widzą niż inni. W dworaku syna Domicjusza były to wcale niespodziane przymioty i podobał mi się wielce, a on także do mnie od razu przystał.

Pseudourbana Celsusa, choć on ją skromnie szafasem swoim nazywał, całkiem była piękna, szczupła ale wygodna. Chłopię czysto odziane podało nam skromną *coenę* prawdziwie jak u Horacego: cykorię, *laganum*, trochę oliwek i owoców, i wino choć nie falerna... Więcej na wsi nie było. Położywszy się, gdy konie popasano, odpoczywaliśmy rozmawiając. Pytałem go o przyczynę smutku, przyznał mi się, że znudziło go nieznośne domownictwo przy Rudobrodym, niesmak teraźniejszego życia, z którym pogodzić się nie umiał, a porzucić go nie mógł.

Wiele mówiliśmy o Neronie, jego dworze, zajęciach, charakterze i szaleństwach coraz wzrastających.

— Teraz — mówił Celsus — gdy się przebrało miary wszystkiemu, gdy sprzykrzyły się nocne uliczne wycieczki, a na moście Mulwijskim boi się dostać po łbie, nowe jakieś gotują zabawy; ale was tym trudzić nie chcę — przerwał — boście rzeczy zupełnie obcy.

Upewniłem go, że słuchać będę wszystkiego, co mi zechce powiedzieć, z zajęciem, bom ciekaw spraw Nerona i jego dworu i oto, co mi Celsus dalej opowiadał. Dzielę się tym z wami.

Donosiłem ci o powstaniu sekty zwanej chrześcijanami, która się tajemnie rozszerzać zaczęła. Lekceważono ją zrazu, ale nie tylko do Rzymu się wcisnęła; po całym państwie, jak mówią, zabobon ten się rozlewa. We wszystkich niemal podległych Rzeczypospolitej krajach, sekta owa ma swych wysłańców i tajemnych — siewców, którzy ją szczepią pomiędzy ludem i niewolnikami. Pierwszym ona podobno, obiecuje podział majątności równy; drugim swobodę i obywatelstwo. Zapowiada chwilę, gdy senatorów, rycerstwa, niewoli nie będzie, ale dziwna równość wszystkich. Grozi to państwu przewrotem i nową wojną niewolniczą straszniejszą od pierwszej gdyż chce równości, bez wyjątku, nie tylko ludzi ale narodów, obala niewolę, barbarzyńców z obywatelami Rzymu kładzie na jednej linii i bogactwem pogardzać każe, a ołtarze bogów i świątynie wywracać.

Mało zrazu zważano na opowiadanie religii nowej chcąc ją, tak jak wszystkie inne podbitych ludów, przyjąć do rzymskiego panteonu. Ale oni okazują się nieprzyjaciółmi wszelkiej wiary innej i zamyślają o zagładzie bogów Rzymu i Grecji, nowego jednego na ich miejsce stawiając Boga przywiezionego z Judei.

Śmiano się z tych biedaków mieszkających jak troglodyci po jamach, kryjących się w pomroce i ciemnościach, lecz oto już podobno nie ma domu, którego by niewolnicy, choć w części, do tego spisku nie należeli.

Zatrważa to wszystkich, nawet plebs Rzymu, bo niewolnicza ludność przewyższa znacznie tutejszą miejscową, cóż gdyby ten motłoch ze wszystkich świata stron przybyły, ciemny, wyuzdany, barbarzyński, przeciwko panom, rycerstwu i senatowi miał się porwać? Kapłani ze swej strony radzą jak ratować wiarę zagrożoną. Przed niewielu dniami Sylwiusz *Flamen dialis* zwołał do siebie innych kolegów duchownych i senatorów, aby naradzić się co czynić wypada. Niektórzy za małą to rzecz sobie poczytywali, ale kapłani w ogóle są przerażeni, bo świątynie coraz bardziej stoją pustkami, lud

od ostyglych ołtarzy ucieka, nikt ofiar nie składa, a wiar i obrzędów zabobonnych namnożyło się bez liku... Ta mnogość wiar czyni jakby żadnej nie było.

Za najszkodliwszą z sekt, jakie powstały, uważają chrześcijan, którzy opowiadają o swoim Bogu jednym i jego cudach lud nimi bałamucąc do tego stopnia, że mu życie wieczne obiecują. Sylwiusz powstając mocno przeciwko bezbożności wieku, usiłował przekonać senatorów, że tu szło zarówno o państwo, jak o religię, gdyż ona z bytem jego ściśle była związana. Poszanowanie prawa, zachowanie porządku, wszystko zawisło od utrzymania wiary dawnego Rzymu, której Cezar był najwyższym kapłanem. Sprawa więc to nie samych duchownych, dowodził, ale Rzeczypospolitej i trwałości jej.

Senatorowie przyznawali mu słuszność, popierali inni *flamini* i stanęło na tym, aby Cezar skutecznie zapobiegał dalszemu szerzeniu się potajemnych obrzędów.

Wszyscy nie widzieli innego ratunku nad edykt przeciwko chrześcijanom, srogie i ogólne ściganie ich, wytępienie do szczytu, surowe prawa, wreszcie, przeciwko przybyszom, co tę nową wiarę przywozili ze sobą. Przerażeni byli senatorowie samą myślą o niebezpieczeństwie Rzeczypospolitej, którą barbarzyńcy, lud wiejski i niewolnicy mogli, wywracając wszelki porządek i prawo, w pierwotnych wieków ciemności pograżyć. Pilnie też działać chciano, aby potajemne stowarzyszenie niewolników i przybyszów urosnąć nie miało czasu, albo co gorzej, wichrzyciele, niektórzy z rycerstwa i patrycjatu (o których mówiono, że do sekty przystali) nie skorzystali z niej i nie stanęli na czele.

— Z tym postanowieniem — mówił Celsus — senatorowie Decjusz i Licynus poszli do Nerona... Byłem obecny, gdy z pokorą o posłuchanie prosili, przynagleni przez kapłanów. Cezar zrazu był dosyć rad im, bo nie cierpiąc senatorów, przy każdej sposobności naigrawać się z nich lubił, a był też pewien, że bez pochlebstwa nie przyjdą, czczego kadzidła będąc chciwy.

— Tak mówicie o Cezarze? — spytałem.

— Nie dziwcie się — odparł — nie ma zaciętszych nieprzyjaciół nad domowników i dworaków. Myślicie, że przykuty przywykłem do złotych kajdan i w nich się lubuję, że łaski tego człowieka rozum i sąd mi odejmują? Jeżeli wy go, z dala widząc tylko, nienawidzicie, cóż dopiero my patrząc nań ciągle i z bliska? Nie stracone dlań zostały przykłady, które mu dali Tyberiusz, Kaligula, Klaudiusz, skorzystał z nich, przejął od nich wszystko, ale posunął dalej sztukę naigrawania się z ludzi, nad którymi panuje. Sądzi się najmniej być bogiem, jako Apollinowi drugiemu wolno mu wszystko, nawet Marsjasza żywcem odrzec ze skóry, byle potem pięknie zaśpiewał... Ale władca świata — dodał Celsus — nudzi się jak prosty śmiertelnik, szuka zabawy jak rozpieszczony dzieciak, goni za kadzidłami nienasycony, choćby ich miał w stajennych szukać smrodach. Dziś cytarzysta, jutro poeta, dalej woźnica cyrkowy, aktor, skoczek, rozpustnik, któremu żadna nie starczy rozwiążłość, ani Sporus żona, ani Doryfor mąż jego, ani Akte, Poppea, ani cała trzoda nałożnic — nie wie, co począc z życiem i szaleje. Nigdy dwa razy jednej sukni nie włożył, nigdy ludzkiego nic i przyrodzonego, smaku jego nie zaspokoilo. Seneka chciał go uczonymi otoczyć i wywieść na filozofa i retora, ale pazury lwie wyrosły spod togi, zwierz dziki zawył rozwścieczony. Czasem z chorobliwego szału zrywa się nie wiedząc już co czynić i staje się zwierzęciem tym straszliwszym, że nie namiętność nim żadna, ale fantazja miota rozpłomieniona — wyda się to potomnym baśnią,

czemu żywych oczy wierzyć nie chcą.

Takim jest Neron. Gdyby go cnota jeszcze zabawić mogła, gdyby stutysięczny tłum jej przy klasnął, może by na chwilę znowu został cnotliwym. Nie jest okrutnym z natury, jest nim z zepsucia.

Gdy senatorowie weszli — mówił Celsus dalej — a dostrzegł po ich twarzach, że coś niesli poważnego i o sprawie Rzeczypospolitej mówić mieli, zmieniło się uposobienie.

Wiecie zapewne, iż nie cierpi tych wszystkich, którzy choć pozornie władzę z nim dzielić mogą; cały stan patrycjuszów jest mu nienawistny i rad by go wytępić, aby tylko ciemnemu ludowi panować. Już to samo, że oni śmieli bez niego o czymś pierwsi pomyśleć, czegoś żądać, coś radzić, obraziło Cezara; krwią napłynęła mu twarz płamista, oczy siwe pobladły jak bywa, gdy gniew wewnętrzny nim miota, szarpnął na sobie suknię, i podniósłszy się na łożu czekał.

Stali tak na progu ojcowie, a Neron na łożu z kości słoniowej okrytym purpurą tyryjską leżał, oczyma bladymi mierząc ich milczący i chmurny. Zdawało się, że ich na śmierć tym wejrzeniem piętnował. Patrzyłem z daleka, upokorzony jego siłą, a ich przestraczem. Oniemieli starcy; nierychło przyszli do słowa — jeden na drugiego spoglądał chcąc się nim wyręczyć. Licynus wreszcie bąkać coś zaczął wielbiąc Cezara Augusta, ojca ojczyzny. Wrócił mu głos po trosze i dosyć zręcznie w przygotowanej mowie odmalował postrach nie tyle o państwo, co o świętą osobę Cezara.

Połehtało to dumę Nerona, zresztą dawało rozrywkę, siadł na łożu i rozesał zaraz wyzwoleńców, zwołując na radę kogo myśl mu przyniosła, między innymi i Kornutusa, chociaż go ścierpieć nie może. Sam się znalazł niewołany Seneka, cierpko go przyjął Neron, ale tym słodziej uściskał.

Od dawna mu on już cięży, bo często się przed nim wstydzić musi; starzec to czuje i tym mniej się oddala od dworu, lękając się skazania na wygnanie, donosicieli i gorszego może losu...

Gdy wszyscy się zgromadzili, kazał Neron Licynusowi rzecz powtórzyć. Słuchali milczący. Cezar to ramionami ruszał, to bezmierny gniew i strach, to niecierpliwość znudzonego okazywał.

— Wiadomo — dodał Decjusz — że się na plugawe obrzędy swe zbierają w *arenariach*, więc замуrować wnijścia, zasypać otwory, otoczyć jamy, wymorzyć głodem, wydusić dymem. Po mieście ścigać, chwytać i mordować bez litości, nie przebacząc nikomu jaką bądź suknią okrytemu... W końcu Cezar może ogłosić edykt przeciw wyznawcom zabobonu cudzoziemskiego, jako na nieprzyjaciół Rzeczypospolitej.

Toż samo prawie mówił Licynus, godzili się inni, że trwogą ich potrzeba było wytępić, jeden Seneka sądził, że sam postrach bez zbytniego krwi przelewu starczy.

Przyszła kolej na Kornutusa.

— Ten — rzekł Cezar pokazując nań palcem — powie prawdę nie oglądając się na nic, a pewnie taką, o jakiej my nie śniliśmy.

I śmiał się. Stojąc za drzwiami patrzyłem na Kornutusa, który podniósł głowę nieulekniony i powoli mówić zaczął:

— Dlaczego bym prawdy nie miał rzec? Cezarze... prawda należy się bogom i Cezarom! Powiem ją... Wszystko coście uradzili dobre jest, jeśli z fałszem do czynienia macie, a jeśli z prawdą, nie przyda się na nic.

— Ośmielacie się twierdzić — przerwał Decjusz — że w tym zabobonie jest prawda?

— A skądże wy wiecie, że to fałsz? — zapytał Kornutus. Wy i ja równie nie znamy go; któż tu jest chrześcijaninem, aby nas objaśnił, kto z nimi bliżej obcował? Nikt, przeto wiemy o tym tyle, ile wie motłoch uliczny, który lada baśń powtarza łatwowierny; wiemy ile wiedzą niewiasty od przestraszonych kapłanów, co żyją ze świątyń, a głodu się boją. Ja nie twierdzę, żeby tam prawda była — dodał — ale pewny nie jestem, czy tam jej nie ma. Jeżeli zaś znajduje się choć odrobina prawdy w nauce tej, prześladowanie i krew nie pomogą, prawda zwycięży.

— Więc cóż przeciwko niej? — spytał Neron.

— Przeciwko prawdzie nic...

— Ani potęga moja?

— Ani nawet wasza Cezarze — odparł Kornutus. — Możecie ogniem i mieczem rozkazać zniszczyć całe kraje, ale nie zetniecie głowy ani jednej wiekuistej prawdzie. Gdyby się ją wam udało udusić w kolebce, nazajutrz by się urodziła na nowo.

Neron zbladł i zagryzł usta, wiecie zapewne, że równie Herkulesem się zowie, jak Apollinem.

— Nie jestem więc wszechwładny? — zapytał.

— Nie! Cezarze, życie odjąć możecie, ale je dać nie w waszej mocy — tylko bogowie stwarzają.

— Nie uznajesz więc mnie bogiem?

— Ziemskim Cezarze — rzekł Kornutus — ale nie tym, który z niebios włada ziemią.

Milczeli. Kornutus pochylił głowę.

Prześladowanie, krew, postrach, wszystko to dobre przeciwko barbarzyńcom — rzekł — ale bezsilne przeciw prawdzie.

— Czy i wy nie zostaliście chrześcijaninem — zapytał szydersko Licynus.

— Dotąd nie — rzekł Kornutus spokojnie — ale gdyby mi się ich Bóg zdał prawdziwym Bogiem, dlaczegóż by nie?

Cezar milczał. Szły potem rady różne, w których już Kornutus nie miał udziału, postanowiono tępić chrześcijan, bo wszyscy wołali, że Rzeczpospolita podkopana przez nich upaść może, więc dla ocalenia jej wszelkich środków użyć było godziwym. Neron zamknął im usta, sobie ich obmyślenie

zostawiając.

A gdy odchodzić mieli. Sylwiusz rzekł jeszcze:

— Nie lekceważcie tego: kto wie czy i na waszym dworze, wśród waszych pretorian, wśród sług i wyzwoleńców, nie macie już potajemnych chrześcijan.

Uderzyło to Nerona, zadumał się, ale po chwili już zdawał się wcale o tym nie myśleć, wziął lutnię i począł śpiewać, nie wiem czemu, zburzenie Troi... potem przybrany w diadem złocisty, popędził na watykański swój cyrk, z niego zanieść się kazał do łaźni, wrócił na Palatyn i pisał coś, przyśpieszając a do wieczerzy, która trwała późno w noc, powołał zwykłych swych towarzyszy, miejsce konsularne dając Sporusowi. Na czole jego nie widać było troski, owszem rozbudzoną wesołość, taką jaką zwykle wielkie wybuchy poprzedza. Wśród rozmów wracał nieustannie do ulubionego przedmiotu, aby Rzym na nowo odbudować i dać mu imię nowe Neropolis.

Ktoś z przytomnych szepnął, że Roma z tych samych składa się głosek, co Amor i że to imię święte nie darmo nosi stolica... ale Neron odparł, że z małą zmianą Eros w jego imieniu też się znajduje...

Oto masz powtórzone rozwlekłe opowiadanie Celsusa, który wnosi, że się na jakąś burzę zbiera. Kiedy jednak wybuchnie, nikt przewidzieć nie potrafi. — Rzucony postrach chrześcijan tak dalece tkwi w duszy Nerona, podsycany przez jakiegoś wróżbitę z Azji, że nocą zrywa się, krzycząc, jakby go już ścigano i przez Eumenidy prześladowanym się być mieni.

Mnogich zbrodni wspomnienia dosyć, by Furie spocząć nie dały.

Z opowiadania Celsusa prawie bym wnosił, że jakiś spisek knuje się przeciwko Cezarowi; wspominał wielu, którzy dzielają jego zdanie, a między innymi Senecjona ze dworu, Pizona z obcych.

Razem powróciliśmy z nim dosyć późnym wieczorem do Rzymu, a tu płacąc za jego gościnność, zaprosiłem do siebie na drugą wieczerzę, która się niemal do dnia przeciągnęła. Pytałem go o Leliusza, nic się o nim dobrego nie dowiedziałem, w wielkich jest u Cezara łaskach, ale je nieograniczonym okupuje upodleniem...

Miałby człowiek tak nieszczęśliwy uwieść kobietę taką jak Sabina, stokroć nad siebie wyższą? Gubię się w domysłach, ale w sprawach kobiecych co najmniej prawdopodobne, to częstokroć najbliższe, co bezrozumne, to możliwe. Sądzę, że mi w moim strapieniu choć politowania nie odmówisz, bom zaiste godzien litości. Bądź zdrow, i szczęśliwszy ode mnie.

XI

Sabina Marcja Zenonowi Ateńczykowi zdrowia

Inaczej dziś bym pisanie moje rozpocząć powinna, mistrzu mój drogi, bo inną dziś jestem niż przed niedawnym jeszcze czasem — nie znaną ci Sabiną rzymianką, patrycjuszów córką, patrycjusza żoną i matką, ale pokorną służącą ubogich — chrześcijanką! Tak jest, obmyta, czystsza, spokojniejsza ślę ci ten list rozpoczynając go prośbą, abys i ty co najrychlej zbliżył się do chrześcijan, lepiej poznał ich naukę i został bratem mym w Bogu nowym, Bogu przedwiecznym. Uzyskasz tym pokój i szczęście ducha, jakiego ja teraz używam, chociaż nad głowami naszymi wisi groźba prześladowania i męczeństwa.

Jakże byś ty mógł być nam użytecznym w rozszerzaniu prawdy, gdybyś całą ją poznał, uwierzył i szedł z nami!

Wahałam się długo, usiłując zbadać wiarę nową, sądziłam, że w niepewności trwać jeszcze będę... gdy jeden dzień, godzina, chwila nawróciły mnie, zostałam jakby obłana światłem, przejrzałam. Nie wahałam się natychmiast prosić o zjednoczenie z nowym społeczeństwem wybranych. Tak, Zenonie mój, chrześcijanką jestem i chlubię się tym, i dziękuję Bogu mojemu, że mnie do siebie powołał. Co dzień gorącej czuję błogosławieństwo, które spłynęło na mnie.

Tu w Rzymie nauka nasza cudownie się rozciąga z dniem każdym, nawrócenia są liczne i zadziwiające; zaliczamy do społeczności naszej znakomitych rodzin rzymskich mężów i niewiasty... Świat odrodzić się musi, prawda zwycięży.

Ale wiele krwi jeszcze przeleje się i ofiar padnie, nim nadejdzie godzina tryumfu... Wielu z nas padnie na drodze.

Czujemy wszyscy wiszące nad nami prześladowanie okrutne. Neron naradza się, jakby nas wytępić, starsi nasi także gromadzą wiernych, wlewając w nich męstwo i siłę...

Gotowi jesteśmy na wszystko, co spotkać nas może.

W tej części Rzymu, do której zgromadzenia wiernych, Ruta i ja należę, zwołano nas niedawno do domu jednego z patrycjuszów, którego rodzina przyjęła wiarę w Chrystusa. Pierwszy to raz znaleźliśmy się tu prawie wszyscy razem i zdumiliśmy się liczbie wiernych, zadziwiliśmy się ludziom, o których powołaniu nikt nie wiedział. Niewolnicy spostrzegli tu panów swoich, panowie — niewolników, matki swych synów, żony mężów i niejeden okrzyk zdumienia i radości dał się słyszeć w tym tłumie.

Z dworu samego Nerona, z jego otoczenia ujrzelśmy nowych chrześcijan, którzy na zawołanie pośpieszyli.

Po modlitwie zabrał głos Tymoteusz.

— Oznajmiam wam rzekł — nowinę wielką, radość wielką i smutek zarazem. Oto zbliża się godzina próby, mamy cierpieć za Boga naszego, tak jak on cierpiał za nas, świadczyć życiem prawdę i wiarę wyznawać krwią. Ale nie trwóście się, wszakże nieśmiertelnymi jesteście. Co znaczy chwila męczarni wobec szczęśliwości wiekuistej? Nie trwóście się, gdyż tylko krwią naszą wiara urosnąć może, świątynia Boga prawdziwego na kościach naszych założona być musi, a ołtarzami naszymi będą groby... Chodzą już wieści głuche, jak grzmoty poprzedzające burzę, o prześladowaniu wielkim... czuwajcie więc i bądźcie gotowymi. Nie godzi się nam ani rozpraszać, ani uciekać, ani kryć i trwożyć, winniśmy życie nasze prawdzie. Jakże byśmy inaczej dali o niej świadectwo? Słowy! Słowami wojują poganie, wiara nasza nie jest wiarą retoryków ani ziemskiej mądrości, ale ofiarą...

Tak mówił, a milczenie głębokie panowało w zgromadzeniu, potem szmer się dał słyszeć głuchy i westchnienia, i jęki, i modlitwy.

I wystąpił jeden z ludu rzymskiego imieniem Notus, a otrzymawszy pozwolenie odezwania się, mówił:

Dlaczegoż byśmy trwożyć się mieli? Dlaczego się poddawać? Z każdym dniem siła nasza urasta, i nieprzyjaciółom Bożym potrafimy się oprzeć śmiało stawiając czoło? Na co mamy tracić ludzi, z których każdy nasieniem jest mającym wydać owoce... Skupmy się tylko i rozważmy co czynić należy. Dlaczego byśmy w obronie prawdy nie mieli do walki wyjść; jeśli krew ma być przelana, niech będzie płodną. Jesteśmy w liczbie wielkiej, nie ma już prawie domu w Rzymie, w którym by nie było chrześcijanina. Pójdą na nasz głos niewolnicy wszyscy, których okowy złamiemy... Ci co nam zagrażają, zniewieścili są i bezsilni; legie ich rozsiane po krańcach państwa. Na dany znak swobody ruszy się gmin i przybysze, i barbarzyńcy — i powodzą krwi zalejemy nieprzyjacioły nasze.

Zdawało się, że wszyscy pójdą za zdaniem jego; szmer gorącego współczucia odezwał się zewsząd... Tymoteusz, milczenie nakazawszy, znowu się odezwał:

— Zaprawdę, zaprawdę — rzekł — jeszcze z siebie skóry starych pogan nie zwlekliście! Azali myślicie jak oni, że wszystko na świecie dokonuje oręż i siła, a nie duch i słowo? Mylicie się, mylicie idąc za starym obyczajem pogańskim. Bóg nasz Chrystus miecz do pochwy schować sam przykazał i wyrzekł, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Walczyć będziemy, ale nie tą bronią, jaką nam radzicie i podajecie — jeno cierpliwością, męstwem, pokorą, świętością, śmiercią chwalebną, odwagą wobec boleści nieustraszoną. Gdybyśmy nawet mieli siłę przeważającą i mogli słowem jednym poruszyć tysiące, wywołując zemstę, rzeź i wywrócenie tego zgniłego Babilonu nieprawości, godziłoby się nam to czynić, którzy jesteście głosicielami pokoju i miłości? Gdybyśmy nawet mieli otrzymać chwilowe zwycięstwo, byłoby ono upadkiem naszym, świadczyłoby, że nowymi ludźmi nie jesteście, że nie nową przynosimy wiarę, ale starą chęć panowania i ucisku. Nie podbijać mamy, ale rozbijać ludy, nie mnożyć bezprawie, ale prawo utwierdzać.

Wystąpił drugi i rzekł do Tymoteusza:

— Przeciwno Neronowi potężny spisek się knuje, należą doń i trybunowie kohort, i senatorowie, i

patrycjusz, i rycerstwo... Oni wiedzą o nas i prześladowaniu, jakie nas spotkało i czeka... Jeżeli przyjdziemy im z pomocą, obiecują wierze naszej pobłażanie i prawo obywatelstwa w Rzymie...

Mówił, a Tymoteusz ukląkł i płakał modląc się, aż wszyscy strwożeni zamilkli. Wstał po chwili, podnosząc ręce do góry.

— Nie odrodziliście się jeszcze z ducha — zawołał — gdy nie w Bogu i prawdzie, ale w przymierzu z poganami i w opiece ich zbawienia szukać chcecie. Nie siłą ich, ale Bożą, zwyciężymy państwa ich, stolice, wojska. Wszystko runie i obali się za skinieniem Bożym, a pracowitą mrówką, co ten dąb podgryzie, my będziemy. Ale nie w spiskach moc nasza... w pokorze i cierpieniu. A jeśliby kto napadł na Nerona, stańcie i zasłońcie go pierśią waszą, bo wszelkie mężobójstwo zakazane nam jest. Nikt z was nie wie, czy on nie jest biczem Bożym, nikt nie wie, azali ten co nas zabija, nie pomaga nam, azali ten co męczy nie żywi, czy ten co prześladowuje prawdę, nie służy jej mimo swej woli. O ludzie ślepi i małego serca, czy nie widzicie, że Bóg wszelkimi drogami iść do swych celów może, a rozum wasz zawodzi... Padnie Neron, ale wówczas, gdy go dotknie palec Boży i usta Jego wyrzekną: Już dosyć! I skruszy się siła nieprawości, jako trzcina wiotka i rozproszą ludzkie cienie, i runie potęga, jak podmyta przez wody skała... a wy zdumiewać się będziecie potędze Boga... Niech spiskują ci, co wierzą w siebie; kto w Boga wierzy, niech Bogu ufa...

— Więc cóż czynić mamy? — zapytał inny.

— Trwać, wyznawać prawdę głośno i za nią umierać — odpowiedział Tymoteusz — a umierając przebaczyć nieprzyjaciołom, jak przebaczył Syn Boży.

— Wszak możemy też wyznawać potajemnie wiarę naszą — rzekł ktoś — choć byśmy pozornie składali ofiary bogom ich?

— Nie — rzekł Tymoteusz — bo byśmy kłamali, a fałsz ust chrześcijanina zmasać nie powinien. Kto się Boga zapiera, aby ocalić życie, tego Bóg zaprze się w chwili sądu i żywot wieczny postrada. Kto milczy, małoduszny jest i niewierny. Chcemy zwyciężyć, idźmy z uśmiechem na męczarnie, a gdy ujrzą poganie, że gardzimy życiem, uwierzą w niebo i nawrócą się. Jedna jest dla nas droga prawdy, jak jeden Bóg nasz; wyznawać ją musimy głośno i cierpieć za nią.

Jeżeli spytają was, czy jesteście chrześcijanami, odpowiedzcie: Jesteśmy! Jeżeli zmuszać was zechcą do zaparcia się wiary waszej, trwajcie w niej aż do męczeństwa, aż do śmierci — niech się zdumieją, strwożą i nawrócą poganie. Między prawdą a fałszem nie ma środka; drogi fałszu są różne i liczne, droga prawdy jedna tylko... przeto jedną tą iść macie.

Niechaj poganie uciekają się do siły i ufają w liczbę, a sądzą, że dzieło Boże ludzkimi środkami obalą. My wierzymy, że duch zwycięży. Przyjdzie siła z nieba trwającym mężnie w prawdzie.

Więc wyjdźmy wszyscy — rzekł pierwszy — na środek Forum i wyznajmy głośno przed ludem, że chrześcijanami jesteśmy...

— Czyny wasze niech świadczą za was, a nie czcze słowa i przechwałki — odparł Tymoteusz. Zamiast pogańskiej pychy miejmy Chrystusową pokorę... trwajmy na modlitwie i czekajmy. Spytają

was, nie zapierajcie się prawdy, ale nie chlubicie się siłą waszą, aby ona wam wydarta nie została; bo komu pilno do bitwy, ten często pierwszy z niej ucieka. Naówczas gdy przywiodą was przed ołtarze fałszywych bogów, a każą składać ofiarę, klękajcie i módlcie się, szyję pod miecz oddając... ale nie wzywajcie śmierci.

Więc gdy zginiemy wszyscy — rzekł inny — zginie z nami wiara nasza, która świat odrodzić miała!

Nie trwóźcie się ani troskajcie — rzekł Tymoteusz — tym co Boże jest. Kto zasiał ziarno, ten je uchwaja; waszą rzeczą nie osłabnąć i nie upaść.

Modlić się potem uklękli wszyscy i rozeszli smutni, ale posileni jakąś otuchą.

Lecz zapominam prawie, że piszę do was, którzyście jeszcze niewtajemniczeni, tak prawie jak gdybyście już nimi byli. Wiele rzeczy, pojęć, wyrazów należałoby wam jeszcze wytłumaczyć i objaśnić. Trudno mi wszakże przychodzi, to nowe społeczeństwo, do którego należę, odmalować wam. W niczym ono do dawnego nie jest podobne. Dość będzie gdy powiem, że wszyscyśmy braćmi, że jako rodzina, żyć, wspomagać się, wspierać, a nade wszystko kochać się jesteśmy obowiązani. Nie ma pomiędzy nami bogatych i ubogich, bo pierwsi dzielą się chętnie czym mogą, drudzy nic nie żądają i przestają na małym. Ta żądza nabywania, to ohydne żebractwo, które przepelnia Rzym bezwstydnie, u nas nie istnieje. Cóż nam po zbiorach, do których nie przywiązujemy wartości?

Miłość, która jest osią świata chrześcijańskiego, wszelkie rodzi jego cnoty, jak przeciwne jej samolubstwo wszystkich pogańskich występków było matką. Z niej pragnienie i gotowość do ofiary, zaparcie się siebie, pokora. Zważcie sami, jak świat odmienić się musi, gdy wszyscy wyznawać będą tę naukę, gdy ona ludzi do głębi przetworzy. Pojmiecie rozumem waszym jasną przyszłość dnia, który ta jutrzienka zapowiada.

Myśmy w tej wierze nowi i choć całe jej oddajemy serce, jeszcze w nas mimo woli stary poganin się odzywa. Cóż dopiero będzie, gdy wychowamy pokolenie nowe, gdy cały naród ludzki ssać będzie prawdę w kolebce i przyjmie ją do głębi. W kilkaset lat, prędzej może, cudownie pięknym, jasnym, szczęśliwym świat się stanie.

Całego systemu nauki i dogmatów religii wypisać wam nie mogę. Gdybyście bliżej z nią obeznać się pragnęli, znajdziecie w Atenach i Grecji rozsianych chrześcijan i nauczycieli. O, jakżebym była szczęśliwą, gdybyście nawróceni zostali! Cokolwiek się stanie, nie potępiajcie mnie, nie sądźcie jako płochą: nie chwyciłam się nierozważnie i nie rzucę łatwo, co raz poślubiłam. Prosić będę Boga o nawrócenie wasze.

XII

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi pozdrowienie

Wszystko znowu ucichło i wielkie owe strachy przebrzmiały, innymi wieściami karmimy się podając je sobie do ucha: padają ofiary coraz nowe, ale i bogowie oznajmają nadchodzącą pomstę swoją. Ulubiona córka Nerona i Poppei umiera w kolebce, piorun pada na posąg Wenus Cytrejskiej i topi go na nieforemną kupę żużli. Neron tymczasem podróżuje i śpiewa greckim Parthenope mieszkańcom, którzy lepiej niż Rzymianie ocenić go umieją. Rzym także igrzysk woła i zabawy. Złocą się dachy jego pałaców, budują cyrki i termy kolosalne, białym piaskiem afrykańskim wysypują areny amfiteatrów, purpurą farbują *velaria*, okręty przywożą stada dzikich zwierząt.

Uśmiechają się już wszyscy niemal z tych, którzy jakieś niebezpieczeństwo dla państwa upatrywali w garści motłochu, co sobie nowego wymyślił Boga. Dużo tych, którym dobrze z tym co jest, aby obalić dali porządek i wprowadzić nowy.

Celsus nie jechał ze dworem, często więc teraz z nim spędzam dni moje i winienem mu, że nieco o Sabinie zapomniałem; trudno bowiem teraz nawet ją zobaczyć. Coraz bardziej utwierdzam się w podejrzeniu, iż w tym domu dzieje się coś, co wstyd ukrywać każe, żal mi kobiety godnej lepszego losu, która na bezpiecznej będąc drodze cnoty, tak łatwo uwieść się dała.

Na próżno teraz do drzwi jej przychodzę, znajduje się zawsze przeszkoda jakaś niedozwalająca zbliżyć się do niej: zajęta dziecięciami, domem, wyjechała, śpi... a kochanka Afra powiada, że po całych dniach z Rutą się zamykają lub potajemnie z jakimiś naradzają się nieznajomymi.

Mówi ona, że najkosztowniejsze klejnoty, szaty i pieniądze poszły nie wiadomo gdzie. Miałażby i ona utrzymywać jakiego rozrzutnika, histriona czy gladiatora?

Wzdryga się myśl na upodlenie takie, ale może być co innego? Uczciwa miłość nic by ją nie kosztowała, a cóż innego, jeżeli nie ta namiętność takich ofiar wymagać może? Gdy na chwilę dopuszczony do niej jestem, przyjmuje mnie chłodno, milcząca, jakby zawstydzona, nie tłumacząc się nawet przede mną.

Znosiłem to długo, w ostatku zapragnąłem uzyskać jakąś pewność, zawsze lepszą nad dręczące mnie domysły.

Poszedłem do niej dobijając się natrętnie, nastawałem aby przyjęła, otwarły się drzwi.

— Sabino rzekłem — od dawna przygotowuję się jako krewny i brat zapytać ciebie, co jest powodem tak znacznej zmiany w życiu twoim? Nie zaprzeczaj — ona jest, fałsz ci nie przystoi, a ja nie jestem tak łatwowierny i ślepy, abym się lada jaką uspokoił wymówką. Zmiana ta w tobie

widoczna, przyjaciele i nieprzychylni ci widzą ją w tobie. Tajemnicę masz, którą ukrywasz.

— A gdybym ją miała — spytała spokojnie — czy sądzisz, że byłabym ci obowiązana ją objawić?

— Zdaje mi się zawołałem — że dawna przyjaźń nasza, więcej powiem, że miłość moja ku tobie...

— Miłość — odparła zdziwiona miłość? Jaka?

— Czyż nie widzisz, że szaleję za tobą? — rzekłem.

Sabina zarumieniła się i cofnęła.

— Juliuszu — szybko odpowiedziała — miłość ta daremną jest, ja ciebie kochać nie mogę.

— Kochasz więc innego? — zapytałem.

— Nie rozumiem dlaczego tak wnosisz — mówiła spokojnie — mogłabym i ciebie, i innego nie kochać. Szanuję cię, jestem dla ciebie siostrą, ale miłości ku tobie nie mam.

— A więc... innego kochasz...

— Źle wnioskujesz, lecz jeśli chcesz wyznania, powiem ci, wyznam, tak jest, innego kocham, wielkiego męża...

Wtem zamilkła, oczy załzawione spuszczając.

— Dokończ — rzekłem.

— Kocham tego, z którym żaden się człowiek równać nie może.

Stanąłem jak piorunem rażony, łatwo się było domyśleć — Gajuszu drogi — któż to inny być może, jeśli nie Cezar, jeśli nie ta poczwara Neron... Spuściłem głowę i pytać ją przestałem.

Była tak bezwstydnie spokojną mówiąc to, tak dziwnie i cynicznie patrzyła mi w oczy, iż mnie obrzydzenie porwało.

Widząc jak cierpię, zdawała się litować nade mną.

— Juliuszu kochany — rzekła — gdybyś ty poznał tego, którego umiłowałam, kochałbyś go jak ja! Jak ja, wszystko byś mu poświęcił.

Zerwałem się oburzony.

— Nie mów więcej — zawołałem — słuchać nie chcę, aby się nie rumieniła za ciebie.

— A i czemuż ci wszystkiego powiedzieć i wyznać nie mogę — odparła powoli — ale nie, godzina nie wybiła, tajemnica pozostać musi pomiędzy mną a tobą. Dowiesz się jej kiedyś,

wytłumaczysz mnie, uniewinnisz.

Milczałem, zwróciła rozmowę na inne przedmioty.

— Co robisz? Czym się zajmujesz? — spytała.

— Staram się o tobie i miłości mojej zapomnieć — odpowiedziałem — a że była silną, muszę też na nią gwałtownych lekarstw używać. Nie pytaj mnie o życie moje, próżnuję, zabawiam się, głupieję.

— Złą obraliście sobie drogę do otrzeźwienia się z tej namiętności, którą nie wiem jak obudzić w was mogłam — powiedziała po cichu. Sądziłam, że z gorączki leczyć się należy, nie winem co ją powiększa, ale wodą co ją gasi, więc z szałów podobnych nie rozrywkami ale chłodną rozwagą. Wyście tak dawniej zdrowo sądzili o tym społeczeństwie zepsutym, a dziś jużście się w nie wcielili! Czemu w nauce i myśleniu nie szukacie otrzeźwienia?

— Nauka czczą jest — rzekłem.

— Nie każda — odpowiedziała.

Patrzyłem na nią w ciągu rozmowy i podziwiałem. Ta kobieta, która przyznała się przed chwilą, iż ją trawi miłość ku mężowi, jakiemu żaden w świecie człowiek nie dorówna, tak była spokojną, tak chłodną, jakby się wszelkiej namiętności pozbyła.

W jej rysach znalazłem także zmianę, schudła i zbladła, ale mi się zdała piękniejszą niż kiedykolwiek, a twarz jej promieniała, jak oblicze Apollina, którego w słońcu malują.

Aby od niej oczy oderwać, spojrzałem po ścianach, uderzyła mnie dotąd niedostrzeżona zmiana w domu. Mąż Sabiny był wielkim miłośnikiem malarstwa; nie dosyć, że bardzo biegłym mistrzom powierzył przyozdobienie ulubionego swego domu na Palatynie, ale z Grecji sprowadzał obrazy, które w ściany powprawiano. Pamiętałem dobrze ich przedmioty, zdziwiłem się więc wielce widząc, że ta cenna domu ozdoba zniknęła.

Spostrzegłszy, że na to zwrócił uwagę, Sabina zarumieniła się.

— Cóż to jest? — zapytałem. — Nie widzę waszych obrazów, ani Ledy greckiej, ani Psyche i Amora, ani Tezeusza i Andromedy, ani innych, cóż się z nimi stało? Gdzież ów sławny Satyr wasz i Bachantka?

— Nie mogłam na nie patrzeć — odpowiedziała mi niecierpliwie — widzisz, że są zastąpione innymi.

W istocie, na miejscu ich spostrzegłem bardzo mierne, a raczej liche i pospieszne obrazy; winobranie, Orfeusza grającego na lirze i dzikimi otoczonego zwierzętami; scenę jakąś pasterską, na której wyobrażony był młodzieniec niosący owieczkę na ramionach. Wszystko to razem nie warte było jednego Satyra i Bachantki.

— Szkoda — rzekłem — były to obrazy Tymanta i innych sławnych mistrzów, piękne i drogo

opłacone, warto je było oszczędzić.

Nic mi na to nie odpowiedziała.

Patrzyłem długo na owego pasterza niosącego owieczkę, dziwnym mi się wydawał.

— Cóż to jest — spytałem — ja tego nie rozumiem?

— Nie wiem dobrze — rzekła — malarz wyobraził zapewne prostoty pełne obyczaje wieśniaków.

Dawny ołtarz także, stojący przy *impluvium*, zmieniony został na jakiś nowy, na którym wryte były gałęzie palmowe i ryby, uderzyło mnie to również.

— Wszystko więc u siebie zmieniacie — rzekłem — bo i to widzę jest nowe...

— Tak! — odpowiedziała mi krótko.

W ramach nad drzwiami była, pamiętam, bardzo wdzięczna Hebe z Jowiszem; teraz znalazłem na jej miejscu wyobrażoną ucztę jakąś, złożoną z kilku osób siedzących za stołem i dzielących się chlebem.

— Żeście też lepszego nie wybrali artyści — rzekłem wpatrując się — lub, który by zrozumialsze rzeczy malował. Żaden Grek ani Rzymianin nie odgadnie, co na nich wyrazić chciano. Wszak ci to nie ucztą bogów?

Milczała, odwracając głowę. Spostrzegłem dopiero, że i stare penaty poznikały.

W istocie jest w tym wszystkim zagadka, której rozwiązanie przechodzi moje siły.

W ogródku posągi Apollina i Junony, Hermesa i Priapa także zdjęte zostały. Co znaczy ta jakaś dla sztuki nienawiść? Nie pojmuję — nawet już pytać nie śmiałem.

U wyjścia, gdym się smutny oddalał, wstrzymała mnie.

— Juliuszu — rzekła — gdy się kocha kobietę czystą i pocziwą miłością, nie posądza się jej o zło, stara się w sercu zachować niepokalaną. Widzę na czole twym gniew, smutek, żal, urazę do mnie. Nie bądź zbyt pochopnym w sądzie, wierz mi i czekaj: nie jestem tak przewrotną jak ci się zdaje, dowiesz się kiedyś o tym.

Łzę miała w oku, dziwna kobieta! Wyszedłem zasmucony, oszalały, serce mi się tak ścisnęło, że zmuszony byłem szukać uspokojenia i zapomnienia. Znalazłem Celsusa i pojechaliśmy Drogą Apijską za Rzym, koni naszych próbować.

Zabierało się już na zmrok, gdyśmy w Kapeńskiej Bramie wstrzymani zostali zwykłym tu ścisaniem wozów i ludzi. Mimowolnie w bok okiem rzuciłem i spostrzegłem dwie niewiasty. Zasłona jednej uchyliła się, po jasnych włosach poznałem Rutę. Gdyby nie ona, druga co z nią szła razem, wcale by mi w oczy nie wpadła, tak była osłonięta i w płaszcz owinięta — poznałem w niej po wzniosłej

postawie, chodzie i ruchu Sabinę. Oczom moim wierzyć nie chciałem, ale wątpić nie było można, przebrana, zakapturzona szła z tą przeklętą niewolnicą — kędy? Mógłbym odgadnąć?... Gdyby nie Celsus, rzuciłbym był wóz i ścigał ją pieszo, ale zwierzać mu się nie chcąc, musiałem na wozie pozostać. Tymczasem niewiasty przeklęte znikły wśród ścisłu. Za wrotami już ich nigdzie dostrzec nie mogłem. Struło mi to przejażdżkę i chętnie dałem się Celsusowi wyprzedzić.

Powiedz mi, powiedz Gajuszu miły, do czego dojść może kobieta, gdy nią szalona owładnie namiętność! Sabina, Sabina która stopą nigdy nie tknęła ziemi, chyba w ogrodzie na wysadzanej kamykami uliczce, której *lithostrotum* mogłoby najwykwintniejsze atrium przyozdabiać. Sabina, którą w złocistej lektyce sześciu niewolników nosiło zasłonioną od słońca i wiatru powiewu. Sabina pieszo, zmieszana z gminem, w brunatnym płaszczu, spiesząca o zmroku na umówioną gdzieś schadzkę. Wszystkiemu teraz wierzyć jestem gotów, co o kobietach piszą i opowiadają najpoczwarniejszego. Głupi byłem, że ją nazbyt szanowałem, byłaby moja, gdybym w porę miał odwagę...

Powróciliśmy z tej nieszczęsnej przejażdżki, aby u mnie z Celsusem wieczerzać, gdy i Leliusza oznajmiono — choroba także go w Rzymie wstrzymała. Nienawidzę go, bo mi się zdaje, że od pierwszych jego odwiedzin, nieszczęście się moje poczęło, musiałem wszakże powitać gościnnie.

Leliusz wprost przybywał z łaźni, gdzie go snąć w *elaeothesium* dobrze namaszczone, bo do zbytku woniał z daleka; miał jakąś postawę naigrawającą się, zwycięską...

Natychmiast sam począł mówić o Sabinie i przesadnymi wychwalać ją wyrazy, jam już milczał.

Bez wątpienia, jeśli nie sam Cezar, on to jest tym mężem, z którym żaden inny w świecie porównać się nie może. Inaczej dlaczego by tak uparcie mówił o niej i tak ją ciągle zachwalał? Niewiasty lubią tych zniewieściałych dzieciuchów, tak jak czasem bezbrodych miłują rzezańców.

Ale cóż to mnie ma obchodzić? Mogę przecież najpiękniejszą w Rzymie zwabić kobietę, gdy skrzynię otworzę.

— Słuchaj Leliuszu — rzekłem gniewny — poprzestań szyderstwa. Sabina obchodzi mnie dziś tyle co Rutilia lub Lysiska, nie lubię postrzałów z boku, mów wyraźnie co ci się mówić podoba.

— Powiem więc na Herkulesa rzekł szyderski — śmieją się z ciebie, żeś Sabinę mając pod bokiem, obcując z nią codziennie, nie potrafił jej sobie pozyskać. Dziwi mnie to i śmieszy. Juliuszu... Dziś ktoś inny jest szczęśliwszym!

Tu puściwszy strzałę zamilkł.

— Nie mogliście powiedzieć mi jego imienia? — zapytałem.

— Co wam po nim, skoro ono waszym nie jest? Mścić się przecie nie myślicie — odrzekł — jest tyle pięknych kobiet w Rzymie!

Dla okazania, że w istocie niewiele dbam o Sabinę, posłałem po tancerki, po skoczków, po flecistę, kazałem, udając głupią wesołość, dobyć starego falerna...

Tancerki były wyborne z najpiękniejszych *ambubajów*, ale jakże mi się wydały nie miłości ale litości godnymi! Jak ta wrzawa i śpiewy przykro raziły mi uszy! Czekałem z niecierpliwością końca, odprawiłem wszystkich znudzony i zmęczony. Jeszcze dni kilka, któż wie, może do legii pospieszę, w Rzymie wytrzymać niepodobna.

XIII

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi zdrowia

Jeśli ci się listy moje sprzykrzyły jednostajnością, nie jestem winien; żądasz ich, karmię cię tym, czym sam żyję.

Znowu czasu nieco upłynęło, a moja namiętność dla Sabiny trwa niezmiennie, pędzi mnie ona coraz dalej w dziwactwa, których granicy przewidzieć nie mogę. Dokąd zabrnę, nie wiem. Od chwili, gdy ją i Rutę spostrzegłem w Bramie Kapeńskiej, nie miałem spokoju, pragnąłem nareszcie rozwiązać tę ciemną zagadkę. Posłałem Afra, aby być zawiadomionym, za dobry okup, przez niewolnicę syryjską, o której godzinie one z domu wychodzą zwykły. Umyśliłem, przebrany i zacząjony, oczekiwać na nie w bramie i dalej pójść, śledząc ich kroki. Przydała mi się wasza *lacernula*. Niewolnica zaręczyła, że wychodzą codziennie pod wieczór: postanowiłem wreszcie choćby stracić i kilka wieczorów, gdyby tego była potrzeba.

Zasiadłem więc okryty twoim płaszczem galijskim na straży o zmroku, ukryty za murem, oka nie spuszczałem z gościńca. Zmierzchało się, gdy po opisie ich szat, po postaciach poznałem dwie przekradające się ostrożnie pod murami niewiasty. One to były. Ruta szła przodem, Sabina za nią, dwóch jakichś ludzi jakby na straży, postępowało w oddaleniu.

Niepostrzeżony dałem się im wyminąć, a potem powoli, ze sromem na czole, jak *latrunculus*, sunąłem się w ślad nieszczęśliwej kobiety.

Wyszły na Drogę Apijską, widziałem je obie przed sobą, aż do domu Gemellusa. Tu skręciły ku drzwiom i wcisnęły się do wnętrza...

Wstrzymałem się naprzeciw, nie spuszczałem oka z domu, do którego mnóstwo osób różnego rodzaju wsuwało się nieustannie...

Miano by tam obchodzić jakie tajemne obrzędy jednej z tych bogiń, która sobie rozwiązała za opiekunkę obrała?

Nie, odpycham samo przypuszczenie, to być nie może! Od drzwi przeciwległej *popiny*, u której mulnicy i podróżni do Rzymu przybywający zwykle dla przebrania się stają, patrzyłem długo, ale wychodzących niewiast dostrzec nie mogłem. Noc była czarna, snuło się ludzi dosyć.

Któż jest ten Gemellus? Posłałem nazajutrz na zwiady. W Rzymie, jak wiesz, na usługach ludziach nie zbywa. Ledwieś wyrzekł życzenie, jeśli masz je czym opłacić, stu ci się posługaczy natychmiast do spełnienia go nastęrcza. Wybrałem Afra, bo mi najmniej się wydaje niebezpieczny, i milczeć będzie, gdy każę. Poszedł i z niczym prawie powrócił.

Gemellus stary już, jest synem wyzwolenca Augustowego (*libertinus*), człowiekiem spokojnym i

zamożnym, żyjącym na ustroni w ciszy. Godzą się na to wszyscy, że obyczajów czystych i żywota być ma prawego. W domu swym ma tylko córkę i zięcia od dawna schorzałego, opuszczonego przez lekarzy. Gdybym na swe oczy nie widział, że do tego domu weszła Sabina, sądziłbym, że się omylono śledząc ją, lub że to nie była ona. Afer zaręcza, że dom Gemellusa, w sąsiedztwie, za najspokojniejszy uchodzi, uczt w nim nigdy nie ma, a młodzież doń nie uczęszcza. Gemellus ma być uczonym, oddanym filozofii stoickiej mężem, mówią, że przyjaźń go łączy z Seneką. — Czy nie w tym szukać potrzeba klucza zagadki?

Seneka pięknie pisze, ale czyny jego nie zawsze słowom odpowiadają; wiadomo, że usiłuje Cezara odwieść od okrucieństw i pod swą znowu zagarnąć władzę. Mogło mu na myśl przyjść dać mu kochankę poważną jak Sabina... gdy Poppeę powoli obrzydzać sobie zaczyna... Może dom Gemellusa wyznaczono na schadzki z tą nową Egerią, a podróż do Partenope kłamstwem jest dla pokrycia stosunków tajemnych. Ale nie!

Gubię się, błąkam w niedorzecznych domysłach, pojąć tego wszystkiego nie umiem... Gardzę nią, lituję się, nienawidzę i kocham zarazem, chcę zapomnieć, a zajmuję się mimo woli.

Wybierałem się już do Galii, do ciebie, muły były pojuczone... nie mam siły. Nie pora jeszcze, muszę jaśniej przejrzeć.

Czekaj na mnie jednak, Gajuszu drogi, zostaw gościnne skórami wysłane łoże pod namiotem, może tam wpadnę odpocząć — *Vale*.

XIV

Sabina Marcja Zenonowi Ateńczykowi zdrowia

List twój spokojny, pobłażający, serdeczny, zachęca mnie, bym ci dalsze mojego nawrócenia opowiedziała dzieje. Zdaje mi się z niego, jak gdybyś przyznawał nauce, którą poślubiłam, to boskie jej pochodzenie, jakiego nosi piętno. Musi ona być istotnie boską, bo szerzy się przeciwko wszelkim zwykłym prawom i warunkom, jakich inne potrzebowały do wzrostu; zyskuje prostaczków i mędrców. Wśród świata wyżywionego najwykwintniejszą filozofią i nawykłego do najzręczniejszych sofizmatów, zwycięsko postępuje prostotą swą i wielkością, burząc co napotka. Żywe słowo i czyn torują jej drogę, mało pisze i mało ma ludzi, co by pisać byli zdolni, lecz gdy natchnieni mówią, czujesz, iż w nich mieszka ten duch, który sokratesowym demonem za Sokratesa czasów zwano.

Duch to jest z niebios, który człowiekowi daje więcej niż herkulesową siłę.

Słuchaj Zenonie mój, i bądź równie pobłażającym, jak byłeś dotąd, na wszystko co posłyszysz. Zdaje się, że zgromadzenia w domu Gemellusa i Pudensa musiały być postrzeżone, z podjudzenia kapłanów schwyta — no kilku chrześcijan i zaczęto ścigać innych na których padły podejrzenia. Musieliśmy więc, unikając za wczesnych ofiar, przenieść się z obrzędami i całym życiem religijnym do *arenariów*.

Przy Drodze Apijskiej, w okolicach Watykanu i wielu innych miejscach na krańcach miasta, odwieczne istniały wydrążenia podziemne, z których na budowę Rzymu kamień, piasek i glinę dobywano. Nieraz one bywały schronieniem zbiegłych niewolników i złoczyńców, często nieszczęśliwych ubogich, co innego nie mieli dachu. W początkach samych prześladowania, dla swobodniejszego odprawiania ofiary i liczniejszego zgromadzania się bez niebezpieczeństwa, obrali chrześcijanie *arenaria*.

Krótko to jednak trwało, ale one posłużyły za wzór do podziemnych krypt, w których odtąd zwykli się zbierać chrześcijanie, by grzebać ciała swych zmarłych i swobodniej naradzać, uczyć, spoczywać. Słyszałam już o tych jaskiniach, bo Rzym wie o nich cały, chociaż ze wstrętem o nich mówi, z obawą się zbliża, i omija raczej niż nachodzi. Wnijścia są skryte, odległe... rozrzucone... Dziś to grobowe państwo śmierci jest światem naszym, tu tylko jesteśmy wolni... Tu leżą zwłoki męczenników zebrane pobożną dłonią niewiast, tu spoczywają zmarli nasi, tu może będzie kolebka nowego świata i stąd wyjdzie słońce, które go oświeci.

Pojmujesz, że w baśniach ludu to tulenie się w ciemności i jaskinie, musiało dać powód do obwiniania i szkarady, nie szczędzą nam też ich nieprzyjaciele.

Trudno by mi było opisać wrażenie doznane, gdym po raz pierwszy zstąpiła w otchłanie, jak Orfeusz bajeczny idący do piekieł po Eurydykę. i my tu po Eurydykę duszę naszą schodzimy, aby wyrwać ją piekłu...

Niedawno poznałam Pomponię Grecynę, matronę rzymską, jak ja nawróconą, z której ogrodu tajemne wnijście okryte bluszczem i winną latoroślą prowadzi do katakumb. Ona mnie razem z Rutą wwiodła w ten nieznaną kraj ciemności i grobów...

Wszystkie miałyśmy lampy w ręku... Naprzód spuszczałyśmy się po wąskich schodach kamiennych, potem zstąpiłyśmy na wilgotną ziemię do galerii nieforemnie w ziemi wykutej i nią doszłyśmy do cmentarza... Ciała chrześcijan nie są palone, ale starym rzymskim i greckim obyczajem składane w ziemi. Nie zamykają ich w kosztowne sarkofagi, bo ciało znikome powinno się stać prochem, nim do nowego życia powróci... Jak w kolumbariach naszych urny, tu w wyłobieniach z obu stron galerii leżą ciała spowite całunami, a przy nich dla rodziny, aby się modlić mogła, dla wiernych, aby przypomnieć ich zdołali, napisy na tablicach z marmuru, cegły, często na glinie tylko.

Tu są kościoły nasze... ale ich cele szczupłe i nieozdobne: nie mamy ani posągów, ani marmurów, ani brązów, ani kości słoniowej i konch perłowych, ani nic co by przepych znikomy przypominało... Ofiara odbywa się na grobowcu męczennika lub kapłana, na prostym sarkofagu z kamienia, w małej izbie grobowej. Innych tu wyobrażeń nie znajdzie nad te, które symbole nowej wiary wyrażają. Ubóstwo i prostota panują wszędzie; kapłan nie wdziewa szat kosztownych, a kielich ofiarny z prostego szkła lub niedrogiego jest kruszcu. Lecz gdybyś widział tych ludzi i słyszał ich modlitwy, pieśni, nauki! Jaki spokój na tych wypogodzonych twarzach, jaka pogarda cierpienia i niebezpieczeństwa, jaka miłość wszystkich ku wszystkim.

To społeczeństwo, które ugniata nas stopami swymi, chodząc po głowach naszych i urągając nam, jakże liche i nędzne wydaje się przy ubogim gminie sług Chrystusa...

Mimo liczego zgromadzenia, które przepełniło wszystkie krypty, bo w nich na kilku miejscach odprawiały się ofiary, cisza była głęboka, wielka, majestatyczna... ujrzałam tylko podniesione do góry dłonie modlących się i oczy ku niebu, które czarne osłaniało sklepienie. U wnijścia celi stali kapłani i starsi, po jednej stronie niewiasty, po drugiej mężczyźni, dalej bez różnicy stanu, ale wedle wieku tylko, sędziwi, młodszy i dziatki...

Pewnie was dojdą jakieś o ofiarach i ucztach chrześcijańskich bałamutne opowiadania, nie wiercie im... proste to są ofiary, błogosławiony chleb, poświęcone wino, które kapłan kilku wyrzeczonymi słowami, siłą mu nadaną przez następcę Syna Bożego, zmienia na Krew i Ciało Jego, na pamiątkę Krwi Jego przelanej za ludzi, Ciała umęczonego za nich... Tym chlebem i winem dzielą się wszyscy obecni na znak braterstwa w Chrystusie, oczyściwszy dusze żalem z przestępstw swoich...

Oto są agapy nasze, oto te ucztę rozpustne, o których tyle mówią... moczemy usta w kielichu i pożywamy drobny ułamek chleba...

Wobec tej ucztę równi są wszyscy, byleby czystymi byli. Nikt do ołtarza przystąpić nie może skalany nienawiścią i zbrodnią.

Gdym tu po raz pierwszy uklękła dopuszczona będąc do wspólnego stołu, łzy mi biegły po twarzy... z jednej strony klęczała Pomponia senatorskiego rodu matrona, z drugiej Egipcjanka niewolnica, dalej Żydówka i syryjska dziewczyna, i Ruta, i znowu córki Pudensa, na których twarzach szlachetne ich pochodzenie starożytne widoczne było na pierwszy rzut oka.

Wspaniały to był obrzęd tych ludzi po raz pierwszy, jak świat jest światem, zrównanych...

Gdyby nowa wiara nasza nic więcej nad to nie przyniosła światu, już by zaiste złamała barbarzyńskie tysiadcwieczne zapory, co rodzajowi ludzkiemu tamowały swobodne jego rozkwitnienie. Gdyby skruszyła tylko łańcuchy, niewoli, już by się objawiła boską posłannicą. Gdyby zamiast prawa siły dała prawo miłości tylko, już by nim musiała zwyciężyć.

Lecz przebacz mi, że mówię do ciebie, jak gdybyś już do nas należał. Czemuż tak nie jest?

Nic mniej podobnego do siebie nad te dwa światy, stary szalejący na ziemi, nowy modlący się pod nią... Człowiek, rodzina, społeczność zupełnie inaczej się tworzą w chrześcijańskim świecie. Tam panuje niewola, tu swoboda, którą tylko hamuje prawo miłości — nie czyn drugiemu co tobie nie miło. Tam tysiące jest praw dla stanów, dla ludzi, dla położzeń, dla narodów — tu jedno. Tam wyjątki są dla uprzywilejowanych, tu nie ma ich dla nikogo, swobodniejszym nie jest najwyższy kapłan nasz od najmizerniejszego prostaczka. Co grzechem jest dla niewolnika, grzechem dla najważniejszego, najzupełniejsza równość moralna panuje między nami. Nie wyobrażaj jednak sobie barbarzyńskiej zwierzęcej społeczności i stada ludzi — mamy i my zwierchników, przedniejszych, szlachetniejszych, ale patrycjat nasz daje rozum, cnota i miłość. Dobijać się go potrzeba czynem, nie obleka nim ani ludu okrzyk, ani dekret Cezara, ale męczeństwo, stałość, zasługa, wyższość rzeczywista.

Z pośrodku tego tłumu, w chwili natchnienia, wyjdzie głos z ust, na których żelazo rozpieczone niedawno upadające kładło piętno; ozwie się niewolnik nieznany, a słowo wielkie czyni go przewodnikiem drugich: czyn miłości jedna szacunek, powagę, posłuszeństwo...

Wielu z między nas rozdało swe mienie pomiędzy ubogich, sami zapragnąwszy ubóstwa jako probierza cnoty i wytrwałości, inni codziennie się dzielą tym co posiadają — z braćmi. Jakże słodkie są te imiona siostry i brata, jak wiele znaczące... Jaki one spokój wlewają w duszę!

Po ofierze i podziale chleba, siedzący za ołtarzem na kamiennym krześle kapłan wstał czując w sobie ducha, który mówić mu kazał... Żałuję, że ci słów jego powtórzyć nie potrafię, aleśmy wszyscy przejęci byli nimi i poruszeni do łez. Proroczco oznajmił nam zbliżanie się godziny wielkiej próby i męczeństwa, a zarazem kary na zatwardziały w nieprawościach Rzymian i Nerona... Zdawał się widzieć oczyma duszy zapalone stosy, krwią zlane cyrki, wznoszące się krzyże i pobroczone miecze, i trupami płynące rzeki... Ale to co innych by przerażało, chrześcijan unosiło i rozżarzało, czuli się przeznaczonymi do utwierdzenia wiary, która inaczej, jak w boleściach na świat przyjść nie mogła... Łzy mieszały się z okrzykami radości, niektórzy całowali groby pierwszych męczenników, jakby się z nimi połączyć pragnęli co rychlej... inni ściskali krewnych, jakby przeczuwając pożegnanie, i mówili im — Do widzenia w niebie!!

Serce mi biło, Pomponia płakała, a gdy skończył się obrzęd i wierni różnymi drogami rozchodzić się zaczęli, gdy i my powoli wydobyłyśmy się na światło dzienne, ta godzina modlitwy i ofiary w podziemiach wydała mi się jak sen, jak widzenie dziwne i wrzawa bliskiego gościa pływającego życiem powszednim Rzymu napawała mnie wstrętem... Patrzyłam, słuchałam z obrzydzeniem i zgrozą.

Odpoczęłam w domu Pomponii, lecz musiałyśmy rozejść się rychło, ona już bowiem posądzona jest o chrześcijaństwo i wydana przez którąś ze swych niewolnic. Lada chwila więc, mimo wysokiego jej rodu, przyjść może oskarżenie, niewola, kara, której srogości za czasów Nerona nikt zmierzyć nie potrafi. Jego dzikości, jak pobłażania, nigdy przewidzieć nie można. Nie widzieliśmy go plującemu mu prawie w oczy Cynikowi Izydorowi przebaczącego obelgę, a karzącego ludzi co mu nigdy nic nie uczynili złego, jak Torkwatus Syllanus, który pokrewieństwo swe z Augustem życiem musiał opłacić.

Poszłyśmy z Rutą do domu, a od tej pory nie ma dnia, żebym przez Pomponii winnicę lub inne jakie wniście w naszych kryptach nie bywała. Tu nam jest najlepiej, tuśmy sami i oko donosiciela nie wyszpiguje łez i modlitwy.

Otóż nasze *cubicula*, nasze biesiadne sale, nasze rozkoszne uczyty... I my, jak owi Grecy, stawiamy obok kościotrupy, lecz nie na to, aby nam *carpe diem* powiadały w tym rozumieniu co uczniom Aristippa, lecz aby znikomość życia przypominały co chwila.

Żegnaj mi, mistrzu mój! Gdybyś był duszy mej nie przygotował nauką swą do przyjęcia światła, nigdy by się ona dlań nie otwarła. — Szczęście moje tobie jestem winna...

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi zdrowia

Zbyt wiele zbyt wielkich mam ci opowiedzieć rzeczy; nadto wzruszony jestem nimi i przejęty, bym to potrafił tak wykonać jak pragnę.

Naprawdę od czego zacząć nie wiem i w jaki ująć porządek. To co mnie dotknęło, com widział, com słyszał, zmieszało się w pamięci i tłumnie ciśnie pod nieudolne pióro. Nie wiem czy wprawniejsze by nawet przedmiotowi podołało. Wybacz mi więc, Gajuszu miły, że połowę pracy koło tego listu zostawiam tobie, niech myśl twa dopełnia tego czego mu braknie, niech wyobraźnia odgadnie, niech serce przeczuje.

Siedzieliśmy jednego z tych dni u skromnej wieczerzy z Celsusem w *triclinium* mojej *insuli*, rozmawiając o świeżym świętokradztwie Ahenobarbusa Nerona, który Rzymowi wyprawiał widowisko jakiego on nie miał jeszcze, swym nowym ożenieniem z Pitagorasem. Dojdą was tego wesela opisy, dopełnionego z całym religijnym obrzędem, na który spodleni kapłani nie wiem jak zgodzić się mogli. Na urągowisko tłumy wystawiono świętość małżeństwa, jakby mu Neron chciał odjąć wszelkie religijne znaczenie i siłę, a patrycjuszom Rzymu powiedzieć, że odtąd jak niewolnicy będą, którym żon mieć nie wolno... Śmieje się, urąga szaleniec i powiada: Przede mną nikt z Cezarów, nikt z królów nie wypróbował jeszcze, ile z narodem, z senatem, z ludem, pozwolić sobie można... Lecz jakież to naród i senat, bogowie wielcy! Nie pierwsze to i nie ostatnie szaleństwo i świętokradztwo. Wiecie, że Neron do bogów Rzymu wcale pobożnym nie jest, mając ich za równych sobie, a może od siebie słabszych... Przez jakiś czas czcił syryjską boginię, ale potem posąg jej zbezczeszczywszy precz wyrzucić kazał i innym ofiar nie składa oprócz małej jakiejś nieforemnej figurki tajemniczej, którą mu plebejusz w ulicy idącemu ofiarował. Tej odkrycie jakiegoś spisku, opiekę możną nad sobą i siłę wielką przypisuje, pięć razy na dzień czyniąc przed nią libację.

Po tych zaślubinach szyderskich, od których czoła wszystkich pocziwych Rzymian pokrył wstydu rumieniec, a piersi oburzenie wstrząsnęło, wyjechał Neron. Wiesz może jak się odbywają podróże, z rozrzutnością której nic równego nie widzieliśmy ani my, ani ojcowie nasi, tysiąc wozów ciągnie za nim, teatr jego, igrzysk przybory, niewolników dwór, purpurowe sieci o złotych węzłach dla rybołówstwa, posągi nawet ulubione; z obciętymi włosy poprzebierane po męsku niewiasty co mu służą. Muły i konie kanuzyjskie okrywają szkarłaty i srebrne uprzęże... Celsusowi pozwolono pozostać, byliśmy więc swobodni i pożywaliśmy *coenę* z nim i Chryzypem, gdy zgiełk i wrzawa dla nas niezrozumiałe po kilkakroć o uszy nasze uderzyły. Sądziliśmy zrazu, że uliczny jakiś bój między dokazującymi ulubieńcami Cezara, którzy pod jego nieobecność to w Rzymie czynią, co on sam gdy w nim zamieszkuje lub nowo wymyślona jakaś uroczystość dla Poppei zakłóciły spokój chwilowo, i wieczerzaliśmy nie zważając. Wtem wpadł Afer zbladły oznajmiając, że znaczna część Rzymu stanęła w płomieniach. Pożar poczęty około wielkiego cyrku tam gdzie się do Palatynu i Celiuszowej góry przytyka, wiatr rozdymał potężnie, rzucił się na sklepy olejarzy i wszelakiej palnej kupi otaczające cyrk, a ramionami silnymi obejmował domy na wszystkie strony...

Przerażeni tą wieścią porwali się od wieczerzy, wdziali naprędcę obuwie i wybiegliśmy na ulicę, każdy w stronę, gdzie kto co miał najdroższego. Nie chodziło mi o moje mienie w *insuli*, ani o dom więcej zagrożony na Palatynie, kędy już płomień jakby falą ogromną rozlewał się, ale o Sabinę. Biegłem wszystko rzuciwszy do niej... Ale precisnąć się było tak trudno, iż sam dziś nie wiem jaką siłą potrafiłem przebrnąć tłumy, które zalegały wąskie uliczki, portyki, schody świątyń i całe place. Krzyk, wrzaski, płacze, tumult były nie do opisania; niewiasty, dzieci: wyrzucane z domów i pałace się na kamieniach sprzęty; trupy tych, których padające ściany przytłukły, ciżba niewolników ryczących, pokrwawionych; konie, wielbłądy wszystko to w jedną masę zbite, wiło się otoczone płomieniem i dymem. Ludzie w rozpacz, oszalali z mieczami w rękach torowali sobie drogę do domostw... Powywracane lektyki, pogruchotane wozy, omdlałe kobiety mijać musiałem, a chociaż mi Afer i dwaj z nim idący niewolnicy dopomagali, nie wiem czy bym potrafił przedostać się, gdyby nie oddział straży pretoriańskiej idący przede mną, który spieszył ku Palatynowi i drogę mi torował, ścieląc ją rannymi i trupami.

O ratunku miasta ani pomyśleć było można... Tybr cały nie miał w sobie tyle wody, ile na ugaszenie płomieni było potrzeba, siła niszczącego żywiołu wzmagała się; co chwila grzmot obalającej się budowy nową oznajmiał ruinę... Rozpryskał się płomień szeroko i na nowe domostwa rzucał z wściekłością. We drzwiach wielu pochwycona ludność dusiła się naciskając i zalegała je trupami, a z góry padające belki dobijały co jeszcze było żywego. Ze środka ogni jakby dzikich zwierząt słychać było wycia rozdzierające serce. Gdyby w tej chwili zniszczenia każdego własne nie obchodziło bezpieczeństwo, sam przerażający widok tego spustoszenia, włosy by na głowie najeżył i krew ściał w żyłach. Ale obojętnieje dla drugich, kto się sam ratować musi, co gorzej, staje się okrutnym jak zwierzę.

Gdyśmy się na ostatek ku mojemu domkowi na Palatynie przybliżyli, przebywszy jakby walkę z nieprzyjacioły z tym tłumem zapamiętałym, stał on już w płomieniach. Pod pozorem uratowania pałacu Cezara od ognia, mury rozbijano taranami, zbliżyć się do nich nie było wolno, żołnierze i niewolnicy rozszarpywali co znaleźli...

Biegłem do przyległego domu Sabiny, płonął już *kryptoportykus*, i tu już ciżba niewolników Neronowych nadbiegała niszczyć, łamać, rozwalać i łupić, z dziką chciwością rabunku... przypomniałem Neronową *Quintanę*... W chwili, gdy się zbliżałem do drzwi, przez które wystraszona ludność uciekała unosząc co kto porwał, ujrzałem Sabinę jak obłąkaną, dźwigającą na rękach na pół rozbudzone dziecię swe i spieszenie przedzierającą się ku Drodze Apijskiej. Była sama, zdawała się nie widzieć nic, nie myśleć o niczym tylko o ocaleniu życia dziecięciu. Biegła tak szybko, że mimo pośpiechu i dłuższego kroku niepodobieństwem mi ją było dogonić. Obawiałem się co chwila z oczu ją nawet utracić.

Wśród tego tłumy wrzącego, który ją zewsząd otaczał, zląkłem się o jej życie... ale cudownym instynktem miłości macierzyńskiej omijała wszystko co zagrażać jej mogło, wyslizgiwała się niebezpieczeństwom, przeciskała przez ludzi siłą olbrzymią, uchodziła, nie wiem jak, nadjeżdżającym wozom, przebijającą przez tłoczącą się ciżbę i leciała jakby nadprzyrodzoną jakąś osłonięta siłą.

Z oczyma wlepionymi w nią ścigałem ciągle wstrzymywany, popychany, bity, party, ranny w ostatku i potłuczony, mieczem się osłaniając i ręką w togę owiniętą.

Myślałem już, iż w Bramie Kapeńskiej doścignąć ją potrafię, tu bowiem stał zбитy koni i ludu natłok, wrac tylko w miejscu, poruszając się próżno, miotając, lecz naprzód nie mogąc posunąć. Dwa w niej zwały się prądy przeciwne: tych, co na widok płomieni spieszyli do miasta z okolic, aby co mieli droższego ratować; i uciekających z pożaru z dziećmi, penatami, resztką ocalonego mienia. Zdawało się, że przyjdzie do bitwy niekiedy z krzykiem padali słabsi, a po głowach ich, dusząc i gniotąc posuwali się silniejsi... Sabina zawahała się, wstrzymała, alem ją widział ciągle; w rozpacz bezsilnej parłem i ja ku niej, na nic nie zważając, drogę sobie mieczem gotów torować, gdy nie wiem jak tłum od miasta pracy przemógł, obalił przeciwny, otwarło się nagle przejście i runęliśmy wszyscy, ledwie na nogach się trzymając, po trupach i rannych na Drogę Apijską. Tu było szerzej, ujrzałem ją znowu za bramą biegnącą jak wprzód, więc ocaloną... Byłem sam, Afer i niewolnicy rozdzieleni ode mnie znikli w ciżbie, ja ze zgniecionym ramieniem, pokrwawiony, zбитy, cudem że żyw byłem jeszcze.

Nie zatrzymując się, ścigałem ją ciągle, wołając, ale głos głużyły wrzaski tłumu, a ona szła ciągle z równym pośpiechem i lekkością, niosąc dziecę przestraszone... Byłem prawie pewien, że uda się do domu Gemellusa, ale pominęła go, rzuciła się na prawo w ogrody, w stronę przeciwną. Biegnę za nią coraz żywiej, zmrok zapadał, lecz łuna pożaru szeroko oświecała okolicę, migało przede mną białe jej *peplum*, byłem coraz bliżej, zdyszany spiesząc, gdy nagle znikła mi pośród zarośli, jak gdyby ziemia się pod jej stopami otwarła.

Dobiegłem do miejsca, pewien będąc, że po takim wysiłku musiała upaść zemdlona lub wypocząć usiadła; ale ku największemu zdziwieniu mojemu, nie znalazłem ani śladu. Zrazu nie wierząc oczom, sądziłem, że się omylił; obiegłem wkoło, na próżno, a wtem na ziemi postrzegłem jej *sudarium* kilku kroplami świeżej krwi zbroczone.

Zacząłem więc w tym miejscu baczniej się rozglądać i rozgarniać gałęzie. Bluszcze i winne latorośle poplątane okrywały jakiś rodzaj studni opartej o ścianę kamienną na pół obaloną i ukrytą pod zielenią. Schyliwszy się i opadłe podniósłszy gałęzie, dostrzegłem jakiś ciemny otwór i jakby wchód prowadzący do głębi pieczar.

Chociaż nie znałem miejsca i nie mogłem pojąć gdzie by wchód prowadził, prawie pewien będąc, że się tu nie gdzie indziej skryć musiała w miejscu sobie znanym, bez wahania zapuściłem się w głąb tej ciemnicy.

Opierając się rękoma o ściany, szedłem wśród najzupełniejszej nocy... Przejście było wąskie i wilgotne... schody kamienne chwiały się pod stopami jakby świeżo ułożone zostały pospiesznie, wkrótce i te się skończyły. Poczulem pod sobą ziemię wilgotną... Zdawało mi się, że żywy wstępuję w państwo umarłych. Zawahałem się nawet, nie przypuszczając, aby kobieta miała odwagę takiego szukać schronienia, lecz przecucie i szal jakiś pędziły mnie dalej. A że z obu stron czulem otaczające mnie ściany, powiedziałem sobie, że łatwo mi będzie, gdy zechcę, powrócić. Szedłem więc coraz dalej, nie licząc kroków, tracąc zupełnie pamięć przebytej drogi, poczucie zużytego na ten pochód czasu. Nie potrafię oznaczyć jak szedłem długo, gdy szmer jakiś dziwny uszów mych doleciał... Stałem... Blade, zaledwie dostrzeżone światelko ukazało się w dalekich głębiach.

Jakkolwiek niczego się w świecie nie lękam, wyznam ci, Gaj uszu drogi, że poczulem jakąś nieopisaną trwożę... Głos, który do uszów moich dochodził, był dziwnym, coś na kształt szumu

dalekiej fali lub poruszanego wiatrem lasu. Wsłuchawszy się, rozpoznałem w nim ludzką mowę, jęk czy śpiew smutny... nie wiedziałem. Domyśliłem się, że mam się znaleźć wpośród jakiegoś zbiegowiska ludzi nieznanymi, obcy, sam jeden... Silniej ścisnąłem miecz w dłoni, pot mi na czoło wystąpił. Byłbym się może cofnął, ale zdało mi się jakbym w świetle galerii ujrzał w dali przesuwaną się cień Sabiny z dziecieniem. To mnie skłoniło pójść dalej ku światłu... Krypta wkrótce rozszerzać się zaczęła, światło coraz wyraźniejsze pełzało po jej ścianach wilgotnych, zobaczyłem kilka lampek glinianych ustawionych we wgłębieniach muru...

Baczniej wpatrując się, mogłem już rozeznaczyć, iż przejście, do którego się dostałem, stanowiło niby nieforemne jakieś *columbarium*. Na bokach niewyraźne dostrzegłem napisy, znaki, godła i kilkakrotnie powtórzone wyrazy: *In pace*.

Byłem więc, wątpić już niepodobieństwem, w grobach jakichś... Lecz cóż Sabinę skłonić mogło do ukrycia się w miejscu tak oddalonym i niebezpiecznym?... Jakim sposobem ona o tym ukryciu wiedzieć mogła, by wprost ku niemu dążyć?

Schodząc ciągle w dół, gdyż galeria się zniżala ku wnętrzom ziemi, nareszcie ujrzałem w głębi coraz więcej lamp pouczepianych przy ścianach i wielką ciżbę ludu stojącą w tym podziemiu... Mężczyźni, kobiety, dzieci, napełniali galerie krzyżujące się w różne strony.

Zbliżałem się więc z wielką ostrożnością, powoli, obawiając się zostać odkrytym. Musiałem też obwarować powrót na wypadek spiesznej ucieczki, przejścia się rozgałęziały; aby się wydostać z powrotem tym, którym wszedłem, oznaczyłem mieczem, ryjąc pasy na ścianie.

Już prawie nie wiedząc co czynię, posuwałem się dalej... rozpoznawałem twarze ludzi, ręce podniesione do góry jak do modlitwy i szaty ich ciemne. Niektórzy klęczeli na ziemi, inni twarzą na niej leżeli... O kilkanaście kroków zobaczyłem wreszcie Sabinę, usiadłszy pod ścianą, tuliła dziecko swoje i zdawała się płakać.

Obawiając się, aby mnie to zbiegowisko ludzi jakichś nieznanymi, a jak z odzieży poznać było można, w większej części niewolników, nie postrzegło i nie rzuciło się na mnie, osłonił togią, przytulony do muru, powoli i ostrożnie zbliżałem się do miejsca, w którym Sabina usiadła. Nie mogłem zrazu pojąć, co ją tu sprowadziło, dlaczego się tu przyszła schronić wśród tej ciżby, która zdawała się jej być znajomą, bo dwie kobiety, stojąc przy niej, trzeźwiły ją i pilne miały oko na jej staranie.

Z wrzawy i zgiełku ulicznego, z płomieni i trupów wszedłszy nagle w tę ciszę tajemniczej jakiejś otchłani — wątpiłem o sobie i swym rozumie. Chwilami wydawało mi się jakby sen jakiś przykry mnie nękał, obawiałem się utraty przytomności, tak to wszystko było niespodziane, przerażające. Łączyła się do tego jakaś trwoga nieokreślona, której sam wstydziłem się przed sobą. Ochłonałem z niej nieco, gdym się przekonał, że oprócz kilku stojących z motykami ludzi inni byli bezbronni, wiele niewiast między nimi, a nikt nawet nie zajmował się mną, choć kilku zwróciło na mnie oczy i bytność moją dostrzec musiało. Sabina zajęta dzieckiem, osłabła, nie widziała mnie jeszcze, nie śmiałem przystąpić bliżej. Sunałem się tylko cienia szukając, aby rozpoznać ten lud i stanąłem nareszcie oddzielony tylko od niej dwoma czy trzema kobietami.

Szmer, który słyszałem z dala, tu się już zmienił w cichą, dziwną jakąś wspólnie odmawianą modlitwę, której wyrazy były mi niezrozumiałe. Kim byli ci ludzie? Co znaczyło to zgromadzenie tak spokojne w chwili, gdy Rzym wrzał cały i padał w ruinach? Jak błyskawica olśniła mnie myśl schadzek chrześcijan w *arenariach*, o których wiedzieli wszyscy i rozpowiadali dziwy. Nie mogłem już wątpić, że byłem pomiędzy nimi, lecz cóż tu robiła Sabina i kilka stojących przy niej matron rzymskich? Miałyżby one do nowej sekty należeć?

Takie sobie zadawałem pytania, gdy szmer powoli ucichł a mężczyzna w odzieży, po której poznać było można rycerza rzymskiego, wystąpił z małego bocznego wgłębienia. Pokropił on tłum zgromadzony jakąś wodą lustralną, odmówił modlitwę głośną, którą wszyscy za nim powtarzali, ucichło i mówić począł.

Dziwnych słów jego, których z natężoną słuchałem uwagą, nie jestem już w stanie ci powtórzyć; zaniepokoiły mnie, wzruszyły do głębi. Wyrzeczone były z powagą wielką, więcej powiem, jakby natchnione wieszczce... Była w nich przepowiednia straszliwych gromów i kar niebios zagniewanych na Rzym zepsuty i Cezara. Ale Rzym miał nazwisko Babilonu, a Nerona domyśliłem się w liczbie sześciuset sześćdziesięciu sześciu (*et numerus eius sexcenti sexaginta sex*). Obraz wszakże był tak wierny, że omylić się nie mogłem. Wielu innych wyrazów gorących, wymownych, znaczenia dobrze pojąć nie mogłem. Czulem w nich tylko niezmierną siłę jakby Sybilli z trójnoga zapowiadającej przyszłość. Tłum, który słuchał to płakał, to jęczał, to upadał twarzą na ziemię, to ręce do góry wszystek podnosił.

Nie, Gaj uszu drogi, opisać ci tej chwili nie potrafię — olśniła mnie ona jakby przeczuciem jakimś nowego przeistoczenia świata, nadejścia nowej epoki odrodzenia. Nie miałem już najmniejszej wątpliwości, że znajdowałem się w pośród chrześcijan, ale jakże inni wydali mi się, niżeli ich sobie wyobrażałem! Nie przygotowany tu wbiegłem, nie wtajemniczony usłyszałem wyrazy, których prawdziwe znaczenie było mi skryte, a jednak to co z nich pojąłem, czegom się domyślił, wstrząsnęło mną do głębi.

Świat odsłaniał mi się nowy.

Mowa tego kapłana trwała dość długo, wysłuchałem jej całej z chciwym pragnieniem; wreszcie gdy nowe rozpoczęły się modlitwy, uspokojony o Sabinę, która widocznie należała do zgromadzenia i znalazła opiekę niewiast sobie znajomych, postanowiłem się wycofać z podziemia. Nie godziło mi się dłużej podsłuchiwać tajemnic, do których przypuszczony nie byłem, trzeba się było albo jawnie odkryć nabawiając ich i Sabinę strachem, albo co rychlej uchodzić.

To też uczyniłem, nie chcąc szerzyć trwogi wśród i tak wylękłego zbiegowiska i rodzić zamieszania, począłem się cofać powoli tą drogą, którą przyszedłem. Nie miałem trudności w odnalezieniu jej, bo gdzie się krypty rozgałęziały, porobiłem był znaki mieczem na ścianie, a dalej krypta stanowiła jedną długą szyję, w której się już zabłąkać nie mogłem, mimo panujących w niej ciemności. Dla bezpieczeństwa ostatnią z palących się lampek zdjąłem ze ściany, i otulając płaszczem, puściłem się ku wnijściu. Kształt jej mnie uderzył, nie była do innych rzymskich podobna: wyobrażała gołębia i dwie greckie głoski, jakby początkowe imienia chrześcijan...

Prędzej niżeli się spodziewałem, postrzegłem schodki i tu ustawivszy ją, wydobyłem się z

łatwością na ziemię... Zza gałęzi bluszczu, przez które przedzierać się musiałem, uderzyło mnie już czerwone światło pożaru...

Zdawało się, że nie tylko nie ustał, ale powiększył się jeszcze, zniszczenie roznosząc zwycięsko. Widać już było z muru, na którym stanąłem, jakby szerokie morze płomieni i nad nim kłębiące się dymy krwawe. Wicher miotał nimi jakby olbrzymim *velarium* purpurowym nad areną teatru...

Gdzieniedzie ze środka ogni sterczały białe kolumny świątyń obalonych i ściany gmachów, których oknami płomień wyciągał szyje, dym buchał gęsty i iskry gwiazdziste... Jasno było jak we dnie, ale blask to był płowy, straszny jak wśród jesiennej burzy i piorunów. Aż tu dochodziło mnie ryczenie, huk, grzmot zmieszanych głosów ludzi, zwierząt i syk niszczących płomieni. Niekiedy głośniejszy, przenikliwiej zawyło kilkaset jakichś głosów, oznajmując tajemniczą klęskę i prze — strach nie wysłowiony... Przyznaję był to widok nawet z męskich oczu łzy mogący wycisnąć.

Siedziałem na złomie muru osłupiały, sam nie wiedząc co począć z sobą, nie wiedząc czy iść, po co i dokąd? *Insula* moja w pośrodku miasta gorejącego, a z nią wszystko co po stryju odziedziczyłem już dawno w gruzach dymiących być musiała, dom na Palatynie widziałem rozbijany i łupiony... Co było robić z sobą? Dokąd się udać?

Spokojniejszy o Sabinę, nierychło teraz zacząłem myśleć o sobie... noc zdawała się późna... wicher wzmagął się coraz silniejszy... powietrze skwarne niosło z sobą wyziewy spalenizny, jakby śmiertelnego stosu... Nic obiecywać się nie zdawało, aby ta klęska prędko ustać mogła.

Znużony, zgłodniały, senny powlokłem się szukać przytułku kędyś nad Drogą Apijską... Tędy płynęły jeszcze ciągle tłumy z Rzymu pożarem wygnane, od Palatynu, Góry Celiusza, Eskwilinu, z tych miasta części, które już płomień objęły.

Płaczące i zawodzące kobiety z głowami spuszczone w ziemię, niekiedy z krzykiem rozpaczliwej odwracające się ku zgliszczom, jakby żegnały swe domy i bogi, mężczyźni uginający się pod ciężarem uratowanych droższych sprzętów, wielbłądy wylękłe i rozbijające ciżbę, stada rozhukanych wołów i pozrywanych koni, napełniały drogę. Nie byli to już prawie ludzie ci co szli tędy, ale jakaś dzicz o zachowanie życia rozbijająca się, wściekła, wojująca na oślep.

Wśród zgiełku jeden tylko, jak cała ta tragedia dziwny, uderzył mnie obraz.

Na murze nad samą drogą siedział ze spuszczone, obnażonymi nogami niewolnik grecki, cynik... Z ruin płonących gdzieś wyrwał znać zwitek pergaminowy, jakieś dzieło filozofa, a że mu dobrze ognie pożaru przyświecały, usiadł je czytać spokojnie.

Łysa jego głowa spuszczone była nad kartą rozwiniętą i tak był zatopiony w rękopisie, iż straszliwej wrzawy pod stopami swymi nie czuł i nie widział. Niekiedy objuczone konie trącały o jego zwieszane nogi, uchylał je, lecz oczu nawet nie podniósł znad karty. Stanąłem przed nim z uwielbieniem... W nędznej odzieży, wychudły, opalony, z poprzedzianymi uszami, ze znakami niewoli na namulonej szyi, odarty... był wśród tej klęski szczęśliwym... zapominał o niej i o sobie.

Pozazdrościłem mu prawie...

Szukając schronienia, wspomniałem na domek Celsusa, w którym parę razy z nim biesiadowaliśmy, stał on za Bramą Ostyjską. Nie mając dokąd, postanowiłem udać się w tę stronę, z niejaką nadzieją, że i jego tam znaleźć mogę.

Z wielkim trudem przebijałem się przez uliczki pełne wszędzie zgiełku i tłumu, który dzikimi okrzykami wyrażał rozpacz i miotał przekleństwa.

Kupami stojący tu ludzie podawali sobie z ust do ust wieści dziwaczne, o podpaleniu przez Neronowe sługi, o roznoszonych przez pretorian i germańskie straże pochodniach, o rozbijanych i łupionych domach. Oburzenie było straszliwe, groźby nawet miotano głośno na Cezara i senat, ale to wszystko tonęło w jękach i płaczach.

Już pod Bramą Ostyjską spostrzegłem Afra siedzącego na ziemi z dwoma moimi niewolnikami. Z tych jeden mnie poznał, i wszyscy przybiegli zmieszany głosami oznajmując, że *insula* zgorzała całkiem, że do gruzów nawet nie dozwalały się zbliżać rozstawione wszędzie straże i nic z nich ratować. Dom na Palatynie rozbito, tłukąc mury taranami... i rozgrabiono do szczeru.

Z chłodną krwią, patrząc na nieszczęśliwszych od siebie, zniosłem spotykając mnie klęskę... milcząc powlokłem się z nimi ku domowi Celsusa, więcej rozmyślając nad przygodą Sabiny, i tym wszystkim, czego byłem przypadkowym świadkiem, niżeli nad własnymi stratami.

Celsus, z którym rozstaliśmy się w progu mojego domu, bom go w zamieszaniu ulicznym natychmiast z oczu stracił, nie mając, jak przewidywałem, gdzie się podziać, wybiegł był także do swojego domu. Znalazłem go pogrążonego w zadumaniu, przerażonego straszliwym Rzymu upadkiem. Powitał mnie serdecznie, a widząc poranionego, uwalanego błotem, upadającego na siłach, kazał natychmiast przygotować kąpiel i łożę. Pierwsza zwłaszcza była mi bardzo potrzebną. Orzeźwiony nią, wzięwszy Afra ze sobą, nie mówiąc dokąd idę, powróciłem nocą jeszcze w to miejsce, którądy Sabina do krypt była zeszła, nie okazując tylko niewolnikowi skrytego wniścicia.

Czekaliśmy tu do dnia, azali nie wyjdzie i pomocy jakiej potrzebować nie będzie, aleśmy spędzili leżąc na ziemi godzin kilka na próżnym niepokoju, nikt się bowiem nie ukazał. Pożar rozszerzał się ciągle, nocy tej nieszczęsnej nikt pewno oka nie zmrużył.

Nazajutrz płomienie rozciągnęły się jeszcze dalej i silniej, pożerając co tylko na drodze spotkały; tak było i dni następnych... Świątynie Jowisza, Statora, Romulusową, świątynię Westy i Rzymu penaty, Tuliuszową, Diany, Herkulesa, Ewandrową ogień spustoszył. Pamiątek tych starego Rzymu, kolebki jego, równie prawie każdemu żal było jako własnego mienia. Kapłani stali na schodach i darli na sobie szaty z rozpacz. Błądziliśmy wśród zgliszczy, zaduchu, dymu, razem z innymi pielgrzymami, stawaliśmy jak pijani i oszalani... Powracałem do domu Celsusa, szedłem na Drogę Apijską, przedzierałem się w ulice i tak przeżyłem dni kilka w jakimś obłędzie, nie wiedząc prawie co się ze mną działo. Pożar to ugasał na pozór, to znowu wzmagął się, rozrzucał, szerzył...

Czwartego podobno dnia, gdy znużony i bezsilny zasnąłem twardo w gościnnym domu przyjaciela, nad wieczór obudził mnie Celsus powracający z Palatynu.

— Wiesz — rzekł — Neron powrócił z Ancjum za późno jednak, bo gmachy jego na Palatynie całe

niemal zniszczone... tylko zgliszcza ich dymią i ściany nagie sterczą. Została dawna dzielnica nie cała i mecenasowa wieża, do której przeniesiono uratowane wieńce Cezara, jego lutnie i posągi przedstawiające go w stroju Wenus. Najpierw o nie zapytał... Faon powiada, że skóra wężowa oprawna w złoto, którą nosił dopóki żyła Agrypina, mając ją za puklerz przeciwko czarom... znikła wśród zamieszania. Widziałem Nerona. Nie sądził by opłakiwał Rzymu klęskę uśmiecha się.

— Odbudujemy go stokroć piękniejszym — woła — to były liche lepianki, ciasne przejścia niegodne ludu rzymskiego, wśród których dusić się nieraz musiano... zbudujemy miasto Cezarów dla Cezarów ludu... świątynie... place... termy...

Potem wszedł na wieżę i przypatrywał się długo z zachwyceniem.

— Cudownie piękny pożar! — zawołał klaszcząc w dłonie. — Co za obraz, jaka wspaniałość! Dajcie mi lirę, dajcie mi lirę...

Podano, stanął i śpiewał zniszczenie Troi, chwilami przestawał... jakby przysłuchując się wtórującym mu jękom i krzykom... złudzenie go radowało, unosiło... patrzył jakby na zagładę Ilionu... poklaskiwał w dłonie, wstrząsał się ze wzruszenia.

Zszedłszy z wieży tknął go widok nieszczęśliwych, przestraszył się może przekleństw i zaczął zajmować się losem tych, co schronienia nie mieli, rozkazał rozbijać namioty na marsowym polu, otworzyć monument Agrypy, ze spichrzów wydawać zboże i rozsypać trochę pieniędzy.

Przy wieczerzy wszyscy milczeli posepnie, on udawał wesołość. Pod koniec jął naglić pytaniami każdego z osobna aż do sług, co mogło być przyczyną pożaru?

Nikt nie odpowiadał... milczenie mówiło wiele, zdawał się rozumieć, sposepniał.

— Cezar tylko — rzekł — Cezar wie jeden, co znaczy pożoga Rzymu, objawili mu to bogowie... Ukarany Rzym za to, że cierpiał bezbożną religią cudzoziemską, i dawał się jej rozszerzać... Tymczasem oni, oni! Chrześcijanie są pożaru przyczyną! Od dawna prorokowali zagładę i sami ją spełnili... Nikt inny... słyszycie... oni... Sprawa to bezbożnych, której mściwi bogowie dopuścili... aby nas ukarać... Tylko krew chrześcijan powściągnąć może zemstę bogów...

Bełkotał tak niewyraźnie przez wieczerzę całą, mieszając z pogrózkami przeciw chrześcijanom obietnice wspaniałego odbudowania stolicy.

Słowa Celsusa nabawiły mnie przestraczem o los Sabiny.

— Jakież więc los chrześcijan czeka? — spytałem Celsusa.

— Straszliwe, bezlitosne prześladowanie — odpowiedział — wytępienie zupełne, gotuje się na nich edykt proskrypcyjny, rozkazują chwytać, więzić tych, co by się nie chcieli wyrzec zabobonu swojego, oddawać na pożarcie dzikim zwierzętom, pod miecz katowski.

— Będą się oni palili jak Rzym z ich przyczyny się palił — mówił Neron. — Lud się uspokoi i bogowie przebłagają...

Przerażony tą wieścią, nie dosłuchawszy prawie opowiadania, pożegnałem go; odziałem się i postanowiłem natychmiast iść szukać Sabiny, chociażby mi przyszło po raz drugi spuścić się do arenarów, byle ją przetrzec, uprowadzić, ocalić. W tym celu zostawiwszy Afra i niewolników moich u Celsusa, pobiegłem mimo nadchodzącej nocy ku ogrodowi. Pamiętałem dobrze to wnijście, i jużem się miał, odgarnawszy gałęzie, do otworu krypty przedzierać przez zarośla, gdym ujrzał przed sobą jakby spod ziemi powstającą postać kobiecą. Była to matrona, którą już raz obok Sabiny widziałem w podziemiu. Oboje stanęliśmy przestraszeni, ona jednak prędzej niż ja oprzytomniała, patrzyła na mnie długo, zdając się oczekiwać jakiegoś znaku.

A widząc mnie zmieszanym, milczącym, odezwała się nareszcie.

— Co wy tu robicie? Jestem właścicielką tego ogrodu, mam was więc prawo zapytać? Czy szukacie schronienia?

— Na Junonę waszą! — zawołałem pokornie składając ręce i zaklinając się obyczajem sług powiedzcie mi... chciejcie mi powiedzieć, gdzie jest Sabina Marcja? Znacie Sabinę Treboniuszową? Uśmiechnęła się na to smutnie poważna niewiasta.

— Dlaczegoż jej tu szukacie? — zapytała.

— Nie badajcie mnie, proszę, ale odpowiedzcie co rychlej — zawołałem idzie tu o jej życie i bezpieczeństwo — jestem jej krewnym...

— Więc pewnie Juliuszem Flawiuszem! — odezwała się niewiasta.

— Tak jest, samiście rzekli — ale gdzież Sabina!

— Równie ważnym, jak dla was wiadomość o Sabinie, dla mnie to, czemu tu jej szukaliście? Odpowiedzcie mi, a wówczas i ja wam odpowiedzieć się postaram.

Śmiało całą jej moją opisałem przygodę; widziałem przerażenie malujące się na jej twarzy, pochwyciła mnie za rękę i rzekła głosem słabym:

— Wy nie zdradzicie nieszczęśliwych?

— Możecież mnie posądzać?

— Nie, nie — rzekła z czoła waszego patrzy szlachetna dusza... jestem spokojna. — Powiem wam. Sabiny tu nie ma, ale jest ona bezpieczniejsza niżby tu była. Nie chciała u mnie przyjąć gości, ocaliły jej niewolnice trochę sprzętu, resztki mienia; na drugiej mili, za drugim kamieniem przydrożnym od Rzymu stoi nad Via Appia, *sepulcrum* rodziny Marcja, tam ją znajdziecie z kilku sługami wiernymi. Zanieście jej pozdrowienie od Pomponii.

Ledwie tych słów dosłuchawszy, niecierpliwy powróciłem do domu Celsusa, aby dostać konia i natychmiast ku niej pospieszyć.

Afer najął mi *celesa* i chciał towarzyszyć koniecznie, alem tylko miecz przypasawszy, sam ruszył,

aby niewolnicy nawet nie domyślali się, dokąd jadę i po co.

Przez całą tę drogę otoczoną mauzoleami, monumentami, *konditoriami*, piramidami i poliandriami wszelkiego rodzaju, znalazłem tłumy ludu; wszystkie izby grobowe pootwierane były i służyły za schronienie bogatszym i ubogim rodzinom.

Znałem dobrze grobowiec Marcjów, bo i my nieraz w izbach jego bywaliśmy z Sabiną, służyły one nam dawniej na wieczorne biesiady i przyjacielskie rozmowy rodziny, ale wcale nie były wygodne na stałe mieszkanie, przeznaczone będąc na krótki pobyt, nie na stałe w nich życie. Oprócz izby podziemnej, w której stały sarkofagi i urny, było kilka na górze, dosyć nawet wykwintnych.

Mały ogródek i cyprysów kilka otaczały skromny monument, nad którego drzwiami Kwintus Lucjus Marcjus wypisać kazał:

SIBI, ET CONIUGI

ET LIBERIS ET LIBERTIS...

(Sobie i małżonce, i dzieciom, i wyzwoleńcom...)

Marmurowe podwoje zastałem otwarte, Sabinę z dziećciem siedzącą we drzwiach górnego piętra i spoglądającą na Rzym oczyma zapłakanymi.

Spoza ogrodów i drzew zieleni widać stąd było owo morze ognia, jakby kocioł ogromny wrzący roztopionym kruszczem.

Tak się wpatrzyła i zamyśliła, że mnie ani spostrzegła gdym nadszedł, ani dosłyszała zbliżające się kroki. Czekałem chwilę z poszanowaniem póki się nie ocknie z zadumania.

Dziecię spało tuż przy niej na rozesłanych kobiercach i szatach.

Spostrzegłszy mnie nareszcie, zarumieniła się; widziałem jednak, że była mi rada. Jam przystępował do niej zmieszany, upokorzony prawie posądzeniami moimi pierwszymi, nie wiedząc jak rzecz rozpocząć.

— Od pierwszego dnia was szukałem i szukam — rzekłem powoli.

— I jakżeś mnie znalazł? — spytała.

— Będę szczerym — odezwałem się. — Gdyście uciekali z domu waszego na Palatynie dziecię unosząc, z całych sił was ścigałem. Nie wiem, jakim cudem wy i ja przebiliśmy się przez ten tłum w Bramie Kapeńskiej.

— Jak to, wy byliście tam ze mną?

— I dalej jeszcze Sabino — rzekłem — byłem w ogrodzie na Drodze Apijskiej, u studni, przy której znikliście mi z oczów, i gdzie okrwawione tylko znalazłem wasze *sudarium*.

Niespokojna wstała z siedzenia, patrząc na mnie.

— Tu — szepnąłem ciszej, obawiając się, aby nas kto nie podsłuchał — przypadkiem trafiłem na wniście, i spuściłem się za wami w ciemne otchłanie.

— Jak to! — wykrzyknęła — wy byliście?...

— Byłem, za wami goniąc w *arenariach*, i przytomnym modlitwie i nabożeństwu chrześcijan.

Słyszając to, zakryła swoje oczy.

— Nie obawiajcie się — przerwałem — tajemnica ta jest dziś moją, zachować ją potrafię, potrafię uszanować. Przebacz mi Sabino wszystko, o com cię posądział... lecz powiedz zarazem, godziło się dla obcych opuszczać stare bogi opiekuńcze Rzymu.

Wstała zapłoniona, z powagą nakazując mi milczenie.

— Nie bluźnij — odrzekła powoli — ty nie znasz tego wielkiego, jedyne Boga wszystkich ludzi, przed którego obliczem ułudą i prochem są bogi wasze. Jemu odtąd ja służę. — Nie jestem Rzymianką, jestem chrześcijanką! — dodała.

— Lecz wierz mi Juliuszu — zaczęła mówić po małej przerwie — nie uczyniłam tego lekkomyślnie. Nie jest to płochej niewiasty rozrywka, ale postanowienie wielkiej wagi. Szukałam prawdy i światła, znalazłam je.

— Zamilczę więc — odpowiedziałem — ale na prochy tych ojców naszych co pod stopami twoimi spoczywają, Sabino, zaklinam cię, bądź baczna, ratuj siebie dla dziecięcia swego, dopóki czas. Z tą przestrogą i prośbą przybywam do ciebie. Neron powrócił do Rzymu z Ancjum, przypisuje on pożar Rzymu chrześcijanom, aby mógł mścić się na nich, gotując prześladowanie wielkie. Nie przebaczą nikomu. Ahenobarbus uśmiecha się zawczasu na myśl o krwi, którą przeleje. Uciekaj z dziećciem do Baid, do Tusculum, przynajmniej dopóki ściganie chrześcijan nie przeminie.

Gdym to mówił, sądząc, że ujrzę na jej twarzy smutek lub przerażenie, zdziwiłem się, widząc spokój i jakby wewnętrzną radość wybijającą na oblicze.

Uśmiechnęła się do mnie.

— Zła rada twoja — rzekła mi — ale ci przebaczam, bo nie znasz nauki Tego, co umarł za ludzi! Kto wyznaje wiarę naszą, ten z postrachu ziemskiej potęgi nie ucieka. Z tymi, którzy są dziś współbraćmi moimi, cierpieć będę... Jeśli okrutnik wskaże mnie na śmierć, pójdę spokojna. Mały mój Paweł znajdzie w tobie ojca i opiekuna. Jeżeli i dziećciu nie przebaczą, poniosę go na ramionach przed tron Boży, aby z aniołami śpiewał Jego chwałę.

Ostatnie wyrazy szczególnie mnie uderzyły, bom ich znaczenia dobrze nie zrozumiał; mowa jej była dla mnie nową i dziwną. Sabina promieniała jakby radością jakąś — stałem upokorzony jej męstwem, milczący.

— Bądź o mnie spokojnym — rzekła — stanie się co Bóg przeznaczył, ale cofnąć się w chwili niebezpieczeństwa byłoby to zaprzeć się Boga, prawdy... znikczemnieć.

— Nie! Juliuszu, ty sam byś tego ode mnie, dla ocalenia mizernego życia, nie wymagał. Gdy Cezar przysłała centuriona z rozkazem śmierci, wszakże otwieracie sobie żyły, lub nóż wbijacie w piersi ze stoickim pokojem, czemuż byśmy my, gdy nakazuje Bóg umrzeć, z równym pokojem i męstwem słuchać go nie mieli.

— *Moritura te salutat!* (Idąca na śmierć cię pozdrawia!) — rzekła — uśmiechając się i podając mi rękę...

— Czemuż — poczęła po chwili — zamiast pożegnania z tobą, nie mogę ci powiedzieć, do widzenia tylko. Jakżebym była szczęśliwą... gdybym cię choć śmiercią moją nawrócić mogła!

— Sabino — odpowiedziałem — daleko pewniej życie mnie twoje, słowa i nauki nawrócą. Wiesz jak ten świat rzymski ze swym zepsuciem jest dla mnie ohydny, jak nigdy nie mógł zaspokoić pragnień moich, jakem się zawsze spodziewał, przeczuwał inne prawa, obyczaje i życie.

Czemuż bym prawdy nie miał przyjąć z ust twoich? Spuściła oczy.

— Ja dla ciebie złą bym była nauczycielką — odrzekła powoli — nie czuję w sobie siły po temu, ale wyszukać ci potrafię kogoś, co mnie zastąpi... Nie ufam sobie.

— Nikt jednak w świecie skuteczniej nad ciebie nie mógłby przemówić do mnie, Sabino droga — mówiłem — ty wiesz jak ciebie kocham.

— Nie mów mi tego, o czym wiedzieć nie powinnam — przerwała mi. Wiem, że kochałeś mnie taką miłością, jakiej świat wasz ciebie nauczył — nasza całkiem jest inną. I ja, Juliuszu, kochałam ciebie i kocham, bo naszym prawem jest miłość, ale my wszystkich zarówno kochać obowiązani jesteśmy...

Na te słowa oburzające porwałem się prawie gniewny, Sabina kazała mi usiąść i mówiła dalej spokojnie.

— Ty mnie zrozumieć nie możesz i tłumaczysz opacznie. Nasza miłość jest braterską, czystą, spokojną; taką ci od dawna dało serce moje. Kochałam cię i kocham może więcej nad innych, może goręcej niż bym powinna, ale dopiero po Bogu moim, którego kocham nade wszystko i w Bogu...

Tu znowu stała się dla mnie niezrozumiałą.

— Nie oburzaj się — mówiła — dla was są to dziwne słowa, do których inne przywiązujecie znaczenie. Czymże jest miłość w tym świecie waszym? Kochacie aby używać, dla siebie tylko, drogim wam jest, co wam przyczynia rozkoszy, dlatego, że jest dla was jej narzędziem — ale

pojmujecie miłość, która cierpi, a tym mocniej kocha, im więcej boli ją kochanie? Pojmujecie poświęcenie, pojmujecie wreszcie miłość czystą, świętą, siostry i brata, nieskalaną nawet myślą namiętną?

Takiej miłości uczy, taką tylko dozwala wiara nasza. To, do czego zobowiązują się kapłanki Westy, jest każdej chrześcijanki obowiązkiem.

— Jak to, nie ma więc małżeństw? — zawołałem.

— Są — rzekła — ale pobłogosławione przez Boga, wiecznotrwałe, nierozzerwane, na życie, na śmierć, na wieczność...

Zamilkłem nie umiając wątpliwości pogodzić i pochwyć od razu tego co ona wypowiadała tak wymownie ale urywkowo.

— Nie pragnę więcej nic nad to, abym się mógł nawrócić — rzekłem wreszcie — czyńcie ku temu co wam serce siostry wskaże... jam gotowy.

Wieczór się zbliżał, mrok zapadał, z dala biła jasna łuna palącego się Rzymu, zapach zgorzelizny aż tu nas dolatywał, niekiedy szum jakby zmieszanych głosów i syczenie płomieni... Chmura czarna wisiała nad Rzymem i długimi pasami wyciągała się ku góróm...

Wstała z siedzenia i patrzyła znowu długo, jakby się modliła po cichu.

— Płonie Rzym — zawołała podnosząc rękę — oczyszcza się ogniem nieprawości łoża... a na ostygniętych zgliszczach gotują dla nas stosy i krzyże... a poza nimi już świta nowego dnia jutrzienka... My nie dożyjemy tego wielkiego dnia tryumfu, ale będziemy sługami, co przyszlą ucztę zgotują... A do biesiady nie dziewięciu gości, ale wszystkie społem zasiądą narody, ludy i stany, niewolnicy i królowie... jak bracia rodzeni... I będzie jeden Bóg, jeden lud, jedna wiara, rodzina jedna... jak jedno jest słońce prawdy — Chrystus...

Lecz nierychło dzień przyjdzie wielki, nieprędko słowo stanie się czynem... Narody uznają Chrystusa i przyjmą naukę Jego a naśladować Go nie zechcą; przetrwa życie pogańskie, obyczaj zostanie stary... wyrazami nowymi dawny człowiek okrywać się będzie... Juliuszu, Juliuszu — dodała — ile wieków potrzeba, aby słowo czynem się stało?

Powtarzam ci, jak umiem, jej wyrazy, niedobrze może zrozumiane, więc i nie oddane wiernie. Byłem wzruszony i przejęty. Noc się zbliżała, należało mi odjechać, począłem ją jeszcze prosić i zaklinać, aby starała się ocalić.

— Nic nie uczynię — odpowiedziała — aby się narazić na niebezpieczeństwo, ale nie pocznę też nic, by się od niego ukryć i uchować, gdy drudzy cierpieć będą. Jeżeli w jakikolwiek sposób pociągnięta zostanę do wyparcia się wiary mojej, stracić wolę życie niż fałszem skalać usta.

— Pomnij — odezwałem się jeszcze — że dom twój rozbito i zrabowano, że i w nim znaleźć się mogły jakie chrześcijańskie oznaki; to samo będzie już dostatecznym powodem do oskarżenia, Cezar może pożądać twojego domu i ogrodu na Palatynie, bo dziś mówią o rozszerzeniu gmachów, o

wzniesieniu dłań kolosu, jakiemu równego świat nie widział — nie może to być powodem do oskarżenia, do prześladowania ciebie? Nie lepiej żeby uniknąć go ucieczką?

— Ucieczką? Dokąd? — spytała — ktoś kiedy uciekł od swoich przeznaczeń, Juliuszu?

Nie śmiałem nalegać, wymogłem tylko, że we wszelkim niebezpieczeństwie nie zapomni o mnie, odezwie się, zawoła. Kazała mi odchodzącemu pocałować swe dziecię śpiące.

— Pamiętaj — rzekła — o nim...

Tak rozstaliśmy się.

Kończę na tym list długi do zbytku...

Rzym jeszcze płonie, zdaje się, że płomień nie ugaśnie aż oprze się o pustynię. Trzy części stolicy leżą w gruzach, ledwie czwarta ocaleje...

Neron troskliwym okazuje się dla ludu, ale w oczy śmieje się użalającym na swe straty patrycjuszom i rycerstwu, do senatorów tyłem się obraca. Rozdrażnienie przeciwko niemu wielkie, upodlenie przed nim większe jeszcze.

Za dni kilka napiszę znowu sam lub Celsusa uproszę, aby ci doniósł co dźać się będzie. Celsus równie jak ja zdaje się do Galii wybierać, mnie tylko los Sabiny wstrzymuje... Na legie wasze rachuje tu bardzo wielu... zrozumiesz łatwo.

XVI

Celsus Anarus Gajuszowi Markowi zdrowia

Zdziwicie się pismu, pieczęci i imieniu dawno zapomnianemu: Juliusz Flawiusz prosi mnie, abym go wyręczył, gdyż po tych wypadkach, niemoc nim owładnęła, i Chryzyp kazał mu się zachowywać spokojnie, wstrzymując go nawet od pióra. Przyrzekłem mu, że za niego do was napiszę, ale list mój jego pisma nie zastąpi... Voluisse sat est (Wystarczy żeby chciał), powiedział poeta.

Pożar, który kolebkę Remusa i Romulusa zniszczył i niezmierne pożarł skarby, nareszcie po dniach sześciu i siedmiu nocach, ugasać zaczyna. Okropny widok tego zniszczenia, zgliszcz, rumowisk i popiołów; stosu ofiarnego (*rogus*), na którym ostatnie starego grodu Numy spłonęły pamiątki. Lud płacze więcej penatów swych niż własnych skarbów, których mu spod zwalisk dobywać nie wolno.

Poznać nie można niedawno jeszcze tak wspaniałego Rzymu w tych okopconych murach, których reszty sterczą z zawalonymi dachami i na półobalonymi kolumnami. Smutek, a raczej boleść jest powszechna i nieopisana.

Co powiedzą barbarzyńcy? Jak się rozradują nieprzyjaciele?

Cezar, czynnym się chce okazać, okręty zboże przywożą, a gruzy oczyszczone z tego, co w nich kosztowniejsze znaleźć się mogło — a co na skarb zabrano — splawiają. Lud koczuje na polu Marsowym, tuli się po grobowcach i w *arenariach*. Zapowiadają nam Celer i Laceres Rzym nowy, a raczej Neropolis o szerokich ulicach, świątyniach olbrzymich — my płaczemy po starej matce naszej.

Spędzić mają jeńców wojennych z całego państwa, aby pracowali około domu złotego Cezara, który w sobie wszystko, co świat ma, mieścić będzie.

Nim się doczekamy igrzysk nowych, chrześcijanie dostarczą pastwy; zaczęło się już chwywanie ich, ściganie i tępienie powszechne.

Będzie to zapewne rzeczą dla was nową, gdy wam powiem, że poszukując ich pomiędzy niewolnikami, na wielu patrycjuszów, na wiele matron rzymskich natrafiono.

Byłem na dworze, gdy o tym wiadomość przyniesiono Neronowi, wymieniając Pomponie Grecynę i kilka innych imion znaczniejszych. Zaśmiał się zrazu, ale potem widać było zdumienie i przerażenie, które ukryć usiłował, pytając po kilkakroć, czy być może, by zabobon żebraków wkradł się do możniejszych domów i jaką by rozpustą je znęcił? Ciekawszym począł być i tej wiary, i jej obrzędów, i uroku jaki miała.

W istocie jest czemu się dziwić, jest czym niepokoić... ale Rzym sam zgubę swą zgotował bezbożnością...

Z listów Juliusza znacie może nieco usposobienie moje, nie zadziwcie się więc, gdy wam ja, dworak Ahenobarbusa, prześlę jako nowość wiersz, który Rzym obiega. Turnusowi go przypisują.

Mówi on o poetach śpiewających chwałę Nerona: „Więc śpiewać będą... głód i jego męczarnie, truciznę w jadło wmieszaną zdradliwie; lud, z którego wyssano krew, i przyjaciół tego człowieka, jego rzeziami wykarmionych! Śpiewać będą państwa zgrzybiałość, wycieńczenie które pokojem zowią, które ci ludzie zdobiją imieniem złotego wieku — na ostatek pożar Rzymu, marmurowego grodu, pożar godzin łez tyłu, sławiony przez nich jako widok przepyszny, pocieszający oczy wśród nocnych ciemności.”

„Opiewać będą syna cieszącego się zbrodnią, która mu się powiodła szczęśliwie — zabójstwem matki, syna urągającego furiom mścicielkom, co przeciw nim nowe furie stawi, inne żmije, potwory nieznane, występki okropniejsze jeszcze. Jego okrucieństwa, szkarady jego opiewać będą, wszystko, tak, wszystko — aż do tego poczwarnego związku z dziecięciem, które poślubił pomnika ohydnej namiętności”.

„Muzy rumieniec wstydu postradały, imienia dziewic czystych, czci swojej, zapomniały wszystkiego!”

A! wstyd skonał, mądre siostrzyce zhańbione, pod przybranymi imionami na nierząd się puściły... One, te święte córki boże, które ród ich nad ludzkość wynosił, nad życia nędzę, ciała swe zaprzedały za podłą zapłatę...”

Szczęśliwe poddają się zuchwałym zachciankom jednego Menasa, hołdują uśmiechom Poliktetów... słówko pochwały napęłnia je rozkoszą... Miłość ich zapalają te czoła noszące jeszcze znamiona piętna, łańcuchy tych, co wczoraj byli Getą, blizny niezgojonej chłosty... Dalej sięgają jeszcze, zapominają o Bogu swym ojcu, o bogach swych braciach, o starej czci, która surową otaczała cnotę; furiom i potworom przymilać się starają... bezecne rozkazy niegodziwego Tytusa w ich śpiewach stają się wyrokami Opatrzności — hołdy niebu należne sprzedają piekłu... Śmieją już wznosić bezbożne świątynie, ołtarze bezbożne; przez nie ci synowie ziemi, których niegdyś odtrącił Olimp, panować mają w niebiosach — a głos muz głupi świat oszuka!”

Posyłając wam tę nowość i oznajmiając zarazem o chorobie i o powolnym przychodzeniu do zdrowia Juliusza naszego, kończę nadzieją, że on sam rychło wam o zupełnym wyzdrowieniu doniesie. *Vale*.

XVII

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi zdrowia

Dłuższe było milczenie moje niżelim mógł przewidywać, Gajuszu miły, gdym się uczułem chorym a Chryzyp mi odpoczynek zalecił. Pokój ciała nie dał pokoju duszy, a ona była sprawcą choroby; przeleżałem więc długo i przebolełem wiele. Nareszcie znowu powstałem na nogi. Wiesz wszystko co się mnie tyczy, znasz dobrze moje do Sabiny przywiązanie, dla której tym gorętszą czuję miłość, że w pomoc jej przybyło poszanowanie.

Od chwili, gdy ją w kryptach na modlitwie ujrzałem, gdyśmy szerzej o nowej wierze mówili z sobą na grobowcu Marcjów, nie przestawałem myśleć jak się do niej zbliżyć, jak od niej zaczerpnąć tego światła, którym promienieje cała. Czuję to, że nikt lepiej nad nią, nikt nad nią prędzej by mnie na drogę prawdy nie wprowadził. Umysł to męski, serce szlachetne, nie mogłaby przyłgnąć do jakiego zabobonu; a to, co ją od bogów naszych odwróciło, zdolne jest pewnie zaspokoić wszelką duszę światła pragnącą. Na ślepo temu wierzę: nie dałaby się uwieść marnym ułudom i tajemnicom czarodziejskim...

Myślami tymi męczyłem się w ciągu choroby mojej, a Chryzyp mimo niecierpliwości wciąż na łożu, w łaźni i domu wstrzymywał mnie, powtarzając zdanie Seneki:

Optimum est pati quod emendare nonpossis — (Znieść jest najlepiej, czego przemienić nie można).

Długim mi się czas ten wydał, samiśmy bowiem we trzech siedzieli i rzadko kto nas odwiedził, mieli wszyscy zajęcia i biedy własne. Dwa razy tylko ożywiło samotność naszą przybycie Epicharis, potem Leliusza — pisałem ci o jednej i o drugim...

Epicharis przyszła dla widzenia się z Celsusem, do którego mieć musiała tajne poselstwo jakieś, za nią też parę się osób później przysunęło dla narady.

Wszak opisywałem ci, kto jest i jak wygląda piękna *libertina*? Pożar Rzymu dotknął ją jak innych; mieszkała niedaleko cyrku, spłonęły z domem wszystkie jej dostatki, z których uratowała ledwie tyle co na pierwsze potrzeby starczyć mogło. Z kosztownych bardzo sprzętów, których jej nie jeden bogacz zazdrościł, została kupa śmieci. Mówią, że nazajutrz potracając nogą popioły, śmiejąc się, zawołała tylko za Horacym: *Pulvis et umbra sumus*... (Prochem i cieniem jesteśmy).

Nigdy stoik żaden obojętniej olbrzymiej nie zniósł straty, wprawdzie nie pierwsza to była w życiu... Kazała sobie otworzyć grobowiec, który niegdyś swym kosztem postawiła dawnemu kochankowi, i powitawszy cienie jego libacją, do niego wniosła się wesoło gromadząc dokoła sługi swe i ubogich. Pierwsza jej *coena* składała się z liści malwy, odrobiny cykorii z oliwą i kawałka

twardego chleba... Dziś śmieje się wyliczając, coutraciła, i rusza ramionami, gdy się kto nad nią lituje.

Słyszeliście może o sławnych dwóch naczyniach, które Neronowi przywieziono z Grecji, zowią je Homerowymi; kosztowały tak bardzo wiele, iż się lękam napisać na ile je ceniono. Gdy w Rzymie mówić o nich zaczęto, Epicharis uwzięła się mieć choć jedno podobne, aby nie sam tylko Neron nimi się chlubił. Jak je nabyć potrafiła nie wiem, podziwiali wszyscy, ofiarowano jej za nie co by chciała, trzymała wszakże aż do pożaru, który je zniszczył, sądziłem, że nad nim płakać będzie... ale już nawet nie myśli.

Epicharis jednak teraz, po ogniu, bardziej zaciętą jest jeszcze nieprzyjaciółką Nerona niż kiedykolwiek była; wcale się z tym nie tai, że czynnie należy do spisku przeciwko niemu. Domyślasz się, że przybycie jej do Celsusa miało na celu porozumienie się w tym względzie, nie bardzo nawet tajono się z tym przede mną. Słyszałem przez ścianę, jak przynagłała o pośpiech w wykonaniu.

— Jak to, będziecie się jeszcze dłużej ociągać, gdy każda chwila zwłoki zabiera spośród was nowe jego okrucieństwa ofiary? Gdy szaleństwo tego człowieka, a raczej potwora, przechodzi wszelkie granice, a zbrodniom jego w języku ludzi braknie nazwy? Dozwolicie się gniesć, urągać sobie, miotać, bezcześcić, plugawić ołtarze, obdzierać świątynie, i nie znajdziecie w sobie siły na obalenie jednego Rudobrodego, który wam urąga i wyzywa? Nie dosyć wam zabójstwa matki, żony, brata, zbeszczeszczenia westalek, oplugawienia świątyń, zniszczenia Rzymu?... Powiedźcie, czego jeszcze czekacie? Czyście ciekawi, co szaleństwo więcej wymyśleć, podłość wasza wykonać dozwoli?

Celsus szeptał, że trudności były wielkie, że Neron był bardzo ostrożny, a lud miał za sobą. Epicharis śmiać się zaczęła.

Trudności wielkie zawołała — ale tchórzostwo wasze i małoduszność jeszcze są większe... trzeba więc, aby jedna biedna słaba kobieta, wyzwolenica, dodawała wam serca! Warn mężom, Rzeczypospolitej synom... o zgrozo! O hańbo!

Byłem mimowolnym słuchaczem narady, w której Epicharis podżegającą niosła pochodnię, z niesłychaną, prawdziwie kobiecą, gwałtownością nią miotając. Przybył tam i Feniusz Rufus i stary Kornutus, który spiskom był przeciwny, bo jawnie czynić doradzał: Senat zebrać i ogłosić Nerona nieprzyjacielem Rzeczypospolitej. Rufus godził się niemal z Epicharis, pośpiechu także żądał. Szły narady jak zamach wykonać: jedni chcieli napaść śpiewającego na scenie i zamordować wśród teatru obsadzonego spiskowcami; drudzy nocą uczynić zasadzkę na często błąkającego się po ulicach, gdy o czasie i miejscu tajemnej wycieczki mógłby Senecjon powiadomić. Epicharis żądała, by Pizon zaprosił go, często goszczącego w okolicach Mizeny, do swojej willi w Bajach i tam, gdzie on matkobójstwo popełnić kazał, karę wymierzył za nie.

Sama ofiarowała się do Mizeny jechać i dowódców floty do spisku wciągnąć.

Ale Pizon, jak się zdawało, praw gościnności naruszyć nie chciał.

Z łoża mojego słuchając tych narad, tak nieopatrznie czynionych, dziwnego doznawałem wrażenia,

lecz nie mi tak w pamięci nie utkwilo, jak słowa Kornutusa, który długo milczącym narad był świadkiem, a wreszcie naglaco o zdanie spytany, odrzekł powolnie z powaga.

Darowano kobiecie, ze na smierc skazuje nienawistnego sobie czlowieka, innego nad ten nie widzac srodka ocalenia Rzeczypospolitej... szukajac oręza w spisku i zabójstwie. Ale cóz pomoze Rzymowi, ze Neron zgładzony zostanie? Nie mieliście Tyberiusza, Kaliguli, Klaudiusza? Nie będziecie mieli drugiego Nerona w jego następcy, który po nim odziedziczy władze?... Zważcie, ze nie jego występkiem ginie Rzeczpospolita, ale z braku cnoty waszej. Mógłby on być takim, jakim jest, gdybyście wy innymi byli? Cezarów podobnych tworzą obyczaje Rzymu, upadek w nim cnót dawnych — ze zgnilizny rodzą się te grzyby jadowite... Zabijcie raczej w sobie złe, a nie będziecie potrzebowali wśród ciemności, strachu i fałszu umawiać się na przelanie krwi jednego słabego człowieka, któremu niedołęstwo wasze daje siłę! Dlaczego Senat, zamiast tytułu ojca ojczyzny, nie zanieś mu wespół z rycerstwem i ludem wyroku ogłaszającego go ojcobójcą, skazującego na gemorie i śmierć...

Potrzeba ręce czyste broczyć tajemnym spełnieniem wyroku, który tak głośnym być winien, jak jego zbrodnie?...

Więcej rzeknę — kończył Kornutus... cóz by to była za kara, gdyby na hańbę skazany, odarty z władzy — wzgardzony tak bardzo, żeby go kat godnym zabicia nie uznał — wiódł życie żebracze gnany pośmiewiskiem i ohydą... gdyby go w jednej chwili odstąpili wszyscy, zaparli się przyjaciele, odwrócili pochlebcy... opuściły kohorty i niewolnicy nawet dotknąć się nie dali, aby ich nie pokalał dotknięciem...

— Tak — mówił dalej — zabijcie, co w was jest złego i podłego, żądze bogacenia się i wywyższenia, obawę utraty życia i mienia, a Neron nam strasznym nie będzie. Któż to go uczynił tym, kim on jest, jeśli nie tchórzliwe pochlebstwa wasze, jeśli nie niewolnicze posłuszeństwo i zapieranie prawdy. Powiedzieliście mu kiedy, że źle czyni? Nie jesteście wszyscy bez wyjątku jego współnikami i pomocnikami? Nie powstrzymało go żadne słowo i czyn przy pierwszym występk... osłaniali wszyscy, poszedł dalej i karze was słusznie za pobłażanie i podłość.

Wyrzekłszy te słowa Kornutus powstał i wyszedł, a długo potem wszyscy jak przybici milczeli. Epicharis rozgorączkowana uklękała i ucałowała stopy starca, ale po jego wyjściu domagała się jeszcze żywiej natychmiastowego postanowienia... Dowiedziałem się, że wieczorem wyjechała do Mizeny, zabrawszy z sobą co miała szat, sług i zbytkownych sprzętów, już po pożarze ofiarowanych jej przez przyjaciół.

Celsus wyznał przede mną później, gdy Rufus i inni się porozchodzili, a jam mu nieostrożność wytknął, iż — mimo gorącości, Epicharis, jej i innych spiskowych zabiegów, choć na ich czele stoi znamienity Pizon (z rodziny Kalpurnia pochodzący) — niewiele ma nadziei, aby się zamach mógł powieść.

— Wiem o wszystkim — były słowa jego — jestem wtajemniczony wraz z mnóstwem innych, ale widzę, że się to skończy prędzej śmiercią naszą, niż Nerona. Zbyt już głośnym stał się spisek, zbyt nieostrożnie i hałaśliwie naprzód się przechwalają ażeby coś zrobić mieli. Gdy do czynu przyjdzie, zdrętwieją ręce, a niewolnik lub wyzwoleniec pójdzie się do nóg rzucić Cezarowi i wyda

wszystko... Czas upływa, lada godzina na ślad wpadną.. Co do mnie, już mi to wszystko jedno, dość życiem znudzony jestem... przyślą centuriona, sam sobie żyły otworzę... Valete!

Mam nawet do wyboru — rzekł po chwili — dobywając z zanadrza złotą skrzyneczkę zawierającą truciznę kupioną u Lokusty za pośrednictwem Polliona. — Oto drugi mój wybawca... Nie chcę się męczyć długo, połączonymi siłami skończę w mgnieniu oka, gdy mi oznajmią, że umrzeć potrzeba, potrafię godnie i bez zwłoki...

Uścisnąłem go ze łzami w oczach. O Gajuszu miły, co za czasy! Jakie życie! Jak ciemno i chmurno dokoła!

W parę dni potem spotkały nas niespodziane odwiedziny Lucjusza, który jest jeszcze w wielkich łaskach u Cezara, dzieląc je ze Sporusem, Faonem, Epafrodytem, Akte i Tygellinem... Równie też, jak oni, spodlony. Lucjusz nie zapomniał o Sabinie, zdaje mi się nawet, że ona była powodem odwiedzin jego u Celsusa, u którego ze gościłem wiedział. Przyszedł do mnie do łóża i pochylił się użalając się nad chorobą, którą zbliżeniem się swym powiększył. Nie zaraz jednak przystąpił do rzeczy, a począł naprzód od pochwał Nerona.

— Ojciec ojczyzny — rzekł — o niej tylko, o pomyślności i wielkości Rzymu rozmyśla. Opłakiwał on i opłakuje zniszczenie starego grodu, ale ujrzenie jak wspaniały, godny Nerona, wzniesie na gruzach jego... Nie poznają Rzymu dawni mieszkańcy: rozszerzą się ulice, każda *insula* przyozdobi się portykami o płaskim dachu, z którego na wypadek ognia bronić jej będzie można... Na nowe domy kamień kosztem Cezara przywiozą z Galii, bo tego ogień strawić nie może. Na Palatynie i Eskwilinie stanie olbrzymi gmach złoty, godzien wielkiego Cezara, tysiąc stóp długie portyki, przedsienia sto stóp wysokie...

Tak poświęciwszy naprzód długą mowę pochwałąm swojego Ahenobarbusa i ubolewając, że cnót jego ludzie nie widzą, a zbrodnie cudze na karb jego kładą, zwrócił się powoli ku mnie.

Cóż wy, co czyni Sabina — spytał — jużście to o niej zapomnieli? Dlaczego od pożaru nie widać jej ani słyhać o niej, miałażby zginąć jego ofiarą?

Odpowiedziałem mu kłamstwem wprawdzie, ale wymawiając się zupełnie jej losu nieznajomością.

— Jeżeli wy nie wiecie — rzekł uśmiechając się — to któż wiedzieć będzie? Mielibyście — z rozpaczą dla pięknej, ale zbyt płoczej a gwałtownej Epicharis, która tu was odwiedza — o ślicznej Sabinie zapomnieć? Nic na to nie odpowiedziałem.

— Gdyby w istocie tak było — rzekł po chwili — gdybyście woleli Epicharis, bardzo bym rad był temu, bo was się, Juliuszu, jedynie obawiałem, a bądź co bądź tę surową westalkę skłonić muszę, by Lucjuszową się stała kochanką. Użyję środków wszelkich; im surowszą jest, tym ponętniejszą dla mnie. Nie słyszeliście nic?

Milczałem ciągle, ale wstyd i gniew mną miotaly, ile razy przez usta jego imię to przechodziło. Szczęściem prawie pewien jestem, że albo jej znaleźć nie potrafi, lub jutro o niej zapomni.

Trzeba mu było wszakże coś odpowiedzieć.

Nie pojmuję — rzekłem — jak wy, Lucjuszu, taką namiętnością dla kobiety, z którą nic wspólnego w charakterze i usposobieniach nie macie, pałać możecie. — Jest to dziwactwo miłości własnej uganiającej się za niemożliwym, która wkrótce ostygnie.

Nie — odparł Lucjusz — wy mnie nie znacie, lub co gorzej, nie znacie nawet natury tej miłości własnej, o której wspomnieliście. Gdyby to była prosta namiętność i żądza, prędzej by ona mogła się stłumić lub uspokoić czym innym, co by jej gwałtowność zmniejszyło, ale miłość własna nigdy się zwyciężyć nie da, gdy raz w swe szpony człowieka pochwyci. Nie myślcie, bym o Sabinie zapomniał, albo choć na chwilę porzucił zamysł zwyciężenia jej dumy i wstrętów... ciągnie mnie ona ku sobie więcej niż sam bym pragnął...

Milczałem, aby go sprzeciwianiem się nie rozżarzać, ale sam wznawiał rozmowę...

Mówiliśmy o czym innym; przeraził mnie w końcu, zapowiadając ze zwykłą sobie lekkością, ciekawe widowiska męczeństwa tych ludzi, których chrześcijanami zowią... Wiedział już, iż wymyślnie ich męczyć miano, czyniąc z tego igraszkę.

— Neron wymyślił — dodał w końcu — rodzaj śmierci osobliwszy... owiniętych słomą, odzianych kłakami, oblanych smołą palić będzie i tymi żywymi pochodniami ogrody swe oświeci... Jest ciekaw głosów, jakie wydawać będą, konając...

Z tym nas pożegnał, zacząwszy piosenkę Horacego, do której śpiew sam dorobił...

Nox erat et coelo fulgebat Luna sereno (Noc była i księżyc świecił na niebie pogodnym).

Możecie sobie wyobrazić, jak mnie poruszyła rozmowa, wieści pogróżki drzę o Sabinę. Lada niewolnik niechętny lub chciwy zdradzić ją może. Ile razy Cezar niespokojny poszukuje spiskujących, skazuje niechętnych sobie lub posądzonych o przewinienie ciężkie, źli zawsze nie omieszkają z tego skorzystać.

Tylu przynajmniej pada niewinnych, co istotnie przewinieniem jakimś zasługujących na kary; i osobiści nieprzyjaciele wydają na sztych nienawistnych sobie. Najlżejsze podejrzenie starczy wówczas aby potępić: cień, znajomość z winowajcą, pokrewieństwo z obwinionym, jedno przypadkowe do niego zbliżenie się... rozmowa na ulicy, uściśnięcie ręki w termach grożą śmiercią. Często dosyć jest pod jednym mieszkać dachem lub podobne nosić imię, ścinają głowy przez omyłkę Leliuszom za Lalmszow, Emilom za Amilonów... Cóż tam ludzkie życie znaczy gdy o Cezara bezpieczeństwo idzie?

Z mnóstwa Sabiny współwyznawców nie znajdziez się słaby co broniąc siebie, drugich gubić zechce i imiona ich podawać?

Myśląc o tym truchleję, bo któż w dzisiejszych czasach, gdy praw już nie ma żadnych — a wola jednego potępia lub rozgrzesza, gdy lada wyzwoleniec obdarzony łaską i zaufaniem może czynić co chce — pewien być może jutra? Iluż to chciwych mienia, łaski, zemsty, przypochlebiania się, czyha

tylko na zręczność? Sabina jest tak nieostrożną, a kryć się nie umie i nie chce...

Nie, Gajuszu drogi, nie oczekuj mnie w Galii, raczej ty przyjedź tu ale z legiami waszymi na pomoc tym, co upokarzające jarzmo zrzucić pragną. Rzym jest już nadto zniewieściał, aby sam na coś się ważył ale dopełnionej sprawiedliwości przykłaśnie. Oby was bogowie sprowadzili... *Vale*.

XVIII

Lucjusz Helwidiusz Sofoniuszowi Tygellinowi zdrowia

Pilną sprawą zajęty, która mi nie pozwala u drzwi waszych złożyć ci czci należnej; do was mężu najczcigodniejszy, najmilszy Cezarowi, ojca ojczyzny przyjacielu, którego imię czczę na równi z imieniem Augusta naszego — ślę te słowa prośby pokornej.

Wyjednać raczcie u boskiego Nerona, któremu zazdrości Apollo, który dziełami swymi i potęgą Herkulesa przewyższa, bo siłę jego łączy ze słońca blaskiem, aby mi dni kilka dozwolił poświęcić własnej sprawie, usuwając się od najmilszych mi obowiązków przy osobie jego. Widzieliście i patrzycie na to, jak wiernie służę panu temu, któremu służyć jest szczęściem i zaszczytem, bo pod stopami swymi trzyma królów, a od poruszenia jego ręki drży świat cały — ale słabym jestem człowiekiem i *humani nihil a me alienum puto* (sądzę, że nic co ludzkie nie jest mi obce). Otóż i mną miłość ślepa owładnęła, miłość szalona, ku pewnej pięknej wdowie, która na złość mnie chce *univirą* pozostać. Opowiadam wam sprawę moją, gdyż wy jako ziemskie bogi nic przed sobą skrytego mieć nie powinniście. Niewiasta owa znikła mi po pożarze Rzymu, którego wspomnienie jeno niezrównanej wspaniałości widok na pamięć mi przywodzi. Nie wiem, gdzie się ona ukryła; postanowiłem ścigać i odnaleźć, będziecież mieć litość nade mną?

Zaliczając się do sług tego pana, dla którego nie ma rzeczy niepodobnych, czyż mogę dopuścić, abym był znieważony, odepchnięty, i dał się innym wyprzedzić? Chcielibyście, aby nieprzyjaciele Cezara naśmiewali się i urągali z niepowodzenia sług jego? Obejmując nogi wasze, proszę i proszę ponownie o wyjednanie mi dni kilku swobody u najwspanialszego z władców.

XIX

Sofoniusz Tygellin Lucjuszowi Helwidiuszowi zdrowia

Prośbę waszą sam Cezar czytać raczył i zgadza się na krótkie uwolnienie wasze od dworu, z warunkiem, abyście mi ze spraw waszych wierny zdawali rachunek. Listy wasze na ręce moje przesyłane być powinny. Życzę, aby wam Wenus zwycięska i syn jej w wyprawie tej sprzyjali — Cezar Augustus Apollo przedstawia dziś na scenie Herkulesa szalejącego, mniemam więc, że nie omieszkacie znajdować się w teatrze, aby z rozkoszy słyszenia największego w świecie artysty korzystać. — *Vale*.

XX

Lucjusz Helwidiusz Sofoniuszowi Tygellinowi zdrowia

Spełniam boskiego Cezara ojca ojczyzny rozkazy. Nazajutrz po tej rozkoszy, jakiej doznałem, słuchając na scenie tego, który nie ma równego sobie nawet pomiędzy bogami, rozpocząłem poszukiwania moje, od dokładnego przetrząśnięcia domu Sabiny Treboniuszowej na Palestynie.

Nie znalazłem w nim jednak żadnego zbiegłej śladu, tylko śmieszna i dziwaczna pogłoskę pomiędzy ludźmi, którzy gruzy przetrząsali, o znalezieniu w nich śladu chrześcijańskiego zabobonu. Zapewne któraś ze służebnic Sabiny, jak wielu innych niewolników, zarazie tej żydowskiej uległa.

Rozmyślałem długo, jak bym najłatwiej na trop zbiegłej niewiasty mógł natrafić; gdy zazdrość szczęśliwie podszeptała mi, abym, nie wierząc zapewnieniom współzawodnika mojego i krewnego, Juliusza Flawiusza, starał się śledzić jego kroki. Juliusz należał do gorących wielbicieli Sabiny, a chociaż później zdawał się obojętnie dla niej skłaniając się ku pięknej ale płóchej Epicharis, którą zna Rzym cały, następczonej podobno przez Greka lekarza, jako antidotum przeciw miłości zbyt gorącej a próżnej, posądzałem go zawsze o zachowanie dawnych uczuć dla wdowy po Treboniuszu. Wnosiłem, że musiał wiedzieć o miejscu jej ukrycia. Nie mogąc sam ścigać Juliusza i śledzić, nasadziłem nań zręcznego niewolnika Getę, który zasiadł w przeciwległej domowi szopinie i z oka go nie spuszczał.

Rachuby moje nie zawiodły, oby to było wróżbą dalszych powodzeń; zręczny Geta dał mi wiadomość, że Juliusz codziennie prawie jeździ do grobowca rodziny Marcja, w którym się jakaś niewiasta z dzieciąciem ukrywa. Z opisu poznałem w niej Sabineę i nazajutrz podkradłszy się pod mauzoleum, widziałem jego przybycie, patrzyłem na nich do późna z sobą rozmawiających.

Dziś lub jutro spadnę tu niespodziewanie...

W proch upadam przed obliczem Jowiszowym Cezara Augusta.

XXI

Sofoniusz Tygellin Lucjuszowi Helwidiuszowi zdrowia

Z rozkazu Cezara Augusta, który dziś w teatrze przedstawia Orestesa Matkobójcę, oznajmiam wam o tym. Trzeba abyście wy i inni przyjaciele sztuki przybyli napawać się rozkoszą, jaka niewielu szczęśliwym naszego wieku jest daną. Poufnie uczynię uwagę, iż w przedstawieniu Herkulesa szalejącego, Cezar był istotnie Herkulesem, przewyższył wszystkich, samego siebie. Dlaczegoż głosy, co mu sprawiedliwość oddać miały i zabrzmieć uwielbieniem, głosy augustanów naszych słabiej się odezwały niż powinny. Cezar August odczuł to mocno i pyta: — Powiedzcie, byłem słabszy niż zwykle, nie potrafiłem pozyskać względów widzów moich, ukarali mnie za to, że niezgrabnie przytwierdzona lwia skóra z ramion się moich zsuwała? Lucjuzsu, powinniście to naprawić oklaskami, głosami, brzękami w dniu dzisiejszym. Gotujcie wieńce... przychodźcie. Cezar August jest smutny...

Po pierwszym liście twym, długie milczenie zadziwia Cezara Augusta, który w nim przeczuwa albo zupełne niepowodzenie wasze, mimo tak świetnych obietnic pierwszego listu, niezrozumiałe i wam uwłaczające, lub występłą na rozkazy jego obojętność. Oczyśćcie się wyznaniem prawdy i donieście mi, co z wami się dzieje. W teatrze być nie omieszkajcie. *Vale*.

Sabina Marcja Zenonowi Ateńczykowi zdrowia

Ani słowa od was nie mam, mistrzu drogi, po liście ostatnim, zasmuca mnie to wielce, byłabym niespokojna o życie wasze i zdrowie, gdyby świeżo przybyły z Aten Palladion, którego Chryzyp widział, nie zapewniał, że widział was zdrowego i czerstwego, rześko przechadzającego się pod portykiem z cieniami wielkich nauczycieli ludzkości. Przepisać więc muszę milczenie temu chyba, że Sabina wasza chrześcijanką została i wstręt w was przez to obudzą. Wiara moja, Zenonie, tę wszakże nad innymi ma wyższość, że mi nie tylko dozwala ale nakazuje kochać wszystkich, wybaczyć wszystkim i żadną mądrością zgodną z jej zasadami nie gardzić. Przyznaje ona, że ją poprzedziły błyski objawienia Bożego, przez mężów wybranych głoszone, jak błyskawice poprzedzają gromu uderzenie. Obawiając się wszakże, bym ci opowiadając o rzeczach wiary naszej tyczących się, natrętną nie była, wolę ci mówić o sobie.

Wiść stugębna przyniosła wam już pewnie opis pożaru Rzymu, okrutnego, niszczącego, który z dzielnic jego czternastu, ledwie cztery nietknięte zastawił. Gruzy zalegają prawie wszystkie siedem gór Rzymu, choć je już okręty wywozić zaczęły.

Straciłam i ja w ogniu tym dom i znaczną część mienia mojego, ale czyż mogę się ja skarżyć, gdy inni postradali wszystko?

Boli mnie tylko, że nieszczęśliwym braciom współwyznawcom z pomocą jaką bym chciała i obowiązana jestem, przyjść nie mogę.

Wkrótce po wygaśnięciu płomieni schroniłam się do grobowca mojej rodziny. W górnych jego izbach niegdyś odbywaliśmy biesiady przypominając pradziadów, nieraz z matką, ze stryjami i krewnymi wesołe spędzaliśmy tu godziny, teraz mi ten jeden tylko został przytułek. Przykro mi, że w pięknej sali, którą teraz zamieszkuje wszystko przypomina tych bogów, co już moimi nie są, inne obyczaje i pojęcia. Zasłoniłam Jowisza z orłem, aby na niego nie patrzeć. Jowisz mój inaczej wygląda. Nie silny, nie zwycięski, nie potężny światu się objawia i ludziom, ale jak oni bolejący, jak oni umęczony, upokorzony i wielki tylko swą Boską siłą cierpienia, zwyciężającą słabość natury człowieczej.

Sądziłam, że tu samotna czas jakiś pozostanę, i rada byłam z tego, bo mogłam bez przeszkody myśleć, modlić się i nad sobą pracować, ale znaleźli mnie tu przyjaciele i nieprzyjaciele moi. Odkrył naprzód to schronienie Juliusz Flawiusz, zacny młodzian, którego kocham jak brata, a mam nadzieję nawrócić i do bram światłości zaprowadzić. Głębokie mam przekonanie, iż dusza jego prawdziwie przystępną będzie, bo jej całe życie pragnęła. Z troskliwością matki pielęgnuje to ziarno, z którego jasny kwiat kiedyś wystrzeli. Całkiem różny od Juliusza jest drugi krewny mój, Lucjusz, Nerona ulubieniec, zepsuty jego przykładami, którego nieszczęsna jakaś namiętność w ślad za mną goni. Rada bym stać się brzydką, aby się od niego uwolnić. Nie mogę pojąć, jak Lucjusz potrafił odkryć

mieszkanie moje, i drzę cała na wspomnienie przestachu, którym mnie przybycie jego nabawiło.

Siedziałam u kolebki małego mojego Pawła, gdy niespodzianie zatętniło na drodze, słysząc otwierającą się bramę sądziłam, że Juliusz przybywa; wstałam na jego przyjęcie uradowana. Już miałam na ustach okrzyk i pozdrowienie, gdy Lucjusz uśmiechający się, dumny, zwycięski stanął przede mną.

Cofnęłam się zmieszana i zbladła.

— Wiem — zawołał widząc przestach mój — że Sabina Marcja na kogo innego oczekiwać musiała i pragnęła powitać; nieszczęściem, nie ukochany Juliusz, ale Lucjusz nienawistny się stawia. Ale czyż zawsze nienawistnym wam będzie?

— Zawsze — odpowiedziałam — dopóki Lucjusz równie będzie zuchwałym i bezwstydnym, dopóki Lucjusz będzie Lucjuszem.

Zaczerwienił się od gniewu.

— Co to ma oznaczać? — spytał.

— Chcecie, abym wam to wytłumaczyła? — odparłam — uczynię to najchętniej. Spójrzcie na siebie, wyglądacie wy na męża, którego by uczciwa mogła pokochać, a choćby znosić niewiasta? Macie przymioty co by was poszanowania godnym czyniły? Wierzcie mi, ani włos utrefiony, ani wybielona twarz, nie zyskają serca, godnej tego imienia, matrony rzymskiej. Czegóż zresztą wy chcecie możecie ode mnie? Znacie mnie, płochą nie jestem. Miałam męża jednego i univira umrę... Nie miałam ani jednego kochanka i mieć go nie będę. Wiem, że inny jest obyczaj u ludzi i niewiast, z którymi obcować przywykliście, ale ten nigdy moim nie będzie...

— Strzeżcie się — przerwał mi Lucjusz gniewnie — wiecie z kim obcuję i przeciw komu to mówicie! Jestem domownikiem Cezara Augusta...

— Wiem o tym — odpowiedziałam — ale zarazem jesteście domownikiem Hipii, Cezenii, Bibuli i Leufelii?

— Dlaczegoż nie wyrzucacie Juliuszowi waszemu, że jest przyjacielem równie płochej Epicharis?

— Bo wierzę znając Juliusza, że jeśli jej sprzyja, Epicharis lepszą i zacniejszą być musi niż Cezenia i Leufelia..

— Jak to, jedna *libertina*, lepszą, zacniejszą jest nad kobiety z krwi waszej, patrycjuszowskiej, pochodzące? — zapytał.

— Krew ta dawno w nich zmieszała się z błotem! — odparłam gniewna...

— Sabino — rzekł Lucjusz, blednąc i rwąc złote frędzle swojego płaszcza — przestrzegam was, zaklinam na Junonę waszą, nie obchodźcie się ze mną nazbyt surowo... nie przywodźcie mnie do ostateczności, nie obudzajcie zemsty w sercu moim... Nie macie nic, co by na was także ciążyło i

dawało mi oręż do pomśzczenia wzgardy waszej?

— Więc pragnęlibyście się pomścić! O hańbo! — zawołałam

— o wstydzie! Ty, mężczyzna, użyłbyś pogroźek i strachu, aby wymóc na kobiecie, czego przymioty twoje uzyskać u niej nie mogły! Jest to godne tych rycerzy rzymskich, od których ród swój wywodzisz!

— Namiętność usprawiedliwia wszystko! — krzyknął Lucjusz — Miłość jest ślepa!

— Lucjuzu — rzekłam — namiętność nawet człowieka uczciwego uczciwą być powinna, miłość rozumnego nie może być ślepą. Chcesz obu tych imion stać się niegodnym?

Lucjusz zakrył sobie oczy, ale nie ustępował. Opisuję ci tę przygodę, bo się ona dla mnie zupełnie niespodziewanie skończyła.

— Jeżeli tak — rzekł po chwili — jeśli do wzgardy obelgi już dołączasz, nic mnie nie powstrzyma, chwycę się ostatecznych środków złamania twojej dumy... Wiesz przecie, że jestem zaufanym domownikiem Cezara... że przyjacielem Tygellina, który może wszystko... W tej chwili, gdy tu jest, gdy to mówię, obaj oni wiedzą, że gonić za tobą poszedłem. Neron kazał mi przed sobą zdawać rachunek z każdego kroku. Okryty pośmiewiskiem i pogardą znajdę tych co za mnie pomścić się potrafią, użyję sposobów...

— Jakich? — zapytałam zdziwiona — Cóż ty mi możesz uczynić? Co oni?... Zabić chyba każecie?

— Gorzej nad to — przerwał Lucjusz — mogę cię poniżyć, zbezczęścić.. W domu twoim znaleziono ślady chrześcijańskich zabobonów, ty, czy twoje niewolnice należą do sekty, nie wiem, ale ja oskarżę ciebie... powloką cię do więzienia... któż wie, może na śmierć i męczarnie?...

Usłyszawszy te słowa, z najwyższą pogardą i oburzeniem cofnęłam się od niego.

— Podłym jesteś! — zawołałam... — Gdybym ja takiemu nikczemnemu postrachowi uległa, stałabym się również jak ty podłą... Nie lękam się, ani więzienia, ani męczarni, ani śmierci!

Lucjusz przeląkł się siły z jaką rzuciłam mu w oczy słowa te, ale złość w nim jeszcze kipiała.

— Nieugięta jesteś — zawołał z cicha — miała byś istotnie być chrześcijanką?

Milczałam przez chwilę, sumienie moje i nauka wyprzeć się wiary nie dopuszczały, a słowo jedno oddawało mnie na pastwę niegodziwemu prześladowcy. Wyznaję, że pierwszy raz w życiu wystawiona na tak ciężką próbę zadrżałam w duszy.

Lucjusz dostrzegł, jak się zdaje, niepewność tę, obawę jakąś, wahanie i powtórzył natarczywie.

— Jesteś więc chrześcijanką?

Spojrzałam na kolebkę dziecięcia, serce mi biło, czułam jak łzy gorące spływały mi po twarzy.

Paweł mój mały, na półrozbudzony rozmową, otwierał oczy i ręczki swe ku mnie wyciągał, nie wiedząc, że miłością macierzyńską kusi mnie do odstąpienia Boga. Ale w tej chwili niepewności straszliwej, w której stałam na krawędzi pomiędzy dwoma światami, poczułam jakby jasność i siłę z niebios spływającą na mnie. Serce uderzyło mi nie pokorą ale dumą chrześcijanki, córki prawdziwego Boga.

— Tak! Jestem chrześcijanką! — zawołałam mierząc go wzrokiem piorunującym. — Oto masz Lucjuszu, ten oręż któregoś pożądał, masz broń donosiciela, miecz co mi życie odebrać może.

— Jestem chrześcijanką i nie zaprę się tego, chlubię się tym przed tobą... wyznam to ciągniona na stos i męczeństwo... Ale powiedz mi — dodałam — kim ty jesteś? Ty, co dla nasycenia namiętności nikczemnej, dla zemsty poświęcasz sumienie, szlachetność, poczciwość?

We mnie przed chwilą odbywała się walka ciężka; teraz na Lucjusza twarzy, ujrzałam drugą podobną. Reszta uczciwych uczuć jego serca była się z zepsuciem w nie wszczepionym, widziałam jak się wahał, słabł, jak błąkał się w niepewności co począć i przeraziłam się prawie gdy ten przed chwilą dumny, złośliwy ulubieniec Nerona, padł przede mną składając ręce, zmieszany, przełękły, jakby piorunem rażony.

Oczy moje patrzyły, a dusza wierzyć nie chciała.

— Przebacz mi — rzekł stłumionym głosem — byłem szalony, byłem zbrodniarzem... tyś wielka, tyś niezłomna, tyś jest uwielbienia godna, jam nikczemny! Bóg twój dał ci siłę zwycięską.

— Wstań Lucjuszu — rzekłam — ten Bóg, boś dobrze powiedział, dać może tobie tę samą siłę i potęgę; może cię oczyścić i staniesz się nowym człowiekiem...

— Nie — odparł smutnie Lucjusz, którego siły się wyczerpały — ja sam czuję się skalanym, spodlonym, nic mnie już podźwignąć nie potrafi. Szał rozpaczy gnał mnie do takich, jak dzisiejsze, zamysłów i kroków, otoczony byłem widokami, które mnie podżęgały... przebacz mi Sabino!

A po chwili spoglądając na mnie, jakby z obawą jakąś, zapytał.

— Prawda to, że ty jesteś chrześcijanką? Być że to może?

— Jestem nią w istocie — odpowiedziałam śmielsza — i dlatego ani męczarnie, ani śmierć, strasznymi dla mnie nie są. Wiara moja daje mi tę siłę.

Z dziecinną prostotą zabobonnego człowieka zapytał strwożony:

— Powiedz mi, kapłani wasi mają tajemnicę napoju, który w was wlewa to męstwo?

Uśmiechnęłam się mimo woli.

— Tak jest w istocie — rzekłam — ale napój ten święty tym tylko wlewa siły, co wierzą w naszego Boga, a zabija i truje niewiernych. Z jednego kielicha piją śmierć jedni, drudzy życie nieśmiertelne...

Umilkł, patrząc wciąż na mnie z jakąś trwogą.

— Więc ty nie boisz się umrzeć? — zapytał.

— Dlaczego bym się miała lękać śmierci, która po życiu nędznym i znikomym otworzy mi wieczne życie? My zmartwychwstajemy na drugim, lepszym świecie...

Zamyślił się, stał się pokornym i jakby całkiem innym człowiekiem.

— Gdzież wiary tej nauczyć się można? Gdzie dostać tego napoju? — zapytał.

— Lucjusz — rzekłam — nie jest ta wiara tajemnicą, nauczy cię jej każdy chrześcijanin, a jest ich już wielu między Rzymianami. Ale przysposób duszę choćby nauką pogańskiej mądrości a dobrze uczynisz. Filozofia grecka jest przecuciem naszej wiary w jednego Boga...

— Jak to? W jednego Boga? — zapytał zdziwiony.

Oszczędzę ci opisu dalszej mojej z nim rozmowy. Z trwogi, jakiej mnie nabawił, przeszłam do spokoju i pociechy, zdaje mi się, że Lucjusz nawrócić się powinien. Zaniedbany, zepsuty, słaby, ma wszakże jeszcze w sobie coś szlachetnego. Chociaż w pierwszej chwili wyobraźnia jego tylko uderzoną została, wzruszyło się serce, ono za sobą umysł pociągnie. Różnymi drogami ludzie różni idą do jednej prawdy.

Zarzucił mnie pytaniami, na które odpowiadałam jak mogłam i umiałam, zmuszona stosować się do jego wyobrażeń, a nie zdradzać przedwcześnie tajemnic, których odkrycie mogło by dziwne w nim obudzić domysły.

Upokorzona się czuję, oto już drugiego ucznia daje mi Bóg, mnie słabej, nieudolnej niewieście, drugą duszę, którą mam nadzieję na drogę cnoty wprowadzić. W Lucjusza powątpiewam jeszcze choć wiele obiecuje gorącość jego ducha; z pierwszych tych wrażeń, choć gwałtownych, o stałości i wytrwaniu wnosić jeszcze na pewno nie można.

Już mnie pożegnał i miał odchodzić, gdy przypomnienie zobowiązań względem Nerona i Tygellina, wstrzymały go jeszcze.

— Cóż pocznę — zapytał mnie — jeśli spytają i zechcą wiedzieć, jak się między nami skończyło?

— Nie umiem ci radzić — odpowiedziałam — moja wiara nie dopuszcza mi, nawet dla ocalenia życia, namawiać na fałsz. Mogłabym tobie życzyć, czego bym nie popełniła sama?

— Lecz jeśli im powiem prawdę, ty będziesz zgubioną? — zapytał.

Milczałam.

— Nie — rzekł po chwili namysłu — nie powiem im nic... dowiesz się później co pocznę...

Wyznaję, że z niecierpliwością oczekiwałam dni następnych i wiadomości od niego, przybył

nareszcie posępny i zmieszany.

— Radźcie mi, pomóżcie, wesprzyjcie — rzekł na wstępie — nie poznaję sam siebie, nie wiem co się stało ze mną. Wielka niepojęta zmiana zaszła w duszy mojej. Przekonałem się o niej z tego, że to co zwykle rozrywało mnie, co cieszyło, stało się teraz wstrętne i obrzydłe... Powołany przybyłem na dwór, Neron biesiadował, kazano i mnie zwykle zająć miejsce przy uczcie. Sam Cezar spytał mnie szydersko, jak mi się w mej wyprawie powiodło. Musiałem począć od kłamstwa, mówiąc, że odjechaliście do Tusculum i że was już nie znalazłem, a gonić nie śmiałem. Dano mi spokój widząc mnie strapionym. Lecz ja sam nie poznawałem siebie pośród tych ludzi i zabaw, do których przywykłem. Ohydny mi wydali mi się Nerona otaczający pochlebcy, jak gdybym ja sam do nich wczoraj nie należał, ohydny i poczwarny on sam, gdy na półpijany pod koniec uczty, Akte przyjsć kazał i bezwstydną rozpustą chlubić się począł przed nami. Zdało mi się, że widzę dookoła trupy tych, których dla namiętności swych poświęcił. Późną nocą szkaradna skończyła się biesiada — Cezar opity był i senny, kąpiel ciepła zwiększyła jeszcze tę ospałość. Niewolnicy zanieśli go wprost na łożo, a na mnie przypadła kolej czuwania w sąsiedniej izbie. Od niejakiego czasu zawsze ktoś nocą w bliskości czuwać musi na straży. Usnął zrazu i cisza panowała dokoła, ja przy lampie siedziałem znękany, gdy po północy gwałtowne krzyki z łożnicy słyszeć się dały. Faon, który u progu leżał na ziemi i ja pobiegliśmy przerażeni na ratunek. Wchodząc do *cubiculum* ujrzałem na wysokim łożu, na którym zwykł sypiać zawsze, nogami już na schodkach przystawionych doń, z oczyma otwartymi, z potarganym włosom, z zapienionymi ustami, siedzącego i drżącego.

Palcami wskazywał na ciemne kąty izby i wymawiał niewyraźnie... Agrypina... Oktawia... Brytanik... Precz... furie!

Sen widać straszliwy go przebudził, oczyma wodził wkoło, jakby widma jakieś senne jeszcze się przed nim błąkały. Gdyśmy weszli, powoli dopiero zaczął przychodzić do siebie. Rozkazał natychmiast słabym głosem ofiarę przygotować bogom piekielnym i cieniom matki. Słowa jego ledwie były zrozumiałe, tak niewyraźnie je wymawiał, rzucając się i miotając ciągle.

Przy łożu stało owo bóstwo niewieście najulubieńsze Cezarowi, darowane mu niegdyś przez nieznanego, pochwycił je i przed nim także uczynił ofiarę. W miarę jak ochłaniał z przestachu stawał się spokojniejszy, zawołać kazał potem Poppeę, aby przy nim siedziała — my odeszliśmy.

Takie było opowiadanie Lucjusza, kończył on je, gdy i Juliusz nadszedł. Widziałam niezmiernie zdziwienie jego, gdy postrzegł siedzącego u mnie Lucjusza, prawie gniew błysnął w oczach jego, ale mu go natychmiast odjęłam kilku słowami, polecając krewnego i zwiastując cudowną zmianę.

Lucjusz ułagodzony, prawie bojaźliwy, sam przyszedł do Flawiusza, oddając się w jego opiekę. Obu ich razem odprawiłam wkrótce, spodziewając się przybycia kilku innych moich współwyznawców na wspólną modlitwę. Widzicie, jakie cuda sprawia siła wiary naszej, opisałam ci to, abyś rozumiał, dlaczego co dzień się więcej w niej utwierdzam i Pawła powoli oświecać zaczynam. O! gdyby i na tobie wyrazy moje wrażenie jakie uczynić mogły. *Vale...*

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi zdrowia

Co dzień mniej w sobie czuję do pisania ochoty, Gajuszu miły, nie dlatego, abym w przyjaźni mej do ciebie miał stygnąć, ale że mimo bogatej do listów treści, więcej pracuję umysłem. Nadto też jesteśmy od siebie daleko, pismo nie starczy na wytłumaczenie ci tego, co się dzieje ze mną. Obawiam się na ostatek, abym ci się nie wydał śmieszny. Są rzeczy, które omijać muszę, a ty odgadnąć nie potrafisz. Bez nich reszta niezrozumiałą się staje. O czymże ci mam donieść? Jestem smutny, niepewny siebie, prawie do życia zniechęcony. To, na co patrzę, często niezrozumiałe jest dla mnie, ciągle przykre.

Zapowiadane od dawna prześladowanie chrześcijan rozpoczęło się i nad miarę jest okrutne. Więzienia pełne, krew się leje strugami, w amfiteatrze mają co szarpać dzicy afrykańscy goście, mają na kim sił próbować kaci. Wymyślają męczarnie, o jakich nikt nie słyszał, jakby dla nich tylko stworzone. W ogrodach Nerona palą się oni słupami żywymi, oblani smołą, lub przywiązani do drzew, nieruchomo oczekiwać muszą na dzikich zwierząt napady. Mówią, nie ręcę za prawdę ani czy fałszem jest powieść, że i sam Ahenobarbus w skórę zwierzęcia odziany, bawi się rzucając na bezbronnych, a po nim resztki dopiero mają wilki i lamparty.

Lecz przyznać potrzeba, że nigdy okrucieństwo mniej na tych, między którymi siać miało trwogę i przestрах, nie robiło wrażenia. Nikt tak umierać jak oni nie umiał, nawet gdy śmierć poprzedza długa, wymyślna męczarnia.

Patrzymy na to, zdumiewając się codziennie: śpiewając idą na ścięcie; na stosach płonąć — śpiewają; z tysięcy ledwie setny osłabnie i zgodzi się przed posągami złożyć ofiarę, a często po dopełnieniu obrzędu, przejęty zgrozą, do współbraci na męczeństwo powraca. Kapłanom naszym włosy powstają na głowie, nie wiedzą czemu przypisać tę siłę niezwyciężoną i wierzą tylko w jakieś indyjskie czary. Mnóstwo Rzymian, patrząc na te obrazy śmierci ponoszonej tak mężnie, nawróciło się i nawraca; mnoży to liczbę ofiar. Ci, co lepiej o tym wiedzą ode mnie upewniają, iż od czasu okrutnego prześladowania, liczba chrześcijan pomiędzy ludem rzymskim w dwójnasób się zwiększyła.

Zasypano już w kilku miejscach otwory *arenariów*; tłumy w nich, mówią, zginęły; ale przez okna i przekopy słyszano ich do zgonu śpiewających swe pieśni. Głosy te cichły, liczba ich się zmniejszyła, w końcu grobowa cisza oznajmiła, że wszystko było skończone, że męczeństwo dokonało się. Lecz cóż na to powiesz, iż prześladowanie nie odstrasza? Nazajutrz po krwawych wyrokach, na placu kędy ciała ich rzucono na pastwę psom zgłodniałym, nie znajdziesz śladu rzezi, krwi, ni trupów. Kobiety, dzieci, starcy, wśród ciemności biegną zbierać te szczątki, gąbkami i płachtami wyciskają krew z ziemi i z poszanowaniem chowają je jako najdroższe pamiątki.

Opowiadano mi o cudownych nawróceniach katów i oprawców samych, żołnierzy pretoriańskich

kohort, niewolników Cezara, i gdybym wiarogodności opowiadań nie miał dowodów, sądziłbym je niemożliwymi.

Wszystko to wyszło z łona tego strupieszalego społeczeństwa naszego, które się zdawało niezdolne do żadnego szlachetniejszego czynu i myśli. Rzecz najwyższego podziwu godna. Boję się, ażebyś, znając moje usposobienie, o przesadę w opisie tych wypadków nie posądzał, lecz wierząc, że za mało ci piszę właśnie przez tę obawę. Z jednej strony najnikczemniejszy upadek, z drugiej najwyższa siła cnoty, prawie nadludzkiej. Tłum pospolity stojący pośrodku, który sam w sobie ani występku, ani cnoty wyrobić nie jest zdolny, porwany wirem jednego lub drugiego, wedle skłonności i popędu chyli się na tę lub na inną stronę.

Z opowiadań Celsusa miarkować można, iż Cezar niepokoi się bezskutecznością prześladowania wymierzonego przeciw chrześcijanom. Kilku przedniejszych kazał przywozić przed siebie, a żaden się go nie uląkł, niektórzy mówili mu prawdę gorzką, jakiej nie słyszał nigdy, po której chodził zasępiony i wściekły, aż zemstę swą we krwi utopił krzyżując i mordując bez litości.

Mniej zresztą dziwną jeszcze by była owa stoicka cnota w mężach, ale w kobietach i dzieciach jest niepojętą prawie. Padło ofiarą wiele niedorosłych chłopiąt i dziewcząt zaledwie wyszłych z dzieciństwa, których pierwszych na lupanary rzucono; nic przecie ich męstwa i spokoju zachwiać nie potrafiło.

Seneka milczący w poufnym kole z uwielbieniem mówi o chrześcijanach, chociaż raz tylko jeden śmierci kilkudziesięciu ich był świadkiem. Usunął się prawie całkiem na wieś, unika dworu, władza jaką dawniej miał nad Cezarem zupełnie zwałżała, uczuł roztropnie, że jest już tylko niewygodnym świadkiem, którego wejrzenie i milczenie nawet boli, bo zawstydzają.

Szepczą, iż z wyższego podobno rozkazu, wyzwoleniec filozofa, niejaki Kleonicus dał mu być jakąś trucizną, ale w porę zaradzono; odtąd żyje starzec samymi prawie owocami, a nie pija nic poza wodą, którą sam ze strumienia czerpie. Wszyscy mu śmierć rychłą przepowiadają.

Jedno tylko jego i nas ocalić by mogło zarazem, to wybuch owego spisku Pizona, o którym ci już donosiłem, ale z dniem każdym bardziej wątpić przychodzi, aby się to sprzysiężonym powieść mogło. Znam i ja ich prawie wszystkich, i nic dobrego nie wróżę; pierwszy z nich i najgłówniejszy, który po władzę sięgnąć by pono pragnął, ma przymioty wielkie, ambicję niemałą, ale też i wszystkie wady naszego wieku. Lubi przepych, jest hojnym, nieco lekkim, a mimo miłego charakteru, na czasy surowe, na surowe sprawy jest za mało surowym człowiekiem. Flawiusz Scewinus płochością także grzeszy, rozleniwiony jest i nie dosyć energicznych postanowień. Afranusem powoduje osobista ku Neronowi za jakiś wiersz rozpusty jego wyśmiewający, zemsta nie miłość Rzeczypospolitej. Podporę widzą w Feriuszu Rufusie, lecz na tego stara nienawiść Tygellina nieustannie ma oczy zwrócone, obrócić mu się, działać, kierować trudno.

Lukan jest poetą, a Seneka — jeżeli prawda, że Pizon mu tajemnicę powierzył — Seneka tylko retorykiem i sofistą; nie są to ludzie, których by dłonie postać państwa przemienić zdołały, lub nawet do tej przemiany przyczynić się mogły. Jeden by dokonane czyny śpiewać, drugi mądrze ich naturę rozbierać potrafił.

W Senecjona też niewiele wierzę. Cóż dopiero rzec o gromadzie niewiast, którymi posługują się w sprawie tajemnicy i wstrzemięźliwości w słowie wymagającej?

Widzisz więc jak stoją sprawy nasze.

Chciwość pieniędzy, których braknie Neronowi, równie jest straszliwa jak jego rozrzutność; niesłychane sumy pobrali skoczowie i histrionowie, kosztowały wiele tryumfu wszelkiego rodzaju, igrzyska i owacje; nareszcie się też złoto przebrało. Marzenie o zakopanych Dydony skarbach w Afryce jak sen na jawie się rozeszło, topią więc posągi bogów zrabowane w świątyniach Achai, zabierają ofiary z naszych cel, testamenty łamią, a skarb dziedziczny sam. Bogatym czasem umierać każą, aby zbyt długo na ich dziedzictwo nie czekać; kary wszelkiego rodzaju nakładają na niewinnych, aby występki swoje wyżywić mogli. Grecja o pomstę do niebios woła za opustoszone swe świątynie; sam Seneka nawet ostrożny w sądach, odważył się to podobno świętokradztwem nazwać. Milczą inni, Neron powiada otwarcie, że nie chce w państwie mieć bogatych, bo dostatek wróży dumę i upór, a ubóstwo najsnadniej złamie człowieka i niewolnikiem go uczyni. Lud więc tylko ma pozostać ciemny i ubogi, i Cezar wszechwładca, który nim miotać będzie jako zechce; reszcie nas już zapowiedziano zagładę; Senatowi, rycerstwu, uczonym, poetom, wszystkiemu co głową ponad tłum sięga. Wszyscy, co by swoją wolę jaką lub myśl o dobru Rzeczypospolitej mieć mogli, ustąpić muszą.

Trazeasz, Kornutus i innych wielu już na śmierć lub wygnanie napiętnowanymi się czują. Cnotliwym, prawdomównym, nieulęknionym być się nie godzi: mogliby ludzie porównywać, urokowi cnoty dać się pociągnąć, wreszcie więcej je cenić niż śpiew Cezara, jego wozy i teatralne sztuki. Popęniliby świętokradztwo, bo Cezar jest bogiem. Co mówię: dwu przynajmniej bogów ma w sobie!

Zaprawdę, Gajuszu drogi, szczęśliwy jesteś, że na to nie patrzysz, że możesz z daleka wierzyć w Rzym i wielkość jego, patrząc na orły zwycięskie, pamiętając przeszłość. Bodaj by też orły wasze swobodę, godność dawną, życie stare na skrzydłach nam swych przyniosły i cnotę w Marsowych wykapaną trudach. Któż wie? My w was jakąś pokładamy nadzieję, ty lepiej wiesz słuszną czy złudną? Niech ci tak wszystko sprzyja jako ja — Bądź zdrów.

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi zdrowia

Stało się tak prawie, jak od dawna przewidywałem, Neron zwyciężył, spisek odkryty, ofiary padły, padają, mnożą się niepoliczony. Ahenobarbus rad być może ze sposobności, która mu się nastęcza do pozbycia wszystkich co mu zawadzali.

Prześladowanie chrześcijan i dzika zemsta nad tymi co należeli do sprzysiężenia Pizona, zesły się razem, ofiarami codziennymi przerażają Rzym. Cieszy się Ahenobarbus, skazuje na śmierć, rozsyła posłów niosących wyroki, zmiata ktokolwiek mu był uprzykrzony, niechętny, na kogo nie lubił patrzeć, w kim niepodległość jakąś przeczuwał. Milczą wszyscy... Senat się płaszczy i pochwała, a od wyznaczonych na stracenie odsuwają się wszyscy, jak spłoszone ptactwo... Konającymi ustami umierający ślą mu błogosławieństwa i pochlebstwa, aby nimi dla dziecka lub żony litość wyżebrać...

Nigdy jeszcze, od początku panowania okrutnika, Rzym tyle razem krwi przelanej nie widział. Spisek już był wybuchnięcia bliski, siły dostateczne, powodzenie prawie niechybne, bo wszyscy znużeni Neronową dzikością byliby przyklasnęli słusznej karze za tyle zbrodni. Spierano się już tylko o wykonanie zamachu; jak, gdzie, kiedy? Pizon nie chciał skalać gościnnego domu swojego w Bajach *penatów* morderstwem podstępny: postanowiono w dzień igrzysk cyrkowych na cześć Cerery napaść nań w teatrze lub ulicy. Ale i na to jeszcze zgody zupełnej nie było.

Tymczasem Epicharis z żywością właściwą kobiecie i swemu charakterowi, chcąc wciągnąć do spisku dowódcę floty w Mizenie, pierwsza, zbytnią otwartością swą, na ślad sprzysiężenia naprowadziła. Potem z domu Flawiusza Scewina wyszła reszta tajemnicy.

Wspomniałem nieraz o Scewinie, o braku siły w tym człowieku, który się do tak wielkiego porywał dzieła. Dowiódł też postępowaniem swym, że nie miał rozsądku, gdy nie będąc jeszcze pewien dnia wybuchu, trwożny już o jego następstwa, począł się w domu rozporządzać i krzątać, jak gdyby w wigilię śmierci, pieczętując testament nagle, rozdając mienie, przeznaczając sprzęty, niewolników wyzwalać, okazując niepokój poprzedzający wielkie jakieś i niebezpieczne przedsięwzięcie.

Musiał się też z czymś wygadać; uderzyło to Milichusa, jego wyzwoleńca, który pobiegł do Epafrodyta i dał znać, że się wielki jakiś zamach gotuje, że Cezarowi grozi niebezpieczeństwo. Epafrodyt i Tygellin już mieli podejrzenia jakieś a raczej szukali pozorów, aby się pozbyć nieprzyjaciół. Ostatni szczególnie nienawidził Juliusza Rufusa, którego od dawna przed Neronem, jako niebezpiecznego mściciela śmierci Agrypiny (niegdyś kochanka jej), przedstawiał. Ujęto kogo chciano, kto był nienawistny lub zdawał się niechętny, a że zrazu nic się dowiedzieć nie było podobna, rozkazano męczyć podejrzanych, aby z nich prawdę lub fałsz wydobyć boleścią.

Smutne to są dzieje, Gajuszu drogi, które opisywać pióro się wzdryga. Gdy to piszę, nie wiem sam jeszcze, czy ocalonego dotąd Celsusa i mnie, los ten sam co Senecjona i innych nie spotka. Dostyc

jest, aby nas jako znanych sprzysiężonym wskazano, dowodów winy nie potrzeba. Nadzieja cała w tym, że za mali jesteśmy, zbyt mało znaczeni, abyśmy uwagę Nerona zwrócili na siebie, ma on i tak czym swe pragnienie krwi nasycić. Dotąd wielu już z patrycjatu schwytano, z rycerstwa także, wyzwolenców i ludu, a nawet z kobiet, które do spisku należały. Rozgałęziony był bardzo, a raczej rozgałęzić go pragną, aby się pozbyć wielu. Przestach błady Rzymem owładnął, nikt życia nie pewien, nikt mienia. Zemsta lada niewolnika, który dawną jakąś niechęć żywi ku panu swemu dostateczną jest, by obywatelowi Rzymu zagrozić śmiercią haniebną. Ani badania prawdy innego nad torturę, ni sądu nie ma żadnego; wyrok dyktuje nienawiść i pragnienie zemsty.

Sprawiedliwie czy nie, ofiar padnie bez liku, wszystko co Neronowi uprzykrzone było aż do tych, co z nim o lepsze poezją lub śpiewem walczyli — upadnie. Dziś lub jutro postrada Rzym najcenniejsze ozdoby swoje. Łatwo jest dowieść, że każdy z nas miał stosunki ze sprzysiężonymi; był ich przyjacielem, krewnym, widywał ich, słyszał o czymś lub czegoś się mógł domyślać. Zresztą, potrzeba dowodów? Posądzenie wystarcza, cień podejrzenia, w ostatku starczy nienawiść. Każdy zamknięty w domu, oczekuje posta śmierci gotów do niej, a gdy dniem czy nocą do drzwi zapuka centurion przez Cezara wysłany, nie pozostanie nic jeno ciepłą wannę gotować i wołać balwierza, aby żyły poprzecinał...

Szczęśliwy jeszcze komu dozwolono skonać tak pod własnym dachem, żegnając rodzinę i penatom czyniąc krwawą libację. Mało komu dopuszczą uczynić testament, Cezar bowiem dziedziczy, a ci co choć odrobinę pragną zostawić dzieciom, zapisy czynić muszą Neronowi lub Tygellinowi, aby przy tych legatach i inne utrzymać się mogły.

Cezar jak słyhać za ocalenie Rzeczypospolitej nada sobie imię zbawcy — *Soter*.

Przerażenia, które panuje w Rzymie odmalować ci nie potrafię, domy opustoszone, ulice wyludnione, każdy się lęka pokazać twarz, aby ona nieprzyjaciółom nie przypomniała, że żyje; trwożliwi wszelkich wypierają się stosunków, pokrewieństwa, przeklinają spiskowców, którzy tylu nieszczęść i śmierci są powodem, pod niebiosa ze strachu wynosząc Cezara.

Mało kto nawet umrzeć umie.

Wiesz o tym, że Lukan, poeta, także był do spisku wciągnięty lub o nim przynajmniej miał wiadomość i pochwalał go. Dosyć tego było Neronowi, aby mu umrzeć rozkazał. Od dawna nienawidził go zazdroszcząc mu sławy, której sam doścignąć nie mógł, choć Rzymu całe dzieje miał śpiewać... Wszyscy wiedzieli, że Lukan zginąć musi, lecz któż by mógł, kto by się śmiał domyślać, że ten, co wielkie dzieje i mężów umiał opiewać wielkich, sam się w obliczu śmierci tak małym pokaże? Wzięty na męki, chciał matkobójcy Neronowi dorównać: Neron matkę zabić rozkazał, Lukan swoją wydał, jako należącą do spisku.

Cóż potem, że nie ocaliwszy życia, złamany gdy konać przyszło, skonał z wierszami na ustach? Tak jest, Gajuszu. Gdy mu już ręce i stopy stygnąć zaczęły, przytomny jeszcze, cichym głosem deklamował piękny swój ustęp *Farsaliów* opisujący zgon żołnierza, któremu śmierć jego miała być podobną... (*Lucanus. Farsalia. Scinditur avulsus vec sicut vulnere sanguis etc...*; szarpnię posiekanego, a krew jak nie z rany...).

Co dzień budzącego się ze snu niespokojnego wita niewolnik, zwiastując nocne morderstwa, Rzym cały otoczony pretorianami, mury osiadł żołnierz, rzekę zaparły statki, nie ufając swoim, Neron germańskimi żołnierzami trzyma miasto jakby w oblężeniu. Nikomu wniknąć, nikomu wychodzić nie wolno, każdy krok podejrzenie ściąga, obawę w niespokojnym Cezarze budzi.

Żyjemy śmiercią, boi się człowiek człowieka, brat brata pozdrowić w ulicy, może trafić na podejrzanego, którego już śledzą oczy siepaczów... gdyby przemówił, już by był współwinowajcą... Dom, w którym jednego posadzono człowieka, już cały dotyka zemsta, winnych równając z niewinnymi... Dlaczego wprzód nie odkryli, czemu nie donieśli? Bojaźliwsi sądząc, że obronią siebie, wydają na rzeź rodzinę, przyjaciół, bliskich i z nimi potem padają sami.

Na rękę bardzo przyszedł Ahenobarbusowi spisek dla wykonania dawnych zamysłów, zgniecenia patrycjatu i rycerstwa, których zawsze się lękał. Wyzwoleńcy wczorajsi miejsca ich zastępują; niewolniczemu woli panować ludowi, któremu chleb i igrzyska starczą, a nie mężom, którym cnoty i dostojności potrzeba.

Opisałem ci smutny zgon Lukana, który zapomniawszy, że był człowiekiem, pamiętał do ostatka, iż był poetą; nie mówię o innych; mnóstwo ich, wzorem jego, powydawali na męczarniach najbliższych swoich, sądząc, że siebie ocalą. O hańbo i wstydzie! Jedna kobieta, wzgardzona *libertina*, Epicharis, zgonem swoim Rzymian upokorzyła. Spodziewano się ze słabej, rozpieszczonej niewiasty wyciągnąć imion więcej, które by do nowych mordów posłużyły za wskazówki, rozkazano więc ją męczyć. — Delikatne ciało jej rozszarpano na poły, złamano kości, pogruchocono członki... Epicharis milczała lub w oczy miotała obelgi oprawcom. Dwa dni trwało to pastwienie się nad nią, a życie w wątlej piersi trzymało się jeszcze, z życiem dusza niezłomna. O sile swojej stać nie mogła, gdy na nowe wysilając się męczarnie, uwolniono ją od nich nareszcie — skoła pod sznurami, co ją krępowały. Umarła nie wyrzekłszy słowa, z zaciśniętymi ustami, na podziw katom... I Rzym okryła wstydem. Gdzież się dziś cnota kryje? Gdzie stałość i szlachetność się mieści?

Twierdzą wszyscy, że bliska z Pizonem zażyłość i Seneki śmierci powodem się stanie, bo tej Cezar dawno pożądał, również o los Trazeasza i Kornutusa się lękają i tych cnota surowa na rzeź wyznacza.

Któż wie zresztą, na kim zatrzyma się dłoń mściwa Cezara, którym szal i przestach przez zauszników podsycany miota...

W tych dniach ciężkiej próby, podziw mój obudzą Lucjusz, nie poznaję go, obawiałem się słabości i przestachu — obojętność na śmierć znajduję i niespodziewane męstwo. Z Celsusem i z nim spędzamy wieczory, co chwila dowiadując się o nowym zgonie lub wygnaniu. Lucjusz siedzi tu zadumany, ale spokojny, wybrawszy sobie towarzystwo nasze, chociaż wie jak jest niebezpieczne; bo nie są mu tajne stosunki Celsusa z Pizonem i spodziewać się może w każdej chwili, że wyrzeczone imię sprowadzi tu posłańca Cezarowego ze śmierci wyrokiem. Celsus rozporządził wszystkim, gotową kąpiel trzymać rozkazał i ze śmiercią się oswaja czytając o niej i mówiąc...

W Cyclerona *Tuskulanach* pożyteczne znajdujemy nauki.

Nie wiele wierzę w zmiany ludzi nawykłych do złego, dlatego nie tak Celsus mnie dziwi, jak Lucjusz prawie przestrasza. Tylko wpływowi Sabiny przypisać mogę tę jego stałość; człowiek ten

widocznie walczy z sobą, aby się zmienić i bliskim jest zwycięstwa.

Gajuszu drogi pożegnaniem chyba list skończę. *Vita mortuorum in memoria vivorum* *Est posita* (Życie umarłych złożone jest w pamięci żywych). (Cicero. *Phil.* 9. 50) Nie zapomnij o umarłym, bo któż dziś pewien, że jutra dożyje? Znajdziesz w testamencie dowód, jak byłeś drogim sercu mojemu. Żegnaj mi, żegnaj, a o dobrym tylko pomnij... Celsus cię pozdrowić każe. Ulicą konny przebiega żołnierz, kopyta konia hałaśliwie biją o płyty kamienne... czy się zatrzyma u drzwi naszych? Czy wiezie wyrok śmierci? Czy przeleci dalej?... Minął drzwi, słysząc tętnienie coraz słabsze... godzina życia zyskana; żegnaj Gajuszu... Lecz czy doczekamy jutra?

Juliusz Flawiusz Gajuszowi Markowi zdrowia

Po długim milczeniu, gdyś już może o życiu mym nawet zwątpił, nie list ci ślę, Gaj uszu drogi i pozdrowienie, ale całą niemal księgę. Pamięć zmęczona wypadkami, które przebyłem, ledwie może pozbierać ich wspomnienia, nie wiem jak uporządkować je potrafi. Zda mi się, że w pierwszych dniach po odkryciu spisku Pizona list wysłał, malując ci stan Rzymu i nieszczęśliwe położenie nasze. Sprawdziły się oczekiwania i domysły, jak się zawsze prawie sprawdza złego przeczucie; kazano umierać wszystkim, których życie uprzykrzone było. Ci, których cnota broniła od upadku, dotrwali do końca, ale tych liczba jest mała. Wieści wam już przynieść musiały te niezapomniane dzieje konania wielkich mężów. Straciłem przyjaciela i krewnego w Fulwiuszu Flawiuszu, trybunie kohorty pretorianów, który sam jeden może z wielu miał odwagę rzucić Neronowi w oczy prawdę okrutną.

Sam badał go Cezar, sam mu wyrzucał, jak mógł świętą przysięgę wierności złamać.

— Nienawidziłem cię — odparł Flawiusz. — Nie miałeś wierniejszego nade mnie żołnierza, dopóki zasługiwałeś na miłość, zacząłem cię nienawidzić, gdyś się stał matkobójcą, żony mordercą i podpalaczem.

Więcej okazał męstwa w obliczu śmierci nad tego, który go ścinał; drżała ręka oprawcy i kilkakrotnie uderzyć musiał, nim głowę od karku oddzielił. Ofiar nie zliczę, mnogie były, najmniej winnych, a raczej, wcale niewinnych skazano na wygnanie z Italii do spalonej Afryki lub na wyspy bezludne, aby tam powoli skonali. Między nimi kobiety i dzieci nawet. Tym została przynajmniej nadzieja.

Przetrwaliśmy te godziny trwogi, hartując się, co dzień kogoś żegnając. Zwycięstwo Neronowe serca wszystkich pocziwych ścisnęło.

Trwało też ciągle ponawiane prześladowanie chrześcijan, które we mnie od początku nieustanną obawę o los Sabiny budziło.

Na próżno prosiłem, błagałem, zaklinałem, żeby do Tuskulum lub innej jakiej swej lub mojej posiadłości na wieś się usunęła, nie chciała oddalać się z Rzymu od współwyznawców.

Zrazu nawet powzięła myśl dom swój przy Palatynie i Eskwilinie kazać podnieść ze zwalisk; zamieszkując dopóki by nie był dokończony, w grobowcu Marcjów. Lecz ani mnie, ani jej gruzów tych podnieść nie dano; potrzebował Neron rozszerzyć jeszcze ogrody swe i gmachy, które na miejscu pogorzałych wznosić zaczął Celer. Wyznaczono podobno za posiadłości te lichą zapłatę, ale o tę nikt upominać się nie śmiał, bo i za żądanie podobne na śmierć lub wygnanie skazanym łatwo być można.

J a *insulę* moją niezupełnie obaloną ocaliłem, dodawszy portyk obyczajem przez Nerona

przepisanym, na nowo ją uczyniłem mieszkalną. Sabina wszakże przyjąć jej ode mnie nie chciała. Przeniosła się na ostatek do małego domku nabytego między Apijską a Ostyjską Bramą. Pojmowałem dobrze, co ją w te strony pociągało; sąsiedztwo krypt, do których gorliwie uczęszczała, już się z tym prawie nie tając. W nieustannej też o nią musiałem być obawie z powodu zbytniego narażania się na niebezpieczeństwa. Ta niewiasta niegdyś przywykła do wygodnego i cichego życia, teraz w pracy, w niedostatku i strachu pędziła godziny długie. — Widok ten serce mi krwawił, lecz rady znaleźć nie mogłem — nie słuchano mnie.

Nie było prawie dnia, żebyśmy o nowym jakim nie usłyszeli męczeństwie. Chrześcijanie czcząc zmarłych, którzy dotrwali w wierze swej do ostatka, około ciał ich i krwi jak największe mieli staranie, zbierano je jak najdroższe pamiątki. Nieraz zakrwawione z wieczora place gąbkami i chustami nocą oczyszczono, tak że nazajutrz na nich śladu popełnionych morderstw nie było.

Ale musiano się ukrywać przed strażami, przekupywać je, nocą skradać się niepostrzeżonym, ażeby tego pobożnego dopełnić obowiązku.

Sabina wraz z innymi niewiastami: Pomponią Grecyną, dwiema córkami Pudensa, Praksedą i Pudencjaną wychodziły co noc prawie, niosąc z sobą naczynia na krew, wodę i gąbki, powracały z zakrwawionymi chustami, kryjąc często w sukniach poucinane głowy, które nazajutrz wraz z ciałami z poszanowaniem w kryptach składano. Niekiedy przynosiły tylko garść popiołów i trochę kości. Kilku dyszących jeszcze, niedobitym strzałami, a za umarłych rzuconym na placu udało się im tak ocalić życie.

Ja choć niepełny chrześcijanin, bo się do neofitów liczyłem tylko, chętnie pomoc do miłosiernych ofiarowałem uczynków; musieliśmy nieraz z trudnością wymijać strażę, uciekać ścigani, a trupy i rannych naszych ukrywać starannie, aby jednych od profanacji, drugich od pewnej obronić śmierci. Nie, Gajuszu drogi, gdybym ci nawet potrafił odmalować to życie niepokoju, pracy, niebezpieczeństwa, wśród którego nie było chwili na spoczynek i wytchnienie — to byś nie uwierzył słowom moim. Jednakże słabe niewiasty wytrwać w nim, nawyknąć doń umiały, tysiące ciał ich rękami pogrzebanych zostało. Nieraz trafiało się, że wysłane strażę chwytaly nieszczęśliwe ofiary w czasie ich pobożnego zajęcia, które za występki poczytywano, nazajutrz stawiono przed ołtarz Jowisza, aby mu cześć oddawały, i wzbraniające się karano śmiercią w tym samym miejscu, w którym pochwycone zostały... Trzeciego dnia u ich już ciał martwych nowi krzątali się bracia, nie przestraszeni ich losem.

Lucjusz i ja chodziliśmy z Sabina, Rutą i kilku innymi towarzyszami, aby od niebezpieczeństwa ją zasłonić. Jego, jak i mnie, równe ogarnęło pragnienie poznania tej nauki, która czyniła cuda takie, wlewała siłę i urągała śmierci. Wyprzedzał mnie nawet ów zniewieściały gach Nerona w nawróceniu i podziwem dla mnie się stawał. Całkiem bowiem inaczej ja i on szliśmy ku światłu. On z zapałem młodzieńczym, prawie z gorącością niewieścią, ja z przestraczem jakimś i nieśmiałością. Po tak nieszczęśliwie odkrytym spisku Pizona, Lucjusz udając chorobę, zupełnie się od dworu matkobójcy usunął. Tygellin choć może się czegoś domyślał, nie uznając go niebezpiecznym, zaniechał śledzenia jego kroków. Wówczas Lucjusz swobodny, oddał się cały wyuczeniu się wiary chrześcijańskiej. I gdy ja, badając każdy krok, posuwałem się z obawą i rozwagą, on z namiętnością prawie biegł, jakby go tylko nowość ujmowała.

Zmienionego gacha nikt by teraz nie poznał, tak surowe przybrał oblicze, tak niepozorne szaty, tak się zaniedbał i opuścił. Całe dni spędzał po kryptach, na modlitwach i słuchaniu nauk, posługując starszym, podejmując najcięższe prace. — Zdumiewałem się, zazdrościłem mu. O ile dawniej nie znosiłem go i brzydziłem się nim, teraz musiałem uwielbiać. Sabina, której to było dziełem unikała go jednak, aby się przekonać, że nie ziemską namiętność, nie sama chęć zbliżenia się ku niej, kierowały nim.

Tak przeszedł nam czas jakiś w trwogach i niepewności. Mnie, ocalony cudownie Celsus dawał schronienie, gdyż w *insuli* nie pilno mi było zamieszkać, tu bliżej przynajmniej Bramy Ostyjskiej i Sabiny, częstszą o niej miałem wiadomość. Widywałem ją nawet czasami, chociaż znajdowałem u niej zawsze jednego z sędziwych chrześcijan, i nie rozmawialiśmy o niczym tylko o wierze, z którą w ten sposób coraz się więcej oswajałem.

Płochym nie byłem i nie jestem, Gaj uszu miły, ani tak jak Lucjusz wrażliwym i namiętnym, ani mej wyobraźni zbytniego nad sobą dopuszczam panowania; raczej sceptykiem i zbyt ostrożnym uczyniło mnie życie. Zimnym rozumem więcej niż sercem badałem naukę, jako poganin jeszcze chciałem ją poznać, nim bym się jej oddał cały. Uwierzysz gdy ci powiem, że ją o całe niebo znalazłem wyższą nad to, co u nas filozofia i religia razem w sobie mieszczą. Jak z wszelakiej nauki, tak i z tej umysły wykrętne, chęć panowania nad drugimi, sprawy i potrzeby ludzkie, miłość własna i sofizmat, mogą uczynić to, czym ona wcale nie była u źródła, lecz sięgnąwszy do niego, prawdziwie boskiego zaczerpniesz napoju. W zdrowych sercach i głowach nauka ta będzie żywą odrodzenia wodą; w zgniłych cóż się nie stanie trucizną?

Lecz powracam do toku opowiadania, który niepotrzebnie przerwałem. Męczeństwa nie ustawały, chrześcijanie wyjęci spod prawa, zdani na łaskę niższych urzędników, na ręce katów bez serca, zapełniali więzienia, służyli za igraszkę tłumom. Nie było nic stałego w postępowaniu z nimi, los ślepy rządził życiem, śmiercią, męczarnią, rodzajem zgonu i męczeństwa. Zależało od dnia, od człowieka, często od usposobienia tłumu, co z nimi uczynić miano... Jedni zdani na straż mniej srogich ludzi, potrafili ich swoim przykładem nawrócić, a nawet odzyskać swobodę, drugich męczono wymyślnie. Często dziwactwo oprawcy przyspieszało godzinę ostatnią, a opieszałość lub litość ułatwiały z więzienia ucieczkę.

Nie dziwię się, że wielu Rzymian samo oburzenie przeciw tym okrucieństwom ku nowej nauce pociągnąć mogło. Nie szanowano bowiem nikogo co tylko imię chrześcijanina nosił, ni siwych włosów starości, ni słabego dziecięcego wieku.

Dziewice rzucano w otchłanie *lupanarów* na pastwę rozbestwionemu żołdactwu, dzieci z rąk matek wrywane ginęły pod kopytami koni, ze strzaskanymi o kamienie głowami. A któż wyliczy urągowiska, szyderstwa, naigrawania się z męczarni bezwstydnie, nieludzkie! Serca szlachetniejsze ścisnąć się na to musiały, umysły zaciejsze oburzać. Toteż można rzec, że każde widowisko, na które tłum spieszył, tylu chrześcijan czyniło, ilu ich ginęło.

Z cudownym bowiem spokojem i pogodą szli na śmierć, jak owa rodzina, którą niegdyś widzieliśmy z Sabiną, rzuconą na pożarcie zwierzętom. Niezmiernie mała stosunkowo liczba uległa strachowi i ocalając życie skalała je.

Nieraz pieśń chrześcijan nucona mimo chłosty katów, stłumiła krzyk tłuszczy i milczącym strachem przejęła lud, na którego czołach widać było przerażenie posępne...

Szły te ofiary jak na ucztę zwycięską ze złożonymi rękoma, niewolą wycieńczone, zbite, wybladłe, a wesołe i opromienione.

Zdawało się, że barbarzyństwo oprawców prędzej się wyczerpie niż święta męczenników cierpliwość. Ale nie, ilekroć wstrzymywała się zajadłość, ostygła wściekłość, coś tajemnego znowu ją podżegało.

Z obawą spoglądałem na Sabinę, sądząc, że ten stan niepewności i strachu zdrowie jej nadweręży, stałość obali, lecz widziałem ją co dzień śmielszą, pewniejszą siebie. Nie unikała nawet wypadków, które jej samej grozić mogły. Ponieważ wejście do krypty z ogrodu Pomponii było dosyć oddalone, a i sama Pomponia oskarżona o przyjęcie chrześcijaństwa przez swą rodzinę w niewoli prawie trzymaną była, gdyż los jej powierzono rodzinie w dowód łaski szczególnej. Sabina zajęła się przekopaniem od ostyjskiego domku galerii podziemnej do najbliższej krypty. Rzec nie tak była łatwa jak się jej zdawało, z powodu służby i niewolników, którym ufać nie było można. Wprawdzie powoli znaczna ich część nawrócona została, ale wielu się wahało i obawiało, innych ani się pozbyć, ani oświecić nie zdawało możliwym.

Sabina pragnęła mieć zrazu wejście z perystylu lub ogrodu prostą płytą marmuru przykryte, musiała jednak przyzwolić na umieszczenie go mniej widoczne w głębi ogrodu, gdzie pod pozorem studni roboty rozpoczęto.

Chrześcijańscy *fossorowie*, obeznani z tą robotą, wykopali naprzód podziemny korytarz, a dalej pracować już mogli ukryci w nim, ziemię nocami wywożąc potajemnie.

Ustawiono *puteal* ozdobny, w rodzaju tych, które się *sigillata* zowią, aby wniknięcie zabezpieczyć i ukryć robót tajemnicę. Lucjusz i ja pod dozorem *fossora* często godzinami całymi pracowaliśmy w tej podziemnej kryjówce.

W końcu dzięki zręczności kierującego kopaniem starego Dionizjusza, *fossora*, przejście to połączone zostało z siecią galerii dawniejszych. Z wielką pociechą przyjęła wiadomość o tym Sabina, poświęcono galerię, a Lucjusz doradził, aby na wypadek zamurowania lub zasypania krypt, które się zdarzało nieraz przy wzmagającym prześladowaniu, galerię nową tak od nich oddzielić, aby wejście do niej nie dostrzeżone być mogło. Urządzono w istocie mur ruchomy, który rozpoznać było trudno.

W pamiętnym dla mnie dniu, gdym i ja razem z innymi neofitami zszedł do krypt na nabożeństwo — odbywała się właśnie ofiara wieczorna i agapy — gdy Dionizjusz *fossor* wpadł z oznajmieniem, iż tłum z żołnierzami główne wejście do krypt obiegłszy, ziemią je i kamieniami zawala. Z początkiem instynktem ludzkim porwali się wszyscy jakby biec chcieli i uciekać, lecz jedno słowo kapłana wstrzymało ich na miejscu. Poblądły twarze, ale modlitwa nie została przerwana... niebezpieczeństwo w istocie trwało tylko dopóty, póki tłum był u wejścia, a ten długo tam pozostać nie mógł. Mnóstwo bowiem skrytych galerii prowadziło w różne strony. Z dala dochodził nas szelest sypiącej się ziemi i dzikie, stłumione głosy germańskich żołnierzy. Z góry przez kilka otworów

zwanych *luminare*, które odkryli napastnicy, sypała się na nas ziemia i rzucono ogromne bryły kamieni, ale tych łatwo uniknąć mogliśmy, zasypiania zaś całych krypt nie było się co obawiać.

Napad straszny był, ale w istocie niezbyt groźny. Po odbytym nabożeństwie, lud się wedle rozkazu starszych i *fossorów* porozdzielał i tajemnymi przejściami rozchodzić począł. Wysilek prześladowców był nadaremny, nikogo nie dotknął, prócz kilku pochwyconych przy nieostrożnym wyjściu.

Spokojni prawie zdążaliśmy ku *putealowi* Sabiny ogrodu, gdy wychodząc z krypty spostrzegłem jej dom w oddaleniu otoczony strażą, zajęty przez ludzi obcych, z pochodniami przebiegających perystyl i *cubicula*, jak gdyby kogo szukali. Ujrawszy to, zaklinać ją zacząłem, aby uciekała lub do krypty powracała, ale mnie odtrąciła z lekka i rzekła spokojnie:

— Oddałam ci w opiekę Pawła mojego, jedyne dziecko, cały mój skarb na ziemi, ty żyć powinieneś dla niego, ja czuję, że godzina moja wybiła. Wielokroć mnie ominęło męczeństwo, dziś na nie gotowa jestem.

— Jeżeli go pragniesz — rzekłem — nie powstrzymujże mnie, dozwól mi iść z sobą, wstydu sobie ani chrześcijanom nie zrobię, choć neofita...

Sabina ze złożonymi rękoma uklękła przede mną.

— Na jedyne wielkiego Boga — zawołała — zaklinam cię, Juliuszu, tyś opiekunem dziecięcia mojego, uciekaj.

— Tyś jego matką — odpowiedziałem — żaden opiekun nie zastąpi mu ciebie, dozwól mi iść lub uciekajmy razem...

— Ale dokąd uciekniemy — zapytała — jestże na ziemi miejsce, gdzie by się od miecza Cezara rzymskiego skryć można? Nie hołdują mu wszystkie ludy i ziemie wszelkie? Zważ, że jeśli dom mój naszli, ja już jestem oskarżoną, winną, potępioną, już wiedzą żem chrześcijanką, po cóż mam oddalać mojego tryumfu godzinę? — Juliuszu, jam już skazana, a o tobie nie wie nikt, dlaczego masz popełnić samobójstwo i dziecko moje pozbawiać jedynej opieki?

— Gińmy więc razem — rzekłem — ja uciec nie mogę, nie chcę, nie godzi mi się. Pawła twojego Bóg będzie ojcem i opiekunem, idę z tobą.

Wówczas usiadła na poręczy studni, poczęła płakać, a jęki jej rozdarły mi serce, poczęła prosić i zaklinać. Powiedz mi, co byś wówczas uczynił? Com ja miał uczynić aby obowiązku dopełnić? Dziś jeszcze myśląc o tym, nie wiem co szlachetniejsze, co godniejsze było Rzymianina i chrześcijanina; czy z nią iść razem na śmierć, czy pozostać. Wiem tylko, że bolało mnie to, iż zostać musiałem, gorzej niż obawa śmierci.

— Juliuszu — rzekła wstając — widzisz, że jestem wydana im jako chrześcijanka, powtarzam ci, szukają mnie, los mój nieuchronny. Bóg nie chce w człowieku ani słabości, ani bezużytecznej ofiary, równającej się samobójstwu. Tyś potrzebny i dziś jeszcze ocalonym być możesz. Nie doradzam ci

falszu, jeżeli przyjdzie uroczysta godzina, w której i ciebie zawezwą, abyś dał świadectwo prawdzie, stań mężnie, nie ugnij się, wyznaj Boga i umrzyj dla niego, lecz dziś, w imię tego Boga, rozkazuję ci zostać dla mojego dziecięcia.

Złamany nic już nie rzekłszy padłem na ziemię.

— Bracie mój — zawołała Sabina, rzymskim zwyczajem, gdy umiera bliski krewny, na ustach jego kładzie najdroższy mu z rodziny pocałunek ostatni, jakby duszę jego chciał pochwycić — duszę moją oddaję Bogu, ale braterskim pocałunkiem ciebie żegnam... którego jednego kochałam na ziemi...

Wyrazy te słabszym wymówiła głosem, ale wnet męstwo jej wróciło, położyła mi ręce na ramionach, ustami dotknęła warg moich i zarzucając *peplum*, śmiałym i żywym krokiem puściła się ku domowi, dając nakazujący znak ręką abym pozostał.

— Paweł! Było ostatnim jej słowem.

Pobiegłem za nią ku oknom domostwa, tłum gwarny, żołnierze, niewolnicy jacyś zalegali perystyl, wśród którego migwały ich pochodnie... Wysłańcy Cezara badali sługi Sabiny, z których słabsi ulegli postrachowi męczarni i śmierci. Ruta jedna stała nieporuszona, milcząca, z rękami złożonymi na piersiach.

Zajadły prześladowca chrześcijan, znany z tego, że sam ich dobrowolnie ścigał i na kary wydawał, odarty kapłan *quirinalis* i wyzwoleniec imieniem Rupas dowodził tym napadem na spokojny dom Sabiny. Na jej widok, gdy poważna stanęła we drzwiach nie okazując strachu, oniemieli z początku, spojrzeli potem po sobie, a Rupas zbliżył się zuchwale do Marcji.

— Ty jesteś Sabina Marcja, wdowa po Treboniuszu?

— Rzekłeś — odpowiedziała.

— Prawda, żeś obrzydliwą wiarę obcą przyjęłaś? Jesteś chrześcijanką?...

— Jestem — głośno i wyraźnie wyrzekła...

— Nie zapierasz się tego, Sabino Treboniuszowa?

— I nigdy nie zaprę...

Męstwo jej jakby odurzyło Rupasa, stał śmiejąc się zgłupiały.

— Myślisz, że cię obroni imię, pochodzenie? — zawołał.

— Obroni mnie, gdy zechce Bóg, jeśli nie, potrafię umrzeć...

— Słyszeliście, urąga — krzyknął Rupas — wyznaje swoją szkaradę!

— Milcz — przerwała mu z pogardą — prowadź mnie dokąd ci kazano, jeśli ci kazano.

To mówiąc, powiodła okiem po sługach swoich i postąpiła parę kroków, jakby wychodzić chciała, Ruta natychmiast w ślad za nią poszła i jeszcze kilka niewolnic.

Te, które na groźby Flamina Quirinalisa złożyły ofiarę, stały w kącie kryjąc się, Sabina ku nim spojrzała tylko. Jedna z nich zerwała się, rozdarła suknię i natychmiast za nią pobiegła, inne zawahawszy się krótko, poszły za jej przykładem.

Flamin Quirinalis skinął na nie, że pozostać mogą, ale nie chciały opuścić Sabiny i płacząc poszły za nią.

Po co idziecie? — spytał Rupas.

I my chrześcijankami jesteśmy — rzekły — los jej podzielimy. Bóg naszą słabość przebaczy, chcemy umrzeć! Chcemy umrzeć! — zaczęły wołać płacząc.

Kapłan, Rupas i strażnicy zdumieni się znowu, z chmurnymi czołami wyszli popychając je i smagając, a nie mówiąc słowa... Sabina znikła mi we drzwiach.

Pozostali niewolnicy jej, płacząc, popadali na ziemię. Wówczas widząc oddalające się strażę, pomyślałem o Pawle, którego mi ona w opiekę powierzyła, wdarłem się do domu i wiedząc gdzie sypiał, pochwyłem dziecię z łóżeczka, unosząc je z sobą.

Ledwie potrafiłem uspokoić płaczące dziecko i zanieść do Celsusa, przez tę krótką drogę przyszło mi na myśl, że on pomocnym mi być może. Znaleźliśmy go szczęściem, w kilku słowach opowiedziałem o niebezpieczeństwie, zaklinając go, aby przez przyjaciół i stosunki usiłował ratować Sabinę. Świeży przykład Pomponii Grecyny dodawał mi otuchy: ją przecież nie w ręce katów, ale przez wzgląd na senatorskie pochodzenie, oddano na sąd własnym krewnym. Ocalało życie, przyszłość mogła znaczne przynieść zmiany. Ufałem, że i dla Sabiny wyrobić się to będzie mogło. Celsus natychmiast wybiegł na zwiady, ja w straszliwej trwodze jak odrętwiały, uspokajając dziecię — pozostałem. Zjawił się też wkrótce strwożony Lucjusz, który uszedł przez inną kryptę, chcąc się coś o wypadku dowiedzieć. Opowiedziałem mu wszystko.

— Żegnaj mi więc — rzekł — jest to dla mnie znakiem, że i moja wybiła godzina, idę i oddam się im sam w ręce. Któż wie? Może potrafię biorąc na siebie ciężar winy, ją od niej uwolnić?

Nie mogłem go powstrzymać dłużej, wybiegł a ja przykuty do dziecka, sam musiałem pozostać. Wstyd mi było mojego obowiązku u kolebki, alem go spełniać musiał. Celsus nierychło powrócił, a co gorzej przyniósł zatrważające wieści. Mnożąca się liczba chrześcijan, ich męstwo przerażyły Cezara; wydane rozkazy były okrutne, zdano wszystko na łaskę takich ludzi jak Rupas, od nich zawisło: darować życie, karać jak im się podobało, rozporządzać mieniem, a nawet i czią schwytyanych.

Rupas zamknął Sabinę w lochu własnego domu i straż postawiwszy, żonie swej doglądanie jej polecił; z tego widać było, jaką do schwytej przywiązywał wagę.

Zacząłem dopytywać o Rupasa, czy go okupem zjednać by nie można. Dowiedziałem się, że był

świeżym wyzwoleniec Cezara, niewiadomego pochodzenia, wielkiego okrucieństwa i dzikości.

Nie zdawał się łatwym ani do ujęcia pieniędzmi, ani do złamania prośbą. Mówiono, że jakaś nienawiść przeciwko Żydom, którzy wiarę chrześcijańską do Rzymu przynieśli, powodowała nim, a duma wyzwolenca jątrzyła przeciwko rycerstwu rzymskiemu. Szczególnie miłe mu było ludzi senatorskiego i rycerskiego pochodzenia upokarzać i prześladować, mszcząc się na nich za dawne jakieś zapewne krzywdy. Łatwiej, jak utrzymywał Celsus, dobyć było z rąk jego dziesięciu niewolników, niż jednego szlachetniejszego rodu człowieka. Żona jego Rutylla i on zgadzali się w tej zajadłości i okrucieństwie, które już głośne było w Rzymie. W czasie sprzysiężenia Pizona, w jego ręce dano kilku spiskowców, aby tym wymyślniejsze cierpieli męczarnie. Przystęp nawet do Rupasa domu był bardzo trudny.

Nie wierząc nikomu Rupas, swoich więźniów u siebie zwykł zamykać i sam był ich strażnikiem, to jest oprawcą.

Drzwi były zamknięte, dom otoczony dokoła strażą niewolników egipskich, on i Rutylla pełnili sami obowiązek kluczników. W domu miało być kilka ciemnic z otworami u góry tylko, przez które winowajców spuszczano, i nie dobywano ich aż na śmierć iść mieli.

Wszystko to Celsus mi opowiedział pierwszy, potwierdzili inni, znano bowiem dzikiego Rupasa. Noc przeszła nam bezsennie, rano zdawszy dziecię na opiekę Celsusa, sam postanowiłem udać się do wyzwolenca. Sądząc, że najlepiej uczynię, gdy mu stan mój i znaczenie ukażę, najpiękniejszą lektykę, najdorodniejszych i dobrze odzianych wziąłem niewolników, suknie najkosztowniejsze. Rano jeszcze było, gdym przed domem jego stanął, ledwie mi się mógł do drzwi dostukać.

Nie *ostiarius*, ale on sam mi je nareszcie otworzył, lichy, brudno i prawie po niewolniczymu odziany. Przez uchylone drzwi popatrzył oczyma czerwonymi na lektykę, na ludzi, zmierzył mnie potem wzrokiem pogardy pełnymi złości, chciał już na powrót drzwi zatrzaskać, gdym go, o ile mogłem najgrzeczniej pozdrowiwszy, zatrzymał, prosząc o kilka słów rozmowy.

— Mówmy w progu — rzekł urągająco — nie miałbym gdzie, na Mitrę, tak dostojnego przyjąć gościa, a i czasu na próżne słowa mi braknie.

— Jestem — odezwałem się — Juliusz Flawiusz, brat Sabiny Marcji.

— A! — roześmiał się oprawca — więc może i Flawiusza Scewiniusza i Sulwiusza Flawiusza...

Obaj, jak wiesz, zapłacili głowami za spisek Pizona — Rupas mi to w oczy rzucał umyślnie.

— Nie jestem ich bratem, ale byłem krewnym — rzekłem. Wiecie zapewne, że dla krwi patrycjuszów Cezar nakazuje względy; przychodzę żądać od was, abyście...

Wtem, sycząc, przerwał mi.

— Co wy mi tam mówicie o krwi, o rodzie patrycjuszowskim... A gdzież są nieprzyjaciele boskiego Cezara, ojca ojczyzny, jeśli nie w waszych rodach i krwi...? Kto czyni spiski przeciwko niemu? Kto śmie jego opierać się woli? Nie lud przezeń karmiony, co go wielbi i słucha... ale wy!

Mówicie mi o względach dla patrycjuszowskiego rodu waszego, ale wkrótce go razem z senatem nie stanie... Cezar i my... Na co gnuśnicy i burzyciele zdali się państwu? — zawołał, głos podnosząc. — Nie! nie! Żadnego dla was względu! Myśmy dziś patrycjuszami, my, wczorajsi niewolnicy, wyzwolenicy, jutro może senatorowie, gdy Cezar rozkaże, gotowi słuchać jego skinienia i dać za niego życie.

Wysłuchałem tych słów z pokorą, mimo oburzenia jakie obudziły we mnie. Rupas się śmiał dziko i pinił.

— Proszę was za Sabiną — rzekłem, ucząc się pokory — zważcie, że jest kobietą, nigdy żaden z Cezarów rzymskiej matrony znieważać nie dopuścił.

Rupas śmiać się zaczął mocniej jeszcze, aż mu zęby szczękały... podobny był do rozjuszonego zwierzęcia...

— Matrony wasze! Matrony! — zawołał — każecie je szanować, a są one poszanowania godne? Gdzie więcej nałożnic gladiatorów i kochanek niewolników jak pomiędzy nimi? Gdzie owe *univiry* wasze? A kto knuje spiski, podżega? Epicharis, Flacilla, Kadycja, Atylla... Kto pierwszy obrzędy bezbożne przyjął od niewolników... wasze to Pomponie i Praksedy!

I szydził, i urągał, jam drżał i w proch zetrzeć go nie mógł!

— Krew wasza, matrony wasze! — zawołał — my to wszystko na *gemonie* wywlecziemy, a Cezar tylko z ludem pozostanie... niepotrzebni nam patrycjusze, senat i ekwici...

Oburzenie, prawie szła mną owładnął, ale się musiał wstrzymać.

— Rodzina tylko własna ma prawo winną sędzić matronę rzymską — rzekłem — wszakże tak sam Cezar postanowił o Grecynie?

Rupas usta zaciął, oczy mu błysnęły, pokazał mi pięść czarną, ściśniętą.

— Idźże do Cezara nie do mnie! — krzyknął, drzwi z łoskotem zatrzaskując.

Taki był nieszczęśliwy mój pierwszy krok w obronie Sabiny uczyniony; tegoż dnia użyliśmy wszystkich możliwych środków dla wyrwania jej z rąk Rupasa, na próżno.

Wieczorem dowiedziałem się, że Lucjusz sam dobrowolnie oddawszy się w ręce i wyznając, że jest chrześcijaninem, do więzienia Tulliańskiego wtrącony został. Ponieważ w dobrych był dawniej stosunkach z Tygellinem, choć się do niego nie odzywał, na pierwszą wieść o pochwyceniu go, Sofoniusz pospieszył do więzienia. Wyciągnięto go z lochu, Tygellin ledwie poznał, zdziwiony, iż o przyjęcie chrześcijaństwa oskarżonym być mógł: ale z kilku słów przekonał się, iż Lucjusz istotnie innym był teraz człowiekiem. Doniósł natychmiast o tym Neronowi, który Lucjusza niegdyś lubił za zręczne pochlebstwa i sypane w teatrze oklaski, gdzie jedną kohortą wielbicieli dowodził.

Wiedząc, iż Lucjusz ma być przed Neronem postawiony, Celsus postarał się być przy rozmowie; przez niego więc powiadomiony byłem jak się odbyła. Gdy z więzienia wyciągniętego

przyprawiono owego wytwornisza, w zbrukanej odzieży, wybladłego, Cezar długo mu się z jakąś dziwną ciekawością przyglądał milczący. Chodził naokoło i ramionami wzruszał, trąc brodę rudą.

— Cóż to się z tobą stało, Lucjuszu — spytał — czyś ty oszalał, czy cię ta jakaś miłość w te kloaki zawiodła? To być nie może, żebyś ty chrześcijaninem został!

— Jestem nim, Cezarze — odparł Lucjusz spokojnie — a do tego mnie zawiodła nie miłość kobiety, ale miłość prawdy...

Neron pomilczał trochę.

— A wiesz ty, że chrześcijanie wszyscy umrzeć muszą?

— Wiem Cezarze, ale i ty umrzesz także — rzekł Lucjusz.

— Co śmiałeś wyrzec?

— Nie jesteś nieśmiertelnym... dłużej czy krócej kto żyje, śmierć przychodzi zawsze.

— A ty nie lękasz się śmierci? — zapytał Neron.

— Nie...

Cezar popatrzył znowu na niego z podziwem i trwogą zabobonną, potem zbliżył się jakby litując.

— Lucjuszu — odezwał się — byłeś mi niegdyś wielce miłym... porzuć to bezbożne szaleństwo, weźmij czarę i libacją przebłagaj Jowisza mściciela, każę cię puścić wolno.

— Cezarze — odpowiedział nawrócony — bóg twój nie jest moim Bogiem... wolę umrzeć niż Jemu stać się niewiernym.

— A cóż ci po śmierci?

— Śmierć mi przyniesie żywot inny, wieczny, ku niemu spieszę...

— Tak oni plotą wszyscy... — mruknął Neron — zbałamuceni przez swoich *unilitów* i czarnoksiężników... Lucjuszu — powtórzył — chcesz dwa dni do namysłu... to ci je daję... tak dobrze umiałeś klaskać, żal mi ciebie...

Kazano go odprowadzić do Tullianum.

Tymczasem Rupas zebrawszy dosyć ofiar, wielkie przygotowywał widowisko. Chrześcijan połapanych wszystkie lochy jego, mamertyńskie więzienie, Tullianum i jamy te, do których nieposłusznych sadzano niewolników, były pełne po domach siepaczy. Miano je oczyścić wkrótce, wiodąc naprzód więźniów przed ołtarze Jowisza, Westy, Cerery, a jeśli im ofiary złożyć nie chcieli, na śmierć różną: ukrzyżowanie, ścięcie, spalenie. Sąd względem chrześcijan nie był żadnym sądem, karę na nich wymierzano, jaka się podobała oprawcom. Tylko czasem przed igrzyskami w

amfiteatrze, część jakąś zostawiano dla dzikich zwierząt. Innych tłumami palono, topiono, zakopywano, krzyżowano. Nikt się tym nie troszczył, jaka ich śmierć czekała.

W dni kilka, gdy coraz groźniejsze dochodziły wieści o bliskim dniu męczeństwa, od którego już nic Sabiny ocalić nie mogło, upatrzywszy chwilę, gdy Rupasa nie było w domu, za sowitą zapłatę przez Rutyllę, żonę jego, wprowadzony zostałem do domu i więzienia.

Jakże ci opiszę, Gajuszu drogi, widok, który będę miał w oczach mych przez całe życie i w sercu! Rutylla wwiodła mnie w najciemniejszy kąt smrodliwego, wilgotnego domu, Sabina nie siedziała wprawdzie w jamie takiej, do której niewolników przez okno rzucono, ale w lochu nad nią może jeszcze okropniejszym. Schodziło się doń po schodach ciasnych, wykutych w starym murze, w których nie wiem jak zmieścić się mogłem... powietrze zgniłe i zatęchłe, im niżej spuszczaaliśmy się, tym bardziej dusiło pierś moją.

Idąc przodem Rutylla niosła lampę... w jej blasku, bo światła i okna nie było żadnego, ujrzałem w głębi nieszczęśliwą niewiastę w otworze wąskim, opartą o mur otaczający głową, i jakby na półuśpioną. Otwór ten, paszcza raczej, zowiąca się więzieniem, była tak szczupła, że się w niej ani położyć, ani nawet usiąść nie było podobna. Więzień stać musiał oparty, zgięty, złamany, dniem i nocą, bez światła, bez powietrza, bez garści słomy, którą nawet zwierzętom podścielają.

Słyszac szelest, Sabina otwarła oczy, była jeszcze na półuśpioną, a sądząc, że ją już na stracenie wieść mają, wyrzekła głosem cichym:

— Jestem gotowa...

Na ohydnej, zwiędłej i pokrzywionej twarzy Rutylii dostrzegłem szyderski uśmiech. Wtem blade światło padło na mnie, Sabina poznała, domyśliła się może i zadrżała.

— A Paweł mój? — spytała, składając ręce.

— Paweł jest bezpieczny — odpowiedziałem — bądź o niego spokojna.

— Juliuszu — rzekła po grecku nie chcąc być zrozumianą przez kobietę — naucz go kochać tego Boga, za którego ja umieram... niech do ciebie będzie podobny... obydwaj módlcie się za mnie. Ciało lub proch, jeśli można, złożcie w krypcie obok innych współwyznawców...

Łzy stawały mi w oczach, nawet dzika niewiasta zdawała się zdziwiona, jakby strwożona jej spokojem.

Sabina nie płakała, przytulona do zimnej ściany, drżąca, blada, patrzyła na mnie z pogodą i spokojem niepojętym, mnie dusiły pierś wezbrane jęki.

— Juliuszu — mówiła jeszcze — mam prośbę do ciebie drugą... Jeżeli będziesz mógł, przyjdź tam, gdzie mi zginąć przeznaczono, bądź tryumfowi przytomnym. Nie chcę, abyś brał ze sobą Pawła, na jego serce dziecięce widok byłby zbyt okrutny, choć dzieci chrześcijańskie zawczasu z męczarnią i śmiercią oswajac potrzeba... Ale tyś mężczyzna... ty mu powiesz kiedyś, jak matka jego, błogosławiac mu, umarła...

— Sabino, ale ja choćby w cudzie jakimś mam nadzieję... — zawołałem.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Na ziemi nie ma dla mnie żadnej — rzekła — dziś we śnie widziałam niebo i aniołów, jutro nas stąd wywiodą... Bądź zdrow... zobaczymy się, znajdziemy, ale na lepszym już świecie...

Głos jej słabł ze wzruszenia; domawiała tych wyrazów, gdy przestraszona, aby mąż jej nie nadszedł Rutylla — popchnęła mnie w górę na schody grożąc. Chciałem uklęknąć i stopy świętej męczennicy ucałować, schyliłem się, ale Rutylla uderzyła mnie kluczami, które trzymała w ręku i pogroziła Sabinie.

Znikła mi z oczu... wyszedłem pijany boleścią, z tej otchłani, nie wiedząc co się już działo ze mną. Sądzę, że Afer z innymi sługami musieli mnie gwałtem zawieść do domu Celsusa... gdzie nierychło do przytomności powróciłem. Chryzyp kazał mi krwi upuścić... Osłabły zwlokłem się nazajutrz z łoża, przypomniawszy sobie żądanie Sabiny i przepowiednię jej, że dnia tego stracona będzie. Tajono przede mną wszystko, ale Afrowi obiecawszy wolność, dowiedziałem się, gdzie chrześcijan tracić miano. Ogromne tłumy ciekawych cisnęły się wcześniej ku Wzgórzu Watykańskiemu — poszedłem, a raczej powlokłem się z nimi.

Mój osłabły wzrok nic nie mógł z początku pośród ścisku rozróżnić, oprócz dzikich twarzy siepaczy z powrozami, którzy pędzili, jakby wielką trzodę — ludzi. Stanęliśmy na placu, u stoku góry, na której wznosiły się trzy białe, do ofiar przygotowane, ołtarze... Trzech flaminów stało przed nimi z kilku kamillami do posługi, poniżej cała zgraja katów, pachołków z narzędziami śmierci i kilka drewnianych krzyży...

Jako matrona rzymska, Sabina do miecza przynajmniej miała prawo.

Gdy chrześcijanie opasani dokoła tym żywym murem stanęli odosobnieni, ujrzałem dopiero w ich szeregach Sabinę i Lucjusza, a obok nich niewolników i Żydów.

Chciwy zabawy krwawej lud wykrzykiwał, bezczeszcząc chrześcijan — jakże mi jego bezduszości i okrucieństwa wstyd było...

Czy Cezarowie stworzyli ten gmin, czy on Cezarów stworzył, nie wiem, lecz godni byli siebie.

Pędzono chrześcijan przed ołtarze, ale pomimo grózb i bicia, mimo wysiłków kapłanów, nie tknęli naczyń ofiarnych, i wszyscy po kolei przeszli tam, skąd już nie mieli powrócić.

Ujrzałem Sabinę nieugiętą, śmiałym krokiem postępującą za innymi, zatrzymała się u ołtarzy i uderzona odeszła... Potem przyszedł Lucjusz odarty, w jednej tylko tunice, boso, kat mu zerwał z ramion togę, błądy był ale nieczuły i jakby głuchy na krzyki oprawców. Gajuszu, była chwila, żem mu w duszy tej śmierci pozazdrościł.

Gdy po próżnych namowach i pogrózkach wszyscy skazani zepchnięci zostali na plac kary, tłum się uciszył, a wśród milczenia odezwała się, jakby z niebios pieśń przedśmiertna... Od głosu jej

poblady twarze, zadrżeli wszyscy...

Słońce było nad samym zachodem, dzień pochmurny i wietrzny... nagle, jakby cudem, gdy oni śpiewać poczęli, rozdarły się sine obłoki i gorący promień światła oblał na wzgórzu stojący orszak. Chrześcijanie widzieli w tym znak łaski i pieśń ich zabrzmiała głośniejsze — ale niedługo oprawcy rozlegać się jej dali.

Krwawy, straszny, ale wspaniały był to obraz... Tłum znowu głużył pieśń dzikimi wrzaskami. Byli to ludzie czy potwory z Puszczy Hirkańskich wypuszczone, znęcające się nad świętością boleści?

Cierpliwość i rezygnacja męczenników jeszcze zdawała się ich podżegać, z wściekłością miotali się na bezbronnych, którzy klęcząc, ze złożonymi rękami czekali zgonu, nucąc ciągle swoją pieśń.

Oczy miałem wlepione w Sabinę... stała, przodując gromadce niewiast; Ruta przy niej, wierna aż do śmierci sługa. — Podniosła głowę ku niebu, potem wydało mi się, że w tłumie wzrokiem mnie szuka i podniosłem w górę białe jej *sudarium*, to samo, które u wejścia do krypt znalazłem w dzień pożaru. Czy znak ten spostrzegła, nie wiem, ale skłoniła głowę na pożegnanie, rękę przykładając do serca. I jakby tego krótkiego ziemskiego uczucia pożałowała, zawstydyła się, uklękła zaraz, spuściła oczy, zaczęła się modlić...

Kat nadbiegł ku niej, pochwycił za włosy, które obciął, a potem zamachem jednym strącił głowę jej z ramion... Padła... widziałem krwi strumień, z którym drgało białe ciało... Krzyknąłem i nieprzytomny padłem na ziemię... W tej chwili z drugiej strony padał Lucjusz, innych podnoszono na krzyżach i rzucano na rozpalone stosy...

Nieruchomy, odrętwiały, mimo Afra i ludzi, którzy odciągnąć mnie chcieli, stałem w miejscu jak przykuty... postanowiłem pozostać, abym mógł z innymi współwyznawcami ciała świętej niewiasty ocalić i przenieść do wspólnych grobów chrześcijan... Gdy krew łać się poczęła, tłum, który wrzał i urągał, zamilkł; mimo grózb, zakazów i bicia, rzuciło się wielu chusty maczając w strumieniu czarnym, który się rozlewał po piasku. Oprawcy nielitościwie smagali sznurami i kijami, ale nic nie pomagało. Wśród tego zamieszania i wrzawy promień słońca zagasł, nadciągnęły czarne chmury, wichur zerwał się silny, szum jego stłumił powstające krzyki.

Ostłupiały patrzyłem, gdy nagle cisza się stała wielka znowu i z tłumu wystąpił człowiek jakiś, wołając:

— Chrześcijaninem jestem!...

I cisnął się w ręce katom, jakby domagając się śmierci.

Wśród oprawców i ludu zamieszanie powitało, postrach jakiś ogarniał wszystkich, rozstępowali się, uciekali od niego, nikt ująć go nie śmiał, nikt się dotknąć nie ważył. Człowiek ten ukląkł na piasku przy trupach i modlił się spokojnie. Jeden z katów oparty o miecz patrzył nań długo, zachwiał się, wypadło mu z rąk żelazo, załamał dłonie, zadrżał i upadł przy nim na kolana...

Za tymi dwoma nawróconymi, ze środka tłumu, zaczęli z płaczem i jękami cisnąć się i inni... reszta

patrzyła osłupiała...

Trwoga przejmowała widocznie wszystkich, niektórzy uciekać zaczęli, inni zadumani odchodzić, zwracając oczy ku niepojętemu widowisku. Dokoła mnie urywane słowa przestrochu i zdziwienia przelatywały, matki zabierały dzieci, mężowie odciągali żony, ciżba wracała do miasta...

Każdy zdawał się lękać zarazy, którą czuł w swym własnym sercu...

Pojąłem w tej chwili, że zwyciężeni zwyciężyli, że tryumf był nie przy mordercach, ale przy zamordowanych.

Gajuszu, ...chrześcijaństwo zwycięży świat! Gdybyś przytomnym był temu uroczystemu widowisku, tak jak ja byś rzekł. Siły tej nic złamać nie potrafi!

Rozpierzchły się na ostatek gromady ludu, ja z niewielu pozostałem, noc nadeszła, na placu zostawiono ciała męczenników, któreśmy bez przeszkody zabrać mogli.

Razem z innymi poszedłem tę ostatnią oddać jej posługę; zwłoki Sabiny zawinęliśmy w całun, który kobiety przygotowały, chustkę jej umoczyłem w tej świętej krwi ledwie zastygłej i schowałem ją dla jej dziecięcia... Było to świadectwo życia...

Ciała Lucjusza i innych podniesiono, okryto, zebrano najdrobniejsze szczątki i liczny orszak żałobny towarzyszył im poza murami miasta na Drogę Apijską do chrześcijańskich katakumb.

Łez było wiele wylanych, ale radość mieszała się z żalem, wszyscy czuli wielkość tego dnia... krew nie darmo została przelana. Uczucie tryumfu podnosiło serca, pieśni brzmiały weselem niebieskim...

Na przyjęcie zwłok zastaliśmy krypty nasze oświecone lampami, przybrane zielonymi gałęziami, jak wrota nowożeńca, gdy *sponsa* próg ich ma przestąpić...

Fossorowie przygotowali groby wcześniej. Na zwłoki Sabiny stary sarkofag był przeznaczony, na nim kapłan odprawił pierwszą ofiarę i stał się odtąd ołtarzem...

Położyliśmy na nim napis obyczajem chrześcijańskim...

SABINA MARCIA, ANIMA

DULCIS INNOCENS, ROGES PRO

NOBIS QUIA SCIMUS TE IN

(Sabino Marcjo, duszo słodka i niewinna prosz za nami

ponieważ wiemy, że jesteś w Chrystusie)

Chryzyp Zenonowi Ateńczykowi zdrowia

Z listem twym, stary mój, Nikiasz szukając mnie po Rzymie nie do jednego Chryzypa trafił wprzód, zanim mnie odnaleźć zdołał. Nigdy ja tu, gdzie skoczki i śpiewacy wszystkim są znani, głośnym nie był, a dziś ledwie o mnie wie ten kawałek ziemi, na którym siedzę w kącie term, prawie diogenesowym obyczajem... Nie jestem już niewolnikiem; lecz tym ci gorzej, bo mnie nikt nie karmi, nikt się nie troszczy o mnie, nikomu szkody śmiercią moją nie przyniosę, i wyszedłem na żebraka. Razem z nędzą przyszła też rozumna jej pogarda; nie lituj się więc zbyt nad mną. Życia ostatek pędzę patrząc na drugich życie, jakbym był na scenie i na lichych aktorów spoglądał.

Między nimi a mną nic wspólnego nie ma.

I pytasz mnie jak żyję? Uwierzysz, że domu nie mam; śpię w termach lub w gospodzie, często pod murem na drodze, gdy noc ciepła; wszystek majątek, wedle filozofa, nosząc z sobą, bo tunika i płaszcz dziurawy to całe mienie. Przetarłszy oczy idę się do studni chłodzić, lub na tanią kąpiel za ćwierć asa. Macellarius nakarmi mnie na dobre pół dnia; latem w cieniu, zimą na słońcu w termach miejsce sobie wybieram, na którym nikt siedzieć mi nie broni. Więc słucham i patrzę, a w duszy się śmieję i z wielkich Rzymian i z małych *graeculów*, co tu ojczyznę naszą tak nędźnie przedstawiają. Czasem zaczepi kto, zagada, niekiedy znajomy na *coenę* zaprosi; mogę się i wyspać u przyjaciela — ale za to wszystko jeśli nie pieniędzmi to językiem płacić trzeba. Nie lubię też do tego przywykać, czego mi łącznie zabraknąć może, wolę pod murem na ziemi spać, bo już mnie stamtąd nikt nie wypędzi, tuja gospodarzem i panem.

Takiego więc Chryzypa niełatwo w Rzymie Nikiaszowi odszukać przyszło, bo ich tu podobnych znajdzie dużo, jak zgniłych fig na gościńcu, ale na ostatek na kupie śmiecia trafiwszy na mnie, pismo oddał.

Żyjesz więc starowino Zenonie! A co więcej, widzę, że od świata pragniesz wieści, jak byśmy my dwaj, ty i ja do niego należeli. Każesz mi nawet stwardniałymi palcami brać się do pisania, które choć niegdyś kaligrafować umiały, dziś już ledwie ruszać się mogą.

Acz się twej słabości lituję, dogodzić jej pragnę; nie byłbyś Ateńczykiem. gdybyś ciekawym nie był.

Zapytujesz mnie o wiele, postaram się odpowiedzieć choć mało...

A naprzód ci powiem, że wychowanica twa ulubiona, jak i mój miły Juliusz, już na tej ziemi nie goszczą. Sabina Marcja przyjęła wiarę obcą, do Rzymu przywieziona z Judei, za jej przykładem poszedł Juliusz Flawiusz, ona też pierwsza ofiarą padła, on z innych powodów później.

O wierze tej, którą chrześcijańską zowią, coś wiedzieć musisz, ja niewiele; sądząc z uczynków

ludzi, którzy ją wyznają, milczę. Nigdyśmy, my Grecy, obcym bogom gościnności u siebie nie odmawiali: Theoksena nie tylko w Delfach obchodzoną, ale powszechnie u nas była przyjętą: Rzym, który nigdy nic nowego, oprócz szermierstwa i okrucieństwa, nie wymyślił, od nas ją także naśladował. Patrzono też zrazu na przybysza z Judei jak i na innych bogów gościnnych, dopóki się nie przekonano, że w świątyni, do której On wszedł, już żaden inny pozostać nie mógł.

Za czasów Hezjoda w Grecji naszej liczone już trzydzieści tysięcy bogów, od tej pory przybyło ich jeszcze, bo się rodzili nowi, a starzy umierać nie chcieli; — więc ta mnogość, obawiając się wygnania, wrzawy ogromnej narobić musiała. Gdzież tu się schronić i kędy pomieścić, a jak z boga spaść na prostą marę bez ciała, siły, imienia i ołtarza?

Wiare więc nową prześladować musiano, bo się obok innych mieścić i żyć z nimi w zgodzie nie chciała... ale ta, im więcej prześladowana, tym mocniej ku sobie pociągała. Wiesz Zenonie, iż zakazane rzeczy zawsze ludziom są najmiłsze, najchciwiej lecą za nimi, stary już Homer wiedział o tym... Gdyby też cnoty zabroniono, czyby to do umiłowania jej nie pomogło?

Ale przechodząc do rzeczy, o wierze nowej mówić ci nie chcę, złego bym nie mógł, dobrego nie potrafiłbym, z uczynków sądząc filozofami ich widzę; a że zwyciężają siebie i świat — przyklaskuję. Jakim sposobem oni prawdy, dla niewielkiej dotąd liczby ludzi przystępne, tłumowi uczynili pojętymi, i z zapalem je przyjmując nakazać mu potrafili — nie rozumiem. Zdumiewa mnie to, nie przeraża; widzę tylko, że tajemnic wrota otwarto dla wszystkich. Zresztą nie wyrokuję o tym co mi obce..., powiem, że u nich nie *Ek Dios archómetha* (Z Bogiem zacząłem) jak śpiewa Aratos, ale w Bogu koniec wszystkiego, przez Boga i z Bogiem idzie wszystko. Dotąd bogów było bez liku, ale życie się ich nie tyczyło; żyli oni sobie, ludzie sobie, niekiedy wzajem pomagając; człowiek Jowisza prosił, Merkury posłużył się człowiekiem, dwa były światy obok, ale oddzielnie istniejące — dziś u nich Bóg jeden, ale pod swe rządy objął wszystko i panuje.

Ślepy tłum kamieniami na nich rzuca, jam za stary bym się do tego brał, patrzeć wolę a końca czekać. Mówić więc będę, jak sobie z tym w Rzymie poczęto.

Oto, jak zwykli robić ogrodnicy; gdy wątłe drzewko posadzą — krwią je ciepłą podlewają.

Mądry Rzym, który barbarzyńców krwią i mieczem podbił, z bogami też wojuje tym samym sposobem, innego nie zna.

Uczennica twoja Sabina była jedną z pierwszych, co dostarczyły krwi na podlanie owego drzewa. Nie wiem, czy ty ją uczyłeś umierać raczej niż żyć, ale żyła godnie, a umarła nie jak słaba niewiasta, ale jak mąż stoickiej cnoty. Patrzyłem na tę śmierć, sobie życząc równie spokojnego, choć lżejszego zgonu, nie z ręki kata. Powinieneś bowiem wiedzieć, że razem z wieloma innymi chrześcijanami świętą została.

Rzymianie ścinać i niszczyć umieją; zobaczymy, czy też stworzyć co potrafią.

Juliusz Flawiusz, któremu Sabina twoja, dziecię swe powierzyła mając umrzeć, został wówczas ocalonym, lecz nie na długo. Neron wprowadzie widząc, że okrucieństwa jego przeciwko chrześcijanom nic zdziałać nie mogą i liczby ich nie zmniejszają, nieco się wstrzymał w

bezużytecznym krwi przelewie, lecz z każdym dniem o siebie lękając się więcej, kogo tylko posadzał, iż mu niechętnym być może, na śmierć skazywał. A że poczwara ta czuła, iż nikt kochać jej nie mógł, byłaby powoli świat wyludniła. Z każdym dniem nowe przychodziły wyroki, stosów pogrzebowych nigdy tyle nie widział Rzym, ani tyle łazien krwią zafarbowanych.

Rzym stał się pusty i straszny, a germańscy żołnierze mogli go przelatywać, jak niegdyś lasy swe i odludzia... Jeden człowiek miotał się u góry, Jowisza udając, reszta u nóg jego pełzała nie śmiejąc wyrzec słowa. Senat drżał o siebie, coraz nowe tytuły wymyślając dla Cezara i gotów mu zawsze przyklasnąć, choćby niewolnika swojego między nimi w senacie posadził. Posągi mu lano większe niż bogom, ale w milczeniu głuchym słyhać było złowrogi szmer i jakby drgania niecierpliwości.

Ruszyła się pierwsza Galia, którą łupiono w imię Cezara, wypowiedział posłuszeństwo Vindex, przyłączyli się doń inni legaci i dowódcy sąsiednich prowincji. Neron panował jeszcze, ale już tylko w Rzymie, poza wrotami jego odmawiano mu posłuszeństwa; srożył się, nie zważano. Jął tedy nowymi wyrokami przerażać, szukając ofiar jeszcze.

Juliusz Flawiusz w ścisłej żył przyjaźni z Celsusem, który niegdyś o Pizonowym spisku był uwiadomiony; ale za to, że miał uszy a ust nie miał, ukaranym jeszcze nie został. Wydano Celsusa, z nim Flawiusz pociągnięty został. Znalaziono listy, wykryto stosunki z Galii lugduneńskiej burzycielami. Celsusowi natychmiast umierać kazano — otworzył sobie żyły, trucizną dopomógł i umarł dobrze, bo prędko. U nas to stało się sztuką, są na to prawidła, nauczyciele, wzory, pomocnicy; wprawiono się w Rzymie w umieranie zręczne i przyzwoite: Lukan umierał wierszem, Seneka prozą, inni po żołniersku, inni sybaryckim obrachowaniem, aby śmierć do lekkiego snu po wieczerzy mogła być najpodobniejszą.

Weszło w zwyczaj, jak kobiety alabastry (z wonnościami), nosić *pyxidy* złote z trucizną, aby być zawsze na zawołanie gotowym, a Lokusta nie mało ich napełniła.

Niektórzy do takiej rozmyślanem doszli biegłości, że gdy centurion do drzwi niosący rozkaz zawitał, nim mu otworzono, już byli w kąpielu z otwartymi żyłami...

Flawiusz, któremu, jak się zdaje, wiara jego zadać sobie samemu śmierci nie dopuszczała, czekał na żołnierza i przyjął go mężnie. Spóźniał się umyślnie Neronowy siepacz przez grzeczność, aby Flawiuszowi dać czas samemu sobie odjąć życie; sądził, że go już umierającym zastanie; zdziwił się, spostrzegłszy siedzącego spokojnie.

— Wiecie — rzekł — z czym przychodzę.

— Domyślam się; spełnijcie rozkaz — odpowiedział Juliusz.

— Nie wolelibyście sami go uprzedzić — odezwał się żołnierz — nie macież męstwa?

— Śmierć ponieść, umiem — rzekł Juliusz — ale życia sobie odebrać prawa nie mam.

Żołnierz się zdziwił, widząc pierś obnażoną, popatrzył, dobył miecz z pochwy i pchnął w serce...

Zostałem wówczas sam z sierotą Sabiny, Pawłem małym, z którym — przyznaję się — nie

wiedziałem co czytać. Wszystko co mieli skazani, na skarb zabrano, wyszliśmy na ulicę z odrobiną odzieży na plecach, którą nam zabrać dozwolono z litości. Byłbym miał Wielką troskę o utrzymanie dziecięcia, gdyby mi jakiś nieznany starzec drogi nie zaszedł i nie spytał o nie, wymieniając nazwisko jego i matki. Zapytałem, kim jest; rzekł mi, że chrześcijaninem jest, a opieka nad sierotą chrześcijanki do nich należy. Powierzyłem mu je, i nie żałuję tego, bo chłopię umieścił w zacnym domu, gdzie i matkę przybraną, i ojca, i czułe znalazło, jakby rodzicielskie, staranie. Chrześcijanie bowiem są jedną wielką rodzinną wspólnotą, a obowiązkiem jest wszystkich wspólnie się wspomagać.

Gdybym był płakać umiał, płakałbym po moim Juliuszu, ale łzy dawno mi wyschły, niewolnikiem jeszcze łać je przestałem... Serce mi się ścisnęło, pożegnałem pocałunkiem biednego młodzieńca. Myślałem, że mu pogrzeb wyżebrać potrafię, ale ciało znikło... widać, że chrześcijanie je do swych grobów zabrać musieli.

Neron potem panował jeszcze, ale to już był schyłek jego władzy... słyszałem szepczących wokoło nieustannie: kiedyż koniec temu będzie? Jedne po drugich wieści nadbiegały z Galii, on niby gotował się iść przeciwko zbuntowanym, ale wozy przysposabiał, dwór zbierał, z dnia na dzień odkładano wyprawę; widać było, że nie wiedział czego się chwycić, co. z sobą począć. Posyłał do Ostii, aby przysposobić okręty, to znów wybierał się do Galii, to oddać chciał władzę i z cytarą w rękę na chleb zarabiać. W porywach niecierpliwości tłukł naczynia, wywracał stoły, bił swe kochanki, groził, ale siły nie miał, by coś stanowczego obmyśleć i wykonać. Doczekał się w końcu tego, że na sam tylko głos idących legii... Rzym go opuścił, rozbiegli się przyjaciele, dwór, sojusznicy, kochanki, kochankowie, żołnierz nawet pieszczony i płacony na to, by go zastaniał i bronił... Wszystkie drzwi się przed nim pozamykały, ludzie uciekli; półnagi, wylękły, oszalały, nocą wśród burzy wyleciał do Rzymu... szukać śmierci, której znaleźć nie umiał. Żył jeszcze, ale już przestał panować... żołnierz go spotkał, poznał i zabić nawet nie chciał... Wstydlivy to był koniec panowania sromotnego... nędza, głód, przestrasz, podłość ludzi, których podłymi być uczył, dały mu się odczuć przed zgonem. W końcu histrion nie tyle panowania i życia, co swego talentu artysty przedwcześnie konającego żałował...

Na tym tragikomedia Neronowa się skończyła ale nie Rzymu plugawego. Teraz, gdy Neron upadł, gdy został zabity, gdy się go już nie lękano, senat go głosił ojcobójcą, wczorajsi pochlebcy plwali na jego pamięć; chlubił się każdy, że go nienawidził... Stałem i śmiałem się...

O Rzymie! Rzymie, nie zabraknie ci Neronów! Słusznie mówił Kornutus, twoja podłość i nikczemność ich rodzi, twe pochlebstwo wykarmia, twoja rozpusta rozwiązłymi czyni. Rzymie, tyś godzien był Cezara, a Cezar godzien tobie panować...

Patrzę jeszcze i śmieję się, Zenonie... bogowie wiedzieć muszą do czego to wszystko służy; jam głupi, nie rozumiem. Widzę mimów i aktorów na scenie, ale końca sztuki się nie domyślam, a nie dożyję go pewnie...

Mówisz mi, bym porzucił nienawistną mi kloakę rzymską i do Aten powrócił; nie, Rzymu nie cierpię, alem do niego przywykł; nie rzucę go, aby nowej nienawiści szukać. Z dała Ateńską czcę Minerwę, a nużbym i jej, jak tu Jowiszowi Kapitolińskiemu, stał się niewiernym... Niedługo też chodzić będę po splugawionej przez rzymskie żołdactwo ziemi.

Pod koniec uczty gdyś na łożu dobrze się rozsiadł, gdyby ci konsularne miejsce ofiarowano, czybyś je przyjął? Nie warto...

Mam tu już dobry kąć pod murem, gdzie mnie stare drzewo figowe, bluszcze i winna latorośl osłaniają. Kamienie bokami wytarłem, że mi wezglowie zastępują i przyszły do miary; wiem kędy woda najświeższa i w której tabernie najtańsze oliwki i placek... Po co mi więcej?...

Którejś nocy stężeje ciało powoli, psyche uleci, a przechodnie zdziwią się starym kościom nad drogą, które przez litość spalić będzie potrzeba i kędyś w kącie *poliandru* porzucić...

Παρεζγισον*

[odrzuć smutek]

Słowniczek

Achaja — Grecja

Aenobarbus i Ahenobarbus — Rudobrody, przydomek Nerona

agapy — uczty pierwszych chrześcijan na pamiątkę Wieczery Pańskiej, uczta miłości

agora — rynek

Agrypina — matka Nerona, stracona z jego rozkazu

Agrypy — gmachy pałace, ogrody i termy na polu Marsowym

Akademios — mityczny bohater grecki; jego czci był poświęcony niedaleko Aten gaj i gimnazjum. Nauczał tam filozof Platon

Akropolis zamek ateński, najokazalsza część Aten na skalistym i stromym wzgórzu. Tu były wspaniałe budowle i świątynie ateńskie: Propyleje, Erechtejon, Partenon... tu stał olbrzymi posąg spiżowy Ateny, widoczny z dala każdemu, kto się zbliżał do miasta

Akte — wyzwolona niewolnica, przyjaciółka Nerona. Dla zachowania pozorów wywodzono jej pochodzenie z królewskiego rodu Attalusa

alabastry wyroby z alabastru, czyli drobnokrystalicznego minerału, odmiany gipsu, stosowanego w rzeźbiarstwie oraz do wyrobu naczyń i drobnych przedmiotów ozdobnych.

amanuesis pisarz, sekretarz

ambubaje syryjskie flecistki i tancerki amfiteatr budynek, w którym odbywały się zapasy. Tym różnił się od teatru, że siedzenia dla widzów były wokół areny

amfora — dzbanek dwuoszny. Starożytni Grecy i Rzymianie przechowywali wino w dzbanach glinianych

Ancjum — miasto na południe od Rzymu, miejsce urodzenia Nerona; dziś Port d'Anzio

antydotum — odtrutka

Antystiusz — Lucjusz Antystiusz Wetus razem z Neronem sprawował urząd konsula w r. 55. Następnie był wodzem wojsk w Germanii, teść Rubeliusza Plauta (patrz Rubeliusz), jeden z najlepszych obywateli Rzymu. Popułnił samobójstwo wraz z teściową i córką, aby uniknąć śmierci z rozkazu Nerona

Apijska Droga (via Appia) — gościniec łączący Rzym z południową Italią. Dochodził do portu

Brundisium; zbudował go cenzor Appiusz Claudiusz Caecus pod koniec IV w. przed Chr. Droga ta istnieje jeszcze do dnia dzisiejszego

apotheosis — ubóstwienie

Aquae Albulae — kąpiele siarczane koło miasta Tibur (dziś Tivoli)

archontowie — urzędnicy w liczbie dziewięciu w Atenach, wybierani corocznie, spełniający naczelną władzę

arenaria piaskarnie, miejsca wydobycia piasku

Areopag — najwyższy sąd grecki w Atenach starożytnych, odbywał narady na wzgórzu Aresa

Arria — cnotliwa i wielkoduszna żona Trazei

as — najmniejsza moneta zdawkowa rzymska

Aspazja — żona Perykiesa, sławnego męża stanu w Atenach w. V, słynna z piękności i wykształcenia

atrium — najważniejsza sala domu rzymskiego, w której skupiało się życie rodzinne Rzymian. W czasach cesarstwa atrium było salonem, w którym przyjmowano gości

augurowie — kapłani, przepowiadający przyszłość z lotu ptaków, wnętrzości zwierząt itp.

augustanie — raczej augustianie, znęceni widokiem zysków silni i przystojni młodzieńcy stanu rycerskiego, stanowili orszak wielbicieli Nerona, oklaskując obowiązkowo jego występy publiczne i popisy

Augustów uroczystości — zmarłym cesarzom od czasów Augusta oddawano cześć boską, budowano dla nich świątynie, odprawiano nabożeństwa, ustanawiano specjalnych kapłanów

Aulus Persiusz Flaccus — poeta rzymski za czasów Nerona. Napisał zbiór satyr, w których piętnuje upadek moralności za panowania Nerona

Bachantki uczestniczki uroczystości, odbywanych w ekstazie w górach i lasach na cześć Bachusa

Baje — słynna nadmorska miejscowość kąpielowa opodal Neapolu

balwierz — fryzjer, golarz, felczer

barwena — (po łac. mullus) — gatunek bardzo cennej morskiej ryby jadalnej

Bassus — Caesius Bassus, rzymski poeta liryczny z czasów Nerona, przyjaciel poety Persjusza

Batyllus Bathyllus, rzymski poeta liryczny z czasów Nerona, przyjaciel poety Persjusza

bestiarius — gladiator, walczący ze zwierzętami w cyrku

biga — wóz, zaprzężony w parę koni

Bóg nieznany — takiemu bogu nieznanemu (Ignoto deo), lecz pomimo to czczonemu, wystawiono ołtarz w Atenach

Brytanikus syn cesarza Klaudiusza i Messaliny, który został otruty przez Nerona, jako prawowity pretendent do tronu

Bulla aurea — ozdoba noszona na piersi aż do pełnoletności

Burrus Afraniusz — dzielny i rycerski opiekun młodego Nerona, prefekt pretoriańskiej gwardii, wraz z Seneką usiłował kierować krokami cesarza

Całun — żałobne przykrycie trumny

carpe diem — chwytaj dzień (z Horacego), wykorzystuj każdą chwilę

cavea — miejsce dla widzów w teatrze Celer budowniczy, który wspólnie z drugim budowniczym Sewerem, wystawił po pożarze Rzymu dla Nerona pałac na Palatynie

cela — ta część świątyni, w której stał posąg bóstwa

celes — koń pod siodło, wierzchowiec

Celiusowa góra — jeden z siedmiu pagórków Rzymu na wschód od Palatynu

Celsus — przypuszczalnie Mariusz Celsus centurion niższy oficer, dowodził centurią (kompanią)

Cerera — bogini płodów rolnych, na jej cześć urządzano w Rzymie igrzyska corocznie w kwietniu, tzw. Ludi Cereales

chalcedonowy — zrobiony z chalcedonu; chalcedon — półszlachetny kamień przeświecający, o pięknym zabarwieniu

Chaldeja — inna nazwa Babilonii, kraina znana w starożytności z astrologów i czarowników

Chryzyp — niewolnik, następnie wyzwoleniec grecki, nauczyciel i przyjaciel Flawiusza, postać zmyślona przez Kraszewskiego. Autor, chcąc dobitnie zaznaczyć jego poglądy stoickie, dał mu imię wielkiego stoika greckiego, Chryzypa z w. III

coa vestis — delikatna cienka tkanina

codicilli tabliczki, powleczone woskiem, używane do pisania listów, rachunków, testamentów i różnych notatek, nie wymagających długiego przechowywania. Codicilli Wejenta Aulus Didius Fabricius Veiento, pretor z czasów Nerona, występował w swych zjadliwych „Codicilli” przeciw senatorom i kapłanom

coena uczta; coena tertia trzecie danie; przy ucztach Rzymianie siedzieli na półleżąc na sofach, znajdujących się dokoła stołu w liczbie trzech. Czwarty bok stołu był wolny. Sofa środkowa była miejscem honorowym

columbarium — dosł. gołębnik, pomieszczenie do przechowywania urn z prochami zmarłych

compluvium — otwór w dachu atrium, którędy wpadała woda deszczowa do umieszczonego pod nim basenu, impluvium

conditorium — pomnik grobowy, grobowiec

cubiculum — sypialnia

Cybela czyli wielka matka bogów, bogini czczona w Małej Azji, stamtąd kult jej dostał się do Grecji i Rzymu. Na cześć jej urządzano w Rzymie corocznie w kwietniu igrzyska, zwane „Megalesia”

cynik — zwolennik filozofii cyników, tak nazwanych od gimnazjum ateńskiego na wzgórzu Kynosarges, w której nauczał twórca tej szkoły, Antistenes. Dziś nazwa ta oznacza człowieka kpiącego ze wszystkiego

cyrk — zabudowanie koliste z areną w środku, gdzie odbywały się widowiska atletów, zapasy i walki dzikich zwierząt

cytara, czyli lutnia (lira) — starożytny instrument muzyczny siedmiostrunowy, na którym grano pałeczką

cytareda — muzyk grający na cytrze, lutnista

Demiurgos — wyraz grecki — Stwórca

demony — duchy pośredniczące między ludźmi i bogami, dziś demon oznacza złego ducha

diadem — korona

Diana — bogini zwierząt leśnych i lasów diatryba przemówienie lub utwór literacki odznaczający się gwałtownym tonem, popularny wykład filozoficzny w formie rozmowy

Diogenesowa latarnia — wedle legendy filozof Diogenes zjawił się pewnego razu w jasny dzień, na rynku z zapaloną latarnią. Gdy zdziwieni znajomi zapytali, co to ma znaczyć, odpowiedział, że

szuka człowieka. W ten sposób wyrażał swe przekonanie, że nie ma w mieście prawdziwych ludzi.

diogenesowy obyczaj — Diogenes pił wodę dłonią, odrzuciwszy kubek, aby w ten sposób zmniejszyć swoje potrzeby. Diogenes, filozof z IV w. przed Chr. był cynikiem (patrz cynik).

Domicjusz Afer — i wymieniony z nim Serwiliusz Marek — doskonalili mówcy. Pierwszy z nich słynął jako obrońca, drugi uprawiał nadto dziejopisarstwo

Domicjusz Balbus — bogaty Rzymianin, były pretor. Bogactwa jego skusiły kilku młodych Rzymian, pochodzących z wybitnych rodzin, między nimi Marcellusa, wnuka sławnego Asyniusza Polliona do sfalszowania testamentu Balbusa

Domicjuszowego syna dworak — dworak Nerona, był bowiem Neron synem Domicjusza Ahenobarba

duodecim scriptorum — dwunastu pisarzy Dydona królowa Kartaginy, miała skarby, przywiezione z Tyru, zakopać przed śmiercią w ziemi. Do Nerona, opętanego rozrzutnością i żądzą pieniędzy, zgłosił się Punijczyk, Caesellus Bassus, jakiś maniak z doniesieniem, że na jego gruntach ukryte są olbrzymie masy złota mitycznej założycielki Kartaginy, Dydony. Łatwowierny Neron wysłał z nim ekspedycję do Afryki celem odkopania skarbu. Po daremnych poszukiwaniach według wskazówek kierującego się sennymi przywidzeniami Bassusa, który wskutek zawodu miał sobie odebrać życie, zaniechano trudu

Edykt — rozporządzenie

Egeria — nimfa źródłana; lasek Egerii lasek, poświęcony Egerii

elaeothesium — miejsce do przechowywania oliwy

Emilom za Amilonów — gra wyrazów, oznaczająca tłumienie na oślep sprzysiężenia przeciw Neronowi

Encheiridion — Dzieło Arriana z Nikomedii powstałe pod wpływem nauk Epikteta, filozofa greckiego (50–138)

Epafrodytus — zaufany wyzwoleniec Nerona, który dopomógł Neronowi, gdy mu zabrakło odwagi, odebrać sobie życie

Epicharis — piękna wyzwolenica — udział w spisku przeciw Neronowi przypłaciła życiem

epigramat — krótki utwór poetycki o treści satyrycznej

Epiktet (I w. po Chr.) — wyzwoleniec, filozof stoicki. Według stoików najwyższym celem człowieka jest cnota, wszystko inne jest bezwartościowe (patrz: stoicyzm)

eques Romanus — rycerz rzymski, członek bogatej warstwy arystokratycznej, która dostarczała najwyższych urzędników

Eskulap — bóg sztuki lekarskiej. Świątynia jego znajdowała się na wyspie Tybru w Rzymie

Eskwilin — jeden z siedmiu pagórków Rzymu, na północny wschód od Palatynu

Eurydyka — żona bajecznego pieśniarza Orfeusza, która wcześniej zmarła, ukąszona przez węża. Orfeusz podążył za nią do podziemia i tu przecudną grą tak rozczulił bóstwa podziemne, że pozwoliły na powrót Eurydyki na ziemię pod warunkiem, że wychodząc, nie obejrzy się na żonę. Nie mógł jednak spełnić wymagania bogów i stracił żonę na zawsze

ewandrowy przymiotnik od imienia własnego Ewander (Euander). Miał on, przybywszy z Arkadii nad ujście Tybru, założyć osadę na Palatynie długo przed powstaniem Rzymu.

exedry — rotundy, sale do przyjęć

falern — gatunek drogiego wina, pochodzący z ager Falernus w Kampanii

filipika — ostra mowa oskarży cielska. Pierwsze filipiki wygłosił Demostenes, największy mówca grecki w Atenach, przeciw królowi macedońskiemu, Filipowi

flamen dialis — kapłan Jowisza, doznawał wielkiej czci i miał prawo posługiwania się odznakami najwyższych urzędników

flamen Quirinalis — kapłan Kwiryna. Rzymianie czcili Romulusa, ubóstwianego pod nazwą Kwiryna

Flawiusz Marek — dobrodziej autora listów Kraszewskiego, Juliusza Flawiusza, odpowiada znanej z dzieła Tacyty postaci senatora Flawiusza Scewinusa, który według słów historyka, „jako gnuśny rozpustnik senne życie prowadził”

Flawiusz Subriusz — trybun pretorianów, uczestnik spisku Pizona przeciw Neronowi

forum — w środku Rzymu leżało forum; miało ono kształt czworoboku nieforemnego. Tam koncentrowało się życie polityczne i sądowe. Naokoło forum stały najpiękniejsze budowle publiczne, jak świątynie, archiwum i kuria (budynek obrad senatu)

fossor — grabarz, kopacz

fullonika — (pilą fullonica) warsztat folusznika, a zarazem pralnia, która przyjmowała togi do prania i odnawiania

furie — trzy boginie groźne pomsty i odwetu: Allekto, Tysifone i Megera. Przedstawiano je jako skrzydlate postacie z pochodniami w rękach i wężami we włosach

Galia Lugduneńska — południowa część dzisiejszej Francji w okolicy miasta Lyon

garum — sos lub zupa z ryby albo owoców

Gemonie (po łac. scalae Gemoniae) — schody gemońskie, nazwa skały u stóp Kapitolu, po której wleczono zwłoki zbrodniarzy z więzienia do Tybru

gineceum — mieszkanie kobiet w głębi domu

gladiatorzy — jeńcy wojenni lub niewolnicy, utrzymywani przez prywatnych przedsiębiorców i kształceni przez zawodowych atletów i fechtmistrzów. Występowali w zapasach, walcząc ze sobą i dzikimi zwierzętami

glutinator — sklejający

godzina dwunasta — według rzymskiego czasu oznacza zachód słońca. Rzymianie dzielili dzień od wschodu do zachodu słońca na dwanaście godzin, wobec tego godzina pierwsza przypadała na wschód słońca, szósta na południe, dwunasta na zachód

habet — ma! Okrzyk ten wydawano na widok zapaśnika, gdy w cyrku otrzymał cios śmiertelny

Hebe — bogini młodości, usługiwała przy ucztach bogów na Olimpie

Hermes — syn Zeusa i Mai, był bogiem gimnastyki, handlu i przemysłu, posłańcem Zeusa; wyobrażano go pospolicie w postaci pięknego młodzieńca w kapeluszu ze skrzydełkami, w sandałach również uskrzydłonych

histrion — aktor, komediant, kuglarz

Homer — największy poeta grecki, twórca Iliady i Odyssei

Horacy — najwybitniejszy liryk rzymski, żył za cesarza Augusta. W wierszach swoich często opiewa Tibur, miasto niedaleko Rzymu, położone w uroczej okolicy górskiej nad rzeką Anio igrzyska forma oddawania czci bogom. U Greków przybierały igrzyska formę nabożeństwa; u Rzymian były one widowiskiem, w którym występowali aktorzy i atleci zawodowi. Wielkie upodobanie znajdowali Rzymianie w zapasach gladiatorów z dzikimi zwierzętami

Ilion — Troja

impluvium — basen w atrium, służący za zbiornik wody deszczowej, wpadającej przez otwór w dachu, zwany compluvium

In pace — napis nagrobkowy: w pokoju (domyśl, niech spoczywa)

insula — dom mieszkalny

Izyda — egipska bogini. Kult jej dostał się w III w. przed Chr. do Grecji, a następnie i do Rzymu, gdzie bogini tej oddawano wielką cześć. W czasach Chrystusowych zaćmiła prawie wszystkie inne bóstwa

Izydor — filozof szkoły cyników; opowiada o nim Swetoniusz, że ośmielił się publicznie drwić sobie z Nerona w jego obecności, co mu uszło bezkarnie

Jovi liberatori — Jowiszowi wybawicielowi. Jowisz, najwyższy bóg rzymski, pan nieba i ziemi, karzący za grzechy piorunem, miał w Rzymie wielką świątynię na Kapitolu, jako opiekun miasta. Był czczony pod różnymi przydomkami, np. liberator — wybawca, stator ten, który powstrzymuje chwiejące się w bitwie szeregi

Junia Sylana — można Rzymianka, wdawszy się w intrygi między Agrypiną, matką Nerona — a cesarzem, została skazana na wygnanie, skąd nie wróciła. Wyzwoleniec Parys odegrał w intrydze rolę narzędzia

Junona — małżonka Jowisza, królowa bogów, czczona w całej Italii. Pierwszego marca kobiety obchodziły święto Junony, zwane „Matronalia”

juvenalia — igrzyska teatralne, wprowadzone przez Nerona

Kaligula — cesarz rzymski, następca Tyberiusza (37–41). Pełne nazwisko: Caius Caesar Caligula (Gajusz Cezar Kaligula)

kamillowie — młodzieńcy, pełniący służbę w świątyniach

Kapeńska brama — jedna z bram w murach Rzymu, leżąca w stronie południowej, z niej wychodziła Droga Apijska

Kapitol — najważniejsze z siedmiu wzgórz, na których leżał Rzym; na jednym szczycie znajdował się zamek, a na drugim świątynia Jowisza Kapitolińskiego

Kasjusz — (Asklepiodot), wmieszany w proces Petusa Trazei i prokonsula Sorana, oskarżonego o przyjaźń z Rubeliuszem Plautem i o nadużycie władzy, został wygnany z Rzymu, majątek zaś jego skonfiskowano katakumby — chodniki i cele podziemne, gdzie dla modłów gromadzili się pierwsi chrześcijanie, dziś krypty pod kościołami lub grobowce pojedyncze

Klaudiusz — cesarz rzymski (41–54)

Klient — poddany. W starożytnym Rzymie byli ludzie, zależni od rodów możniejszych, zwani klientami

kohorta — oddział wojska, 1/10 części legionu

Komagena — północna część Syrii

koncha perłowa — muszla, której skorupa wewnątrz jest wyścielona białą warstwą, używana do ozdób

konsulat — urząd konsula; wino nie z dzisiejszego konsulatu — wino nie z tego roku, lecz starsze; Rzymianie nazywali rok imionami sprawujących przez rok swój urząd konsulów

kopista — przepisywacz

Korneliusza prawo — (Lex Cornelia), wydane przez dyktatora Sullę, karało fałszowanie testamentu wygnaniem i konfiskatą majątku

Kornutus Anneusz — (Lucius Annaeus Cornutus), wyznawca filozofii stoickiej, przez swoją otwartość i prawdomówność ściągnął na siebie gniew Nerona, który go w 66 r. skazał na wygnanie; przyjaciel Persjusza, wydał po śmierci poety jego satyry

Korynt — miasto greckie, leżące na Istnie (przesmyk Koryncki), ważny punkt handlowy, znany z wyrobów garncarskich

Kossucianus — Cossutianus Capito, oskarżony o zdzierstwa, których dopuścił się w czasie zarządzania prowincją Cylicją, został zasądzony, ale uratowany przez swego teścia Tygellina (patrz Tygellinus). Oskarżył następnie przed Neronem Antystiusza i Trazeę

kryptoportyk kryta hala, sklepiony podziemny korytarz

ksenodochos (z grec.) — właściciel gospody

ksyst (xystus) — portyk

lacerna — płaszcz z kapuzą, jego używanie upowszechniło się w Rzymie za czasów Cezarów

lacernula — patrz lacerna laganum — placek na oliwie

lary i penaty — duchy przodków, opiekujące się rodziną. W każdym atrium miały swoją kapliczkę. Przenośnie lary i penaty oznaczają ognisko domowe. Przeniesić lary i penaty znaczy: przeprowadzić się

latrunculus — rozbójnik

legat — zapis uczyniony w testamencie

legia lub legion — oddział wojska, odpowiadający naszemu pułkowi. Liczył on 4000 piechoty ciężkozbrojnej i 300 jazdy

lektyka — ozdobne nosze, używane przez zamożnych Rzymian w mieście i często w podróży zamiast powozu. Do niesienia lektyki używano dwóch, czterech lub ośmiu ludzi

lemury — według wierzeń starożytnych Rzymian dusze zmarłych

libacja — płynna ofiara, najczęściej z wina przed ucztą na cześć bogów

libertina — kobieta, która była niewolnicą, a następnie została wyzwolona

libertinus — wyzwoleniec

lira — patrz cytara

logomachia — walka na słowa

Lokusta — imię trucicielki, którą posługiwał się Neron

Lukan — rzymski poeta za czasów Nerona, krewny Seneki. Najważniejszym jego dziełem jest epopea pt.: „Pharsalia” w 10 księdze, opisująca wojnę domową między Cezarem a Pompejuszem. Za udział w spisku Pizona skazany na śmierć. W obliczu kaźni nie okazał męstwa

luminare — świecić, rozświecać

lunapary — domy publiczne

lustralna woda — święta woda oczyszczalna, używana przy obrzędach religijnych

macellarius — handlarz mięsa

makri Tejche budować długie mury

malwowe liście — liście ślazu, służyły jako najprymitywniejszy pokarm

Marcellus Asinius Marcellus, wnuk Asiniusza Polliona, sławnego mówcy i pisarza, brał udział w fałszowaniu testamentu Domicjusza Balbusa

Mars — bóg wojny; marsowe trudy — trudy wojenne

Marsowe pole — obszerne błonie nie zabudowane, ciągnące się na północ od Kapitolu aż do Tybru mauzoleum budynek wspinały, służący za grobowiec

Meockie jezioro nazwa starożytna morza Azowskiego (Lacus Maeotis)

mila rzymska — liczyła tysiąc kroków (1,5 km). Na gościńcach rzymskich stały kamienie milowe w odległości mili od siebie

Milichus — patrz Flawiusz Scewinus

mima (mimus) — komediant, aktor

Minerwa Pallas — Minerwa jest rzymską nazwą greckiej bogini Pallady (Ateny). Pallas (Minerwa) była opiekunką nauki i boginią mądrości

Mitra — bóg perski, którego cześć rozpowszechniła się w Rzymie w I w. po Chr., jako boga słońca i światłości

Mizenum — miasto w Kampanii nad morzem Tyrreńskim, obejmowało port handlowy i wojenny

Montanus Juliusz — młodzieniec senatorskiego rodu, napadnięty nocą przez Nerona w zaułkach Rzymu, gdzie cesarz dla rozrywki ze swą drużyną urządzał napaści, rabunki i tumulty, nie domyślając się, że to cesarz stawiał mu skuteczny opór. Poznawszy Nerona, przeproszał go i prosił o przebaczenie. Cesarz kazał mu się zabić. Należało raczej udać nieświadomość, z kim się miało zajście.

moritura te salutat — idąca na śmierć pozdrawia cię: lekka odmiana słów „morituri te salutant, Caesar”, idący na śmierć pozdrawiają cię, Cezarze, którymi witali cesarza gladiatorzy, wchodzący na arenę do walki

most Mulwijski — most na Tybrze 4 km na północ od Rzymu, „miejsce tajemnych schadzek

mozaika — obrazy na podłogach, rzadziej na ścianach, utworzone z małych kawałków różnokolorowych marmurów. Najładniejsze mozaiki znaleziono w Pompei

Muza — bogini sztuk pięknych i nauk neofita — świeżo nawrócony na wiarę chrześcijańską

Neptun — bóg morza, oznaką jego był trójząb

Numy gród — Rzym, pamiątki Numy grodu — świątynie, Numa bowiem, drugi bajeczny król rzymski, uchodził za twórcę rzymskiego kultu religijnego.

Odojporikón — podróżny, związany z podróżą

Oktawia — pierwsza żona Nerona, którą pojął i nająć lat szesnaście. Wgnana i straszliwie stracona z jego rozkazu

Omfalia — królowa Lidii, u której był na służbie mityczny bohater Herakles, oddając się zajęciom niewieścim; stąd jest ona symbolem odbierającego hart wpływu kobiety na charakter męski.

Orfeusz — mityczny muzyk grecki. Po stracie swej żony Eurydyki udał się za nią do podziemia i tu przecudną swą grą tak rozczulił bogów, że zezwolili na powrót Eurydyki na ziemię (patrz Eurydyka). Mit o Orfeuszu jest częstym motywem w sztuce starochrześcijańskiej (patrz: znaki i godła)

Ostia — port Rzymu przy ujściu Tybru

ostiariusz — odźwierny

Ostyjska brama — jedna z bram w murach Rzymu, z niej wychodziła droga prowadząca do portu Ostia

Othon — Otho Salvius, przyjaciel młodości Nerona, towarzysz jego wybryków, pojął za żonę Poppeę, która później wyszła za Nerona.

Palatyn — jedno z siedmiu wzgórz Rzymu; najstarszy Rzym leżał na Palatynie, za cesarstwa stał tam pałac cesarski

Pallas — wyzwolieniec, zausznik Agrypiny, budzącej grozę matki Nerona

Parta — strzała Partowie, lud bitny, walczący głównie jazdą, uzbrojoną w łuki, mieszkał na wschodnich rubieżach państwa rzymskiego, z którym często staczał boje

Partenope — pierwotna nazwa Neapolu patrycjat arystokracja, szlachta, szlachectwo

Pedaniusz Secundus — były prefekt Rzymu i konsul został wedle Tacyta zamordowany przez własnego niewolnika za Nerona. Zdarzenie to tłumaczono jako groźny znak możliwego buntu niewolników

penaty — patrz: lary

peplum — powłóczysta, w fałdy ułożona suknia kobieca pergaminowe zwoje — Rzymianie pisali na papirusie lub pergaminie. Książka miała kształt zwoju, to znaczy była napisana na długim pasie pergaminu, podzielonego na strony. Pas nawijano na wałek. Przy czytaniu odwijano coraz dalsze strony

perystyl — podwórze domu rzymskiego, otoczone kolumnadą

Pigmalion — mityczny król Cypru, zakochał się w posagu Wenery z kości słoniowej i ożywił go swoim tchem piramida — dzieło sztuki egipskiej. Grobowce kamienne staroegipskie

pirejski port — Pireus, port ateński. Już za Temistoklesa obwarowano port ateński, Pireus (493 r. przed Chr.) i zaczęto budować tzw. długie mury, które na przestrzeni 7 km ubezpieczały z obu stron

drogę, prowadzącą z Aten do portu. Mury te, dające gwarancję, że miasto nie będzie odcięte od portu i komunikacji morskiej na wypadek oblężenia, ukończono za Peryklesa (452 r. przed Chr.). — Zburzyli je Spartanie po pokonaniu Aten w wojnie peloponeskiej (404 r. przed Chr.). Zenon mógł więc iść już tylko drogą, wzdłuż której istniały kiedyś — dawno już zburzone długie mury

Pizon — Gaius Calpurnius Piso uknuł spisek przeciw Neronowi w 65 r., ażeby go zamordować i objąć po nim tron; wskutek wykrycia spisku popełnił samobójstwo.

plagula — dywan, zasłona

Platon — największy filozof grecki, uczeń Sokratesa, mieszkał w Atenach (429–347 przed Chr.). Stworzył nową szkołę filozoficzną, zwaną Akademią

plebs — lud

podium — balkon w amfiteatrze, przeznaczony dla cesarza i wybitnych osób

poliandrion — cmentarz

poligamia — wielożeństwo

Polion — Juliusz Pollio, trybun kohorty pretoriańskiej, pomocnik Nerona przy zgładzeniu Brytanika

pollinctor — niewolnik, który mył i namaszczał zwłoki

Pollio Gaius Asinius — wybitny mąż stanu i wódz w epoce wojen domowych między Cezarem a Pompejuszem, następnie Augustem a Antoniuszem. Po wycofaniu się z życia publicznego poświęcił się nauce, pisząc historię wojen domowych i tragedie, oraz opiekując się literaturą i sztuką. On stworzył pierwszą w Rzymie bibliotekę publiczną i zaprowadził zwyczaj recytacji, podobnych do naszych wieczorów literackich.

Pomponia Grecyna — znakomita Rzymianka, żona konsula Plaucjusza, zwycięzcy Germanów, przyjęła wiarę chrześcijańską. Oskarżona o wyznawanie cudzoziemskich zabobonów, oddana pod sąd własnego męża, została uwolniona

popina — publiczna jadłodajnia, garkuchnia, knajpa

Poppea — druga żona Nerona, słynna z piękności

populus Romanus — lud rzymski portyk budynek podłużny o dachu, wspartym na kolumnach, mający zazwyczaj jedną ścianę

Praksyteles — rzeźbiarz grecki, żyjący w IV w. przed Chr.

pretexta — toga lub tunika obszyta purpurą noszona przez urodzonych z wolnych rodziców chłopców do 17 roku życia

pretorianie — oddziały wojsk, stanowiące straż przyboczną cesarza

Priapus — bóg ogrodów i sadów

probierz — sposób skontrolowania prawdziwości rzeczy

profanacja — znieważenie rzeczy świętej

proskrypcja — wyjęcie spod prawa obywatela rzymskiego, skazanie go na śmierć, konfiskata majątku i ogłoszenie tego w miejscu publicznym. Proskrypcje urządzali cesarze często przeciw wrogom osobistym lub politycznym

prothyrum — przedpokój (z greckiego)

psyche — dusza pugilares tabliczka do pisania

purpura tyryjska materia szkarłatna, farbowana w Tyrze w Fenicji

puteal — mur, otaczający miejsce, gdzie piorun uderzył. Rzymianie odnosili się z nabożeństwem do tych miejsc

Pytagoras — wyzwolieniec Nerona

pyxidis — puszka do przechowywania wonnych olejków

quintana — droga poprzeczna w obozie wojskowym

Regulus — Memiusz Regulus charakterem, sławą i skromnością imponował nawet Neronowi, jak o tym opowiada historyk Tacyt. Wymienieni obok przez Kraszewskiego Silanus i Pizon znani byli z wrogiego usposobienia przeciw Neronowi

retor — nauczyciel wymowy

rostra — mównica na forum rzymskim, ozdobiona dziobami okrętów, zdobytych na wrogach.

Rubeliusz — Rubelius Plautus, spokrewniony przez matkę z rodem cesarza Augusta, słynął z powagi i godności. Lękał się go Neron, widząc w nim pretendenta do tronu i kazał go zabić

Rufus Feniusz — Lucius Faenius Rufus, prefekt pretorianów, wmieszany w spisek Pizona, swój współudział przypłacił życiem

salgama — owoce konserwowane sarkofag — kosztowna trumna

Satyrowie — towarzysze boga Bakchusa, bogi leśne satyra — utwór wyszydzający wady ludzkie; usposobienie do satyry — usposobienie do wyszydzania wad

sceptyk — filozof, który twierdzi, że nie można dojść do poznania prawdy. W potocznej mowie niedowiarek

Scewinus Flawiusz — senator, brał udział w spisku Pizona przeciw Neronowi, jego niewolnik Milichus zdradził tajemnicę spisku, co Scewinus przypłacił życiem

Senecjon Klaudiusz Tuliusz — znany ze spisku przeciw Neronowi, popełnił samobójstwo po wykryciu spisku.

Seneka nauczyciel Nerona, filozof stoicki (patrz stoik), którego liczne dzieła dochowały się do naszych czasów

sepulcrum — grobowiec

Serenus — Annaeus Serenus, przyjaciel Nerona

sfery — kule

sferysterium — plac do gry w piłkę

Sfinks — egipska postać mityczna, mająca głowę kobiety a resztę ciała lwa; symbol tajemniczości

siepacz — człowiek, który za pieniądze podejmuje się kogoś zabić

sigillata — ozdobiona płaskorzeźbą

Silanus Decimus Iunius Silanus Torquatus, prokonsul Azji, został zabity przez Agrypinę tuż po objęciu rządów przez Nerona

skoczek — człowiek wykonujący trudne sztuki gimnastyczne

Soter — Zbawca. Nie Neron, lecz Milichus, który zdradził sprzysiężenie przeciw Neronowi, przypisał sobie ten tytuł.

sponsa — narzeczona stadium tor wyścigowy; miara wynosząca 125 kroków

Statyliusz — Titus Statilius Taurus, konsul w 44 r. po Chr. Zarządzał Afryką w 52 r. Oskarżony o zdrerstwa za sprawą Agrypiny, pożądającej jego parku, popełnił samobójstwo

stoicyzm — grecki system filozoficzny, stworzony przez Zenona z Kition na Cyprze (koniec w IV przed Chr.). Stoicyzm głosił, że jedynie cnota prowadzi do szczęścia i że tylko mędrzec osiąść może cnotę. Ideałem tej filozofii jest mędrzec, który dzięki mądrości posiada cnotę i szczęście. Mędrzec stoicki zachowuje się obojętnie wobec wszystkiego, co nie ma związku z cnotą, więc obojętny jest na nędzę i ból, niewzruszony nawet wobec niebezpieczeństw, grożących śmiercią.

stylos — rylec do pisania

Sub Jove — dosł. „pod Jowiszem” — pod gołym niebem

Subura — przestrzeń między Kapitołem a Eskwilinem, którą prowadziła bardzo ożywiona droga, pełna nędznych lokali miejskich szumowin

sudarium — chustka do nosa

Sulla — Lucius Cornelius Sulla, dyktator rzymski w latach 82–79 przed Chr. urządził proskrypcje. Jako wódz w wojnie z królem Pontu, Mitrydatesem, obiegił i zdobył w r. 86 Ateny, mszcząc się za pomoc, udzieloną Mitrydatesowi. Z Aten wywiózł mnóstwo cennych rzeźb i posągów do Rzymu

Sybilla Kumejska — wróżka z miasta Cumae, kolonii greckiej w południowej Italii

szyszak — hełm

taberny — kramy, sklepy

tablinum — pokój w domu rzymskim, leżący za atrium, a będący kancelarią pana domu taran — belka ostro zakończona na kształt głowy barana, służąca do rozbijania murów teogonia — opowieści o pochodzeniu bogów termy — łaźnie. Łaźnie rzymskie były urządzone z wielkim przepychem. Były tam baseny i natryski zaopatrzone w wodę zimną i ciepłą, sale do ćwiczeń gimnastycznych i wykładów

theoksenia — gościnność boża

Tibur — miasto nad rzeką Anio na wschód od Rzymu, w górach, ulubione letnisko zamożnych Rzymian

toga rzymska — odzież wierzchnia. Płat sukna długości 5–6 metrów. Noszono ją w ten sposób, że jeden koniec sukna spadał przez lewe ramię na przód, drugi, przeciągnięty pod prawe ramię, zarzucano znowu przez lewe ramię w tył tak, że lewa ręka była ukryta pod togą, a prawa wolna

tragikomedia — dramat, w którym są przemieszane pierwiastki tragiczne z komicznymi, wesołe ze smutnymi

Trazeasz właściwie: Trazea — Thrasea Paetus, dostojny i poważny senator, śmiałością swoją i szlachetnością, którą się odznaczał, otwartym wypowiedaniem swych przekonań ściągnął na siebie wyrok śmierci ze strony Nerona

triclinium — jadalnia rzymska troglodyta mieszkaniec jaskini, człowiek pierwotny trójnog delficki — krzesło o trzech nogach, na którym w Delfach, w świątyni Apollina siedziała wróżka Pytia dając wyrocznie

trybun wojskowy — wyższy oficer

trybut — podatek, haracz

tugurium — chata, szopa

Tullianum — więzienie rzymskie, znajdujące się pod ziemią, miejsce tracenia skazanych na śmierć

tunika — szata domowa z lekkiej materii wełnianej z krótkimi rękawami, w biodrach przepasana, odpowiadająca naszej koszuli

Tuskulum — miasteczko na północny wschód od Rzymu

Tyberiusz — cesarz rzymski, następca Augusta (14–37)

Tygelin Sofoniusz — prefekt gwardii pretorianów, faworyt Nerona; stawia go Kraszewski obok Watyniusza i Epafrodyta jako przeciwieństwo prawych obywateli, wyuczonych poprzednio z Trazeą na czele

Tymoteusz — św. Tymoteusz, ulubiony uczeń św. Pawła, bawił rzeczywiście w Rzymie w czasach Nerona

univira — żona wierna i cnotliwa nie wchodząca powtórnie w związki małżeńskie nawet po śmierci męża

urna — naczynie na popioły zmarłych

Vale! — bądź zdrow,

valete — bądźcie zdrowi! — tym zwrotem Rzymianin zwykle kończył list

velarium — zasłona w amfiteatrze. Amfiteatr nie miał dachu, dla ochrony przed deszczem lub upałem zaciągano velaria

vestiarium — miejsce dla dzieci

Via sacra — (Droga święta), prowadząca z forum na Kapitol, jedna z ulic Rzymu, którą tryumfator podążał na Kapitol

viridarium — ogród, park

Voluisse sat est — wystarczy, żeby chciał

volumina — patrz pergaminowe zwoje

vomitorium — właściwie: vomitqria — wejście, brama, kanały prowadzące na arenę

Watyniusz — błazen, zaufany przyjaciel Nerona. Píše o nim Tacyt, historyk rzymski: „Był to najwstrętniejszy potwór na dworze Nerona, wychowaniec szewskiego warsztatu, kulawy, szpetny i niepowściągliwego do nikczemnych żartów języka”

Wergiliusz — największy rzymski poeta epiczny, żył za cesarza Augusta. Napisał epopeę narodową „Eneida”

Westa — bogini ogniska rodzinnego i państwowego. W każdym domu składano jej ofiary na równi z bogami domowymi. Państwo oddawało jej cześć w okrągłej świątyni na Forum Romanum westalki — kapłanki bogini Westy, pilnowały wiecznego ognia, płonącego w świątyni Westy

Windeks Juliusz — sprawował urząd propretora w Galii. Wszedł w porozumienie z zarządcą Hiszpanii, Galbą celem, strącenia z tronu Nerona

wojna z niewolnikami nagromadzeni w wielkiej ilości w posiadłościach rzymskich jeńcy wojenni jako niewolnicy podnosili kilkakrotnie niebezpieczne bunty, z których dwa zwykle się określać jako „wojny z niewolnikami”, których uśmierzenie kosztowało Rzymian dużo strat i wysiłków. Pierwsza wojna z niewolnikami trwała od 138–132, druga od 103–99 r. przed Chr.

wyzwoleniec — niewolnik, który uzyskał wolność i pewne prawa obywatelskie

X i P — litery greckie oznaczające na napisach imię Chrystusa

xystus — otwarte miejsce w ogrodzie przeznaczone do przechadzek i rozmów

zausznik zaufany, pochlebca, powiernik

znaki i godła nowej wiary — sztuka starochrześcijańska posługiwała się dla oznaczenia tajemnic wiary znakami, godłami czyli symbolami wskutek zamiłowania do takiego obrazowego wyrażania myśli i dla zachowania ostrożności wobec niewtajemniczonych pogan. Za symbole służyły postaci biblijnych dziejów, np. Job, Daniel, Izaak, zastępujące dogmat wiary w zmartwychwstanie — lub postaci mitologiczne, jak Orfeusz, oznaczający Chrystusa, słowem i łaską poskramiającego najdziksze serca, — Amor i Psyche, oznaczający miłość Chrystusa ku człowiekowi itd. Bardzo częstym jest symbol Dobrego Pasterza, przedstawiający młodzieńca, dźwigającego na plecach owcę; postać ta oznacza Chrystusa, opiekującego się wiernymi. — Świat zwierzęcy dostarczał też wielu symbolów: koń oznaczał trud i zdobytą nagrodę, lew — niebezpieczeństwo życia, ryby — wiernych wyznawców, baranek — ofiarę Chrystusową, paw — nieśmiertelność, gołąb — niewinność lub duszę, uwolnioną z więzów ciała. Znaki roślinne są też częste. Drzewa i kwiaty symbolizowały raj, palma albo gałązka wawrzynu — nagrodę za zwycięstwo, gałązka oliwna — pokój, winne grona —

Chrystusa na krzyżu, winobranie zaś — Chrystusa i złączonych z nim wiernych (por. list VI Sabiny do Zenona)

* Imię to spotyka się w katakumbach

* I Eurip. *Supl.* III (Omitte luctum)